

WIOLETTA PIASECKA



Dom
pełen
tajemnic

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

WIOLETTA
PIASECKA



Dom
pełen
tajemnic



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

DOM PEŁEN TAJEMNIC

Słowo od autorki

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©Kaplitskaya Love/AdobeStock, Irina/AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Wioletta Piasecka, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-20-5



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Mojemu synowi Sebastianowi,
który zawsze we mnie wierzył –
nawet wtedy,
gdy nie wierzył we mnie nikt.*

Płomień jednej z pięciu świec w porcelanowym lichtarzu, zdobnym w niezapomnianejki, zamigotał, po czym zgasł. Uwolniona nitka dymu z tłącego się knota podrażniła nozdrza pochylonej nad kajetem młodej kobiety. Sara Leokadia Wolska uniosła głowę i skrzywiła usta w bezradnym grymasie, zauważyła bowiem, że pozostałe cztery świece również za chwilę się wypalą. Wyrzucała sobie, że nie oszczędziła choć jednej na nocne pisanie. Powinna kazać Marcie uzupełnić zapas, nie chciała jednak słuchać dobrotliwego gderania służącej, która natychmiast wypomniałaby jej niestosowność nocnego ślęczenia. Marta Skowronek ubolewała, że przez nieprzespane noce cera szarzeje i więdnie przedwcześnie. Nie tylko Marta wytykała Sarze jej dziwactwo ciągłego pisania, matka również nie szczędziła gorzkich słów. Póki dziewczyna była młodsza, rodziców bawiła jej mania wymyślania i spisywania przeróżnych historii, ale w miarę dorastania matka i ojciec coraz surowiej zapatrywali się na osobliwą pasję córki. „Dziewczęta w twoim wieku gustują w przyjęciach i flirtach. Nie rozumiem, po kim odziedziczyłaś tę dziwaczną manierę” – wzdychała matka. „Moja droga, nigdy nie znajdziesz męża. To niepodobna, jeśli ma się dłonie ufajdane atramentem” – dogadywał ojciec.

O ile wcześniej Sara słyszała tylko pobłażliwe strofowanie, to od kiedy skończyła dwadzieścia lat, państwo Klementyna i Ambroży Wolscy krzywili się na każdą wzmiankę o pisarskiej pasji jedynaczki i głośno wyrażali swoje niezadowolenie. „Na co ci to, dziecko? Przyuczaj się lepiej do roli żony i pani na majątku” – załamywała ręce matka. Rodzice obawiali się, że ich jedyne dziecko doświadczy staropanieństwa. Wolscy byli ludźmi majątnymi i szanowanymi, nie chcieli wydawać córki za mężczyznę niżej od niej urodzonego lub mniej zamożnego. Małżeństwo uważali za awans społeczny i swojego rodzaju kontrakt. Teraz Sara Leokadia liczyła sobie lat dwadzieścia dwa, toteż rodzicie dwoili się i troili, organizując przyjęcia i bywając na wizytach, by zaaranżować jak najlepszy mariaż dla panny Wolskiej. Na pisanie powieści zostawały więc Sarze jedynie noce.

Płomyki zamigotały, po chwili zgasła kolejna świeca. Sara niechętnie odsunęła notes, włożyła pióro do kałamarza i wstała od biurka. Potykając się o długą błękitną koszulę i o pękate woluminy rozłożone na podłodze, pospiesznie ruszyła w stronę łóżka, odrzuciła na plecy jasny warkocz, zsunęła kapcie i wskoczyła pod pierzynę. Nie znosiła kłaść się po ciemku. Ledwo umościła głowę na poduszce, płomień trzech świec zafalowały ostatnim tchnieniem, a po chwili pokój spowiła ciemność. Dziewczyna westchnęła i powędrowała myślami do pisanej właśnie historii o ułanie i zakochanej w nim dziewczynie z gminu. Od roku opisywała burzliwe losy ich miłości. Pozostał zaledwie ostatni rozdział. Pisała w kajecie, a następnego dnia przepisywała rozdział na kartach, starannie kaligrafując litery. Ciotka Adelajda, jedyna powierniczka jej pisarskich tajemnic, opowiadała bratanicy, że w Ameryce niejaki Christopher Scholes skonstruował typograf, którym można pisać dużo szybciej niż piórem, i choć Sara nie potrafiła wyobrazić sobie tej maszyny, marzyła, że kiedyś zostanie poczytną powieściopisarką, wystukującą litery na takim właśnie urządzeniu.

Nie mogła zasnąć. Podekscytowana faktem, że już wkrótce postawi ostatnią kropkę w powieści, przekręcała się z boku na bok, wsłuchując się w tykanie wielkiego mahoniowego ze-

gara. Gdy niebo zaczęło się przejaśniać, usiadła na łóżku i rozejrzała się po wnętrzu, badając, czy przez okna wpada wystarczająco dużo światła, by mogła wrócić do pisania. Na plecach poczuła chłód. Grube mury nie nagrzały się jeszcze, choć majowe słońce od kilkunastu dni pięknie otulało ziemię. Zmęczona bezsennością, nieco zmakotniała. Z niechęcią pomyślała, że wkrótce jej beztroski świat się zmieni. Matka i ojciec czynili starania, aby dostatnio wyszła za mąż, a ją zamążpójście przerażało. W domu rodzinnym było jej dobrze, bezpiecznie, mimo rodzicielskich napomnień mogła oddawać się swojej pasji. Nie wyobrażała sobie siebie w roli żony i matki. Nade wszystko pragnęła zostać powieściopisarką. Zaczytywała się w „Tygodniku Stylu i Literatury” i marzyła, że ujrzy kiedyś fragment własnego dzieła na łamach czasopisma.

– A właśnie, że zostanę pisarką. Znajdę wydawcę. Zrobię to, a potem niech się dzieje, co chce. Niech mnie krytykują i obmawiają – powiedziała półgłosem.

Około czwartej nad ranem Sara uznała, że jest wystarczająco widno, by zasiąść do biurka. Narzuciła na ramiona wełniany niebieski szal, otworzyła notes i zapominając o zmęczeniu, a także o całym świecie, oddała się spisaniu ostatniego rozdziału historii ułana i jego ukochanej. Wysunąwszy, jak to miała w zwyczaju, koniuszek języka, maczała pióro w kałamarzu i starannie dobierając słowa, notowała je z pełnym powagi namaszczeniem. Za oknem było już całkiem jasno, gdy zapisała słowo „koniec”. Odchyliła się na krzesło, zaczerpnęła tchu i z dumą popatrzyła na swoje dzieło. Przepelniła ją radość i jakieś nieznane jej dotąd uczucie wolności, jakby szczęście podarowało jej skrzydła i mogła pofrunąć, dokądkolwiek zechce. Nie znała takiego stanu. To było jak ukojenie spierzchniętych ust łykiem źródlanej wody. Poczuliśmy na policzkach i roześmiała się, wycierając je wierzchem dłoni. Odplynęło znużenie i trud nieprzespanej nocy.

Tanecznym krokiem podeszła do okna. Odchyliła misternie upięte firany, by spojrzeć na wypielegnowany trawnik i aleję, przy której aż do bramy wjazdowej rosły piękne rozłożyste platany. Patrzyła na spokojny świt budzącego się dnia, gdy nagle jakiś niezrozumiały cień przysłonił jej radość. Sarę przeszedł dreszcz. Szczelniej utuliła się szalem i odeszła od okna. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z matką, jej błysk w oczach i zaróżowione z emocji policzki. Dziewczyna domyślała się, że być może rodzice upatryli kandydata do jej ręki. Zagryzła dolną wargę i zmarszczyła brwi. Zaraz jednak odsunęła tę myśl. Znajdę wydawcę, a potem sama zdecyduję o moim życiu. Uda mi się – obiecała sobie. Nieco uspokojona, przewiesiła szal przez poręcz krzesła przy toalecie i wsunęła się pod pierzynę. Wraz z marzeniami spłynął na nią kojący sen.

Dochodziła ósma, gdy rozległo się ciche pukanie. Sara nie usłyszała hałasu, pogrążona w mocnym śnie. Drzwi się uchyliły i do pokoju weszła Marta. Nie czekała na zaproszenie, bo domyślała się, że jej pupilka znów przesiedziała pół nocy, a kto wie, może i całą noc przy biurku. Ubrana w szarą sukienkę i biały fartuch, z białym czepkiem na ciasno zwiniętych włosach, służąca uśmiechnęła się na widok wtulonej w pielesze panienki. Rzut oka na wypalone doszczętnie świece, otwarty zeszyt, a także rzucony bezładnie szal pozwalały się kobiecie domyślać, że jej przypuszczenia okazały się słuszne. Marta pokręciła głową z dezaprobatą.

– Nie ma kto pannie Sarze wybić z głowy tych dziwactw – mruknęła pod nosem. Dźwignąwszy wiadro z nieczystościami, wystawiła je za drzwi, otworzyła okno, a potem zabrała się

do starannego zeszkrobania zastygłego wosku z porcelanowych świeczników.

Szczebiot ptasich treli wpadł do pokoju jak wiosenny rzeński koncert, panna Wolska otworzyła oczy, przeciągnęła się i spod długich rzęs przyglądała się krzątaniu Marty. Przytknąwszy powieki, rozkoszowała się świadomością, że skończyła swoje pierwsze poważne literackie dzieło. Praca nad powieścią kosztowała ją wiele wyrzeczeń. Dziś wykaligrafuję ostatni rozdział i stronę tytułową, a jutro pojedę do Warszawy i rozpytam o wydawców. Trzeba będzie w moje plany wtajemniczyć kuzynkę Mariannę, bo sama nie dam rady przekonać rodziców, a zwłaszcza matki, by dała mi zgodę na wyjazd – planowała. – Tak, muszę powiadomić Mariannę! – Energicznie odchyliła pierzynę i wyskoczyła z łóżka.

– Panno Saro, doprowadzi mnie panienka do zejścia z tego świata. – Przestraszona niespodziewanym zrywem dziewczyny służąca opadła na krzesło przy biurku i położyła dłoń na klatce piersiowej. – Toż tak nie można!

– Marto moja kochana, wielki dzień dzisiaj! Jestem taka szczęśliwa! – Oczy panny Wolskiej błyszczały, a cienie po nieprzespanej nocy stały się niemal niewidoczne. – Szczęśliwy dzień!

– To już dzisiaj? Panienko Saro, jestem taka szczęśliwa, że dożyłam tej chwili. Cały dwór nie mówi o niczym innym, tylko o szczęściu panienki. – Marta uśmiechnęła się promiennie i dała się porwać do szalonego tańca. – Ależ panienka wywija. Lepiej spożytkować tę energię na przygotowanie się do wizyty – zawołała radośnie, wirując po pokoju w ramionach rozentuzjasmowanej młodej kobiety.

– Marto. – Sara odrzuciła warkocz na plecy i nagle spoważniała. Domyśliła się, że służąca nie cieszy się z jej ukończonej powieści, ale z wizyty kawalera do jej ręki. Nie wyprowadziła jej z błędu, jedynie sapnęła cichutko. – Będę potrzebowała twojej pomocy. Napiszę zaraz list do kuzynki Marianny, ktoś musi go jej dostarczyć osobiście. Pomożesz mi? To dyskretna misja, potrzebuję kogoś bardzo zaufanego.

– Helka z Zygmuntem właśnie wybierają się do miasta po sprawunki dla pani Klementyny, więc mogę im przekazać list panienki.

– No dobrze... – Sara wypowiedziała te słowa w zamyśleniu, jakby wahała się, czy może Helenie zaufać. Zaczerpnęła tchu i wypuściła głośno powietrze, a potem usiadła przy biurku i wyjęła z szuflady papier listowy. Pokrótce wyjaśniła kuzynce Mariannie, że potrzebuje jej pomocy w eskapadzie do Warszawy. Zdawała sobie sprawę, że jeden fałszywy ruch i jej plany obrócą się wniwecz.



Od wysłania listu do Marianny Podolskiej minęła zaledwie doba, a już następnego ranka przed dom Wolskich zajechał elegancki powóz zaprzężony w dwa siwe konie. Stangret zeskokczył z kozła, otworzył drzwi i pomógł wsiąść szczupłej, energicznej, młodej kobiecie. Jej miedziane włosy upięte w gustowny węzeł pięknie komponowały się z ciemnobrązowym kapeluszem i takiego samego koloru suknią. Odsunęła pomocną dłoń kamerdynera, który wybiegł powitać gościa, i wbiegła do budynku.

– Marianna? Stało się coś? – Klementyna Wolska w ciemnozielonej sukni schodziła po schodach, lecz na widok siostrzenicy przystanęła, posyłając dziewczynie nieco zdziwione spojrzenie.

– Nic się nie stało, cioteczko. Porywam Sarę na cały dzień – odpowiedziała lekko, ściągając koronkowe kremowe rękawiczki.

– Bardzo dobrze, niechże się przestanie ukrywać w swoim pokoju. Gdyby mogła, przesiadywałaby w pustelni bez końca.

– Nie przesadzaj, mamó. – Ubrana w białą bluzkę z żabotem, granatowy żakiet i oliwkową spódnicę Sara zbiegła lekko pod schodach. Kiedy mijała matkę, wypadła jej skórzana aktówka, którą niosła pod pachą.

– A cóż to takiego, moja droga? – zainteresowała się Klementyna, wskazując palcem na skórzaną teczkę i nieznacznie ściągając brwi ku sobie.

– Ciotuniu kochana, Sara chce przeczytać nam fragmenty swojej poezji. Zapewne to tam dźwiga – wtrąciła pospiesznie Marianna. – Właśnie po to się spotykamy.

– Ach tak. – Wolska chrząknęła rozczarowana. – Tylko po to? – Prychnęła niemal pogardliwie, niezadowolona, że znów to głupie pisanie przesłoni poważne sprawy, jakimi teraz powinna zaprzętać sobie głowę panna na wydaniu.

– Cioteczko, nie tylko po to. – Marianna roześmiała się beztrosko, ścisnęła dłoń ciotki, lekko dygnęła, a potem ucałowała ją w policzek. – Jak to w gronie przyjaciół... będą rozmowy i spacer...

– Kto będzie? – spytała Klementyna nonszalancko, jakby od niechcienia, ale jej bystre oczy świdrowały siostrzenicę na wskroś.

– Wszyscy! – wykrzyknęła Marianna, tocząc ręką zamaszysty ruch i wytrzymując wzrok ciotki.

– Jedziemy, kochana, bo nam mama gotowa egzamin zrobić. – Sara pociągnęła kuzynkę za rękę, wybawiając ją tym samym z niekomfortowego położenia.

– Co znaczy jedziemy? Tak bez śniadania? – Wolska się oburzyła. – Nie ma mowy. Gertruda już podaje. Absolutnie was nie wypuszczę. – Klementyna rozłożyła ramiona, by zagarnąć dziewczęta, ale one sprytnie wywinęły się spod jej opieki i przekomarzając się, wycofały się do wyjścia. Gdy dziewczęta sadowiły się w powozie, z budynku wyszła Marta, najpierw obejrzała się, czy aby pani Wolska nie wyszła za nią i czy nie ma na horyzoncie pana Ambrożego, a gdy zobaczyła, że oprócz kamerdynera nikt jej nie obserwuje, podbiegła do powozu i zastukała. Zobaczyła w szybcie zdziwiony wzrok pańienek. Kamerdyner uchylił usłużnie drzwiczki, za co podziękowała mu serdecznym uśmiechem.

– Panienko Saro, proszę to wziąć. Gertruda przygotowała pańienkom prowiant na drogę, bo tak coś czuję, że na tym pikniku u pańienki Marianny to do zjedzenia za wiele nie będzie – rzuciła konspiracyjnym szeptem, na co obie dziewczyny parsknęły śmiechem.

– Dziękuję, Marto. Jak zawsze masz rację. Byłabyś genialnym detektywem. – Sara wzięła wiklinowy koszyk wypełniony wiktuałami.

– Proszę na siebie uważać, panno Saro – dodała, ale jej głos utonął w niecierpliwym rzeniu zwierząt. Stangret strzepnął lejcami i konie ruszyły z gracją z podjazdu, minęły platanową

aleję i wyjechały na drogę.

– No to mów, co to za eskapada? Dokąd właściwie jedziemy? – Marianna ściągnęła kapełusz i rozparła się na wyściełanej bordowym aksamitem kanapie.

– Do Warszawy! – zawołała Sara.

– Do Warszawy? Same? To ci heca! I kto to mówi! Cicha, wiecznie nieobecna Sara. Przyznaję, zadziwiasz mnie, ale chętnie wejdę w tę paradę. – Marianna klasnęła w dłonie. – I cóż zatem będziemy tam wyprawiały? Schadzka z jakimś przystojnym młodzieńcem? Sekretny romans? – Mariannie policzki zapłonęły z emocji. Czego jak czego, ale takiej odwagi i samowoli nie spodziewała się po zawsze akuratannej kuzynce.

– Napisałam powieść. Wspaniałą, cudowną, och, cudowną. – Sara odstawiła na podłogę koszyk z jedzeniem, który wciąż trzymała na kolanach. – I... chcę ją wydać drukiem – oznajmiła przejęta. – Jedziemy znaleźć wydawcę.

– Co takiego? Napisałaś powieść? Kiedy? Jak? Po co? Wiedziałam, że wciąż piszesz, ale byłam przekonana, że wiersze. Czy widziałas kiedyś, żeby jakaś kobieta napisała książkę? – W oczach Marianny niedowierzanie ścierało się z zaskoczeniem i ze współczuciem.

– Widziałam. – Sara uniosła podbródek. – Czytałaś, co napisała Młoda Polka?

– Oczywiście, że czytałam *Pamiętkę po dobrej matce*. Kto nie czytał? – spytała retorycznie. – Ale przecież to nie powieść. – Wzruszyła ramionami. Mnąc rękawiczki, to splatała, to rozplatała niespokojne dłonie. – Młoda Polka to tylko nazwa, pod którą może kryć się mężczyzna. To mrzonki, Saro. Nikt nie zechce twojej powieści.

– Nie odbieraj mi nadziei. Zresztą, wiem, że Młoda Polka to kobieta. Nazywa się Klementyna Tańska. Chcę być jak ona – powiedziała Wolska, a potem umilkła. Powóz wjeżdżał właśnie w Rogatki Belwederskie i obie panny zapatrzyły się na pałac Belwederski. Przepięknie usytuowany na zachodniej części skarpy warszawskiej czarował swoim urokiem.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że księżna łowicka już tu nie mieszka – rzuciła z westchnieniem Marianna.

– Wszystko się zmienia. Jeszcze tak niedawno grywał tu pan Chopin, ale od czasu, gdy ostatni zryw niepodległościowy upadł...

– Błagam cię! – przerwała jej kuzynka. – Nie po to wyrwałyśmy się do miasta, by mówić o męskich sprawach. Nuży mnie to. – Wzdrygnęła się. – Wstąpmy lepiej do Wiejskiej Kawy. Mam ochotę popatrzeć na tygiel kręcących się tam osobliwości i prowincjuszy. Uwielbiam ten kawiarniany gwar, zgiełk, ścisk, gdzie każdy może udawać, kim nie jest. – Rozmarzyła się, westchnąwszy.

– Ale najpierw załatwmy moją sprawę. Potem niech ci będzie, jedźmy do Wiejskiej Kawy. Jeszcze nigdy tam nie byłam, ale wiele intrygujących ploteczek słyszałam o tej kawiarni. Może przyda mi się ta wizyta do umieszczenia jej w następnej historii. – Sara przechyliła się i dała stangretowi znak, by jechał na ulicę Widok do redakcji „Tygodnika Stylu i Literatury”.

Majowe słońce sprawiło, że w Warszawie kobiety zmieniły futra na żakiety i peleryny, większość z nich porzuciła również ciemne barwy sukien i na ulicach zrobiło się kolorowo. Stukot końskich kopyt, rozmowy przechodniów, spacerujące damy z parasolkami chroniące swą cerę przed wiosennymi promieniami niosły wrażenie, że wjeżdża się do wielkiego świata.

Marianna, marząca o zamieszkaniu w mieście, chłonęła ten widok jak gąbka wodę. Natomiast Sara zbladła, zagryzła dolną wargę i rozmyślała nad rozmową, która ją czekała. W domu w Bielawie, gdy w nocy leżała w łóżku i wyobrażała sobie tę wizytę, wszystko wydawało jej się proste. Teraz jednak, gdy zajechali przed elegancki budynek zdobny w dwie kolumny i ogromne dębowe drzwi, obleciał ją strach. Czy rzeczywiście wydawca da jej szansę, czy pozwoli spełnić marzenia o własnej powieści, czy będzie miał tyle odwagi i nowoczesnego myślenia, że nie przelęknie się tego, że ona, Sara, jest kobietą?

Nie czekając na pomocną dłoń stangreta, Sara zebrała materiał sukienki i pochwyciwszy brązową aktówkę, zeskoczyła ze schodków powozu, a potem nie oglądając się na Mariannę, ruszyła do wejścia. Kuzynka drobiła kroczyki w skórzanych pantofelkach i ledwo za Sarą nadążyła. Wnętrze gmachu przywitało je kłębam dymu tytoniowego. Zupełnie jakby przed kilkoma chwilami zakończyła się narada, na której zgromadzeni raczyli się tytoniem. Sara i Marianna rozglądały się po obszernym holu, nie bardzo wiedząc, dokąd dalej pójść. Pośród wygodnych kanap, rzeźbionych figur i wszędobylskich spluwaczek poczuły się jak przeniesione do innego świata. Po chwili podszedł do nich starszy mężczyzna w ciemnoszarym uniformie i po uprzejmej wymianie grzeczności spytał o cel ich wizyty.

– Chcę wydać powieść – obwieściła bez ogródek Sara, porzucając niedawną nieśmiałość. – Pragnę się skontaktować z kimś władnym, kto by mi to zadanie ułatwił.

– Pan Hieronim oczekuje pań? – Nieco zakłopotany podkręcił sumiastego siwego wąsa.

– Nie, nie sądzę. Jednak przyjechaliśmy aż z Bielawy. Powieść Sary Leokadii Wolskiej okaże się wielkim sukcesem, sam pan zobaczy, a więc proszę przyznać mi rację, że przyszyliśmy ze sprawą wielkiej wagi – wtrąciła się do rozmowy Marianna, która również odzyskała swobodę. Cała ta heca, jak nazywała ich eskapadę, zaczęła jej się bardzo podobać, zważywszy że jej zwieńczeniem miała być wizyta w Wiejskiej Kawie.

– A zatem zapraszam, panienki pozwolą za mną, może pan Hieronim przyjmie takich nadzwyczajnych gości. – Skłonił się, a potem poprowadził kobiety obszernym korytarzem. Szły za nim w milczeniu. Sara czuła spływającą po plecach strużkę potu i zlodowaciałe końcówki palców. Na szczęście przez koronkowe rękawiczki nie było widać, że dłonie są wilgotne i że drżą. Kiedy w końcu stanęły przed drzwiami wydawcy, Wolska ścisnęła łokieć kuzynki tak mocno, że tamta drgnęła i jęknęła cicho.

– Boję się – zdążyła szepnąć, bo w tym momencie drzwi się otworzyły i dziewczęta stanęły oko w oko ze starszym szczupłym mężczyzną z siwą, kozią bródką. Sara zrobiła ruch, jakby miała zamiar się cofnąć.

– Proszę, zapraszam, niechże panie wejdą. Hieronim Gurg – przedstawił się i cmoknął dłonie młodych dam. – Czym zasłużyłem sobie na tak zadaną wizytę? – Starzec przechylił głowę, po czym spojrział na dziewczęta znad binokli i usłużnie wskazał jasne, skórzane fotele, na których przycupnęły.

– Dzień dobry, nazywam się Sara Leokadia Wolska, a to moja kuzynka Marianna Podolska, która mi jedynie towarzyszy, bo sprawę mam tylko ja. – Uśmiechnęła się zdawkowo. Jej dobre maniery nie pozwalały na uzewnętrznianie emocji. Mówiła pewnie, stanowczo, z odpowiednim dystansem, ale w środku drżała. Zdziwiona była, że aż tak mocno przeżywa tę wi-

zytę. Owszem, marzyła o wydaniu powieści, ale nagle poczuła się tak, jakby nie walczyła jedynie o książkę, ale o całe swoje życie.

– Słucham zatem, z czym pani do mnie przychodzi? – Podniósł dłoń i poprawił małe, okrągłe binokle na nosie. Wyglądał zarazem dystyngowanie i groteskowo. Wyprostowany, dumny, ale z oczami rozbieganymi i zniecierpliwieniem wypisanym na twarzy, sprawiał nieco odpychające wrażenie.

– Panna – poprawiła go Sara odruchowo i natychmiast się zaczerwieniła.

– No to słucham, panno Saro. – Zawiesił głos i uśmiechnął się pod wąsem. – Co też może taką miłą osobkę sprowadzać do męskiego świata prasy? – Stał oparty tyłem o biurko i mierzył ją wzrokiem. Splótł ręce na piersiach i przybrał pozę dobrodusznego wujaszka.

– Otóż napisałam powieść. Bardzo chciałabym ją wydać, choćby we fragmentach, a „Tygodnik Stylu i Literatury” wydał mi się idealny do tego celu. Czy zechciałby pan rzucić okiem? – Wbiła pełen nadziei wzrok we właściciela oficyny.

– Panna napisała? – W zmarszczeniu czoła i ściągnięciu brwi, a także w grymasie ust było tyle lekceważenia, że Sara zarumieniła się z przykrości. Nie opuściła jednak wzroku, z dumnie uniesionym podbródkiem patrzyła na mężczyznę surowo.

– Tak. Ja napisałam. I cóż w tym takiego nadzwyczajnego? – zapytała chłodno, po czym dodała wyniośle: – Stworzona przeze mnie historia jest interesująca, poprawna stylistycznie i bardzo dobrze napisana. Wierzę, że spodoba się czytelnikom.

– Cóż mam pani odpowiedzieć? – Rozłożył ręce i chrząknął nieco zakłopotany, pogładził siwą bródkę przyciętą w szpic i zwrócił się do Wolskiej: – Może i jest dobrze napisana, ale...

– Jest pasjonująca – weszła mu w słowo. – Oto i ona. – Energicznym ruchem wyciągnęła ze skórzanej płaskiej torby plik równo ułożonych kartek i podsunęła go wydawcy.

Mężczyzna nie uczynił żadnego gestu. Sytuacja stała się niekomfortowa. Marianna, która do tej pory przyglądała się tej scenie bez słowa, nagle spłoszowała i rzekła oburzona:

– Chyba nie będzie pan czynił afrontu mojej kuzynce. To doprawdy niegrzeczne. Nie przystoi, by dama czekała z wyciągniętą dłonią i prosiła o uwagę. Niechże pan okaże się dżentelmenem.

– Tak, w istocie, racja. – Przeszedł energicznym krokiem przez gabinet i wziął od Sary rękopis.

– Ufam, że pan go przeczyta. Adres jest na karcie tytułowej. Gdyby pan zechciał mnie powiadomić o swojej decyzji, będę wysoce zobowiązana.

– Szanowna pani, od razu wolę uprzedzić, że nie wydajemy rzeczy napisanych przez kobiety. A przynajmniej do tej pory nie wydawaliśmy... – Zmiękł nieco, widząc jej rozedrgany podbródek i przysłonięte łzami oczy.

– Uważa pan, że kobiety są gorszymi istotami niż mężczyźni? – Marianna się oburzyła. Wodziła wzrokiem między Sarą a wydawcą, ale teraz wbiła twarde spojrzenie w pana Hieronima i z urażoną dumą czekała na odpowiedź.

– Ależ skąd. Gdzież śmiałym tak myśleć, po prostu zastanawiam się, czy nie szkoda panience czasu na takie fanaberie. – Podniósł rękopis i stuknął w niego drugą ręką, aż zafalowały luźno ułożone kartki. – Coraz więcej kobiet przychodzi do mnie z wydumаныmi proś-

bami, bym upublicznił im to czy tamto, a to wiersze, a to bajki, a to dobre rady. Wszystko przez Tańską, a właściwie teraz już Hoffmanową. Ja rozumiem, że jej powiastka z dobrymi radami dla grzecznych panienek była potrzebna, ale teraz te panienki chcą wciąż coś pisać i wydawać. A ja się pytam, kto będzie dzieci chował? Kto będzie strzegł ogniska domowego? He? No? Pytam się? – Obrzucił kobiety przenikliwym spojrzeniem mówiącym, że on i tylko on ma słuszość, a minę miał przy tym taką, jakby pragnął pogrozić dobrodusznie palcem niesformym pannicom i wybić im z głowy niedorzeczności.

– Proszę tylko, żeby pan przeczytał i dał mi listowną odpowiedź – Sara trwała przy swoim. – I jeszcze jedno, Klementynie Tańskiej również wydawcy nie chcieli upublicznić jej pięknej powiastki *Pamiętnik po dobrej matce*. Musiała posłużyć się pseudonimem, a jednak jej praca okazała się pożyteczna, pożądana i przyniosła sukces. Nie ma pałacu, dworu czy domu, w którym nie wspomniano by o Klementynie Tańskiej i jej elementarzu dla panien. Ja wprawdzie nie piszę dobrych rad, tylko pełnokrwiste powieści, które, proszę mi wierzyć, odniosą sukces. Proszę tylko przeczytać, a wierzę, że gdy pan się zapozna z moim rękopisem, podejmie pan właściwą decyzję. – Uniosła się ostentacyjnie i skierowała w stronę drzwi. Marianna zrobiła to samo. – Dziękuję, że poświęcił nam pan swój cenny czas. Dodam jeszcze, że przykro mi, bo traktuje pan nas, kobiety, jako rzecz podrzędną w stosunku do mężczyzn, gdy tymczasem kobiety są takimi samymi ludźmi, a może nawet nie takimi samymi, ale lepszymi. Bardziej kochamy, bardziej czujemy, więc jestem przekonana, że i emocje lepiej przelewamy na papier.

– Widzi pani, gdyby była pani mężczyzną, z radością zatopiłbym się w lekturze... Oczywiście przeczytam. – Uniósł rękę, widząc, że dziewczynie znów zaszklily się oczy.

– Proszę mi wierzyć, ani przez chwilę nie żałuję, że nie jestem mężczyzną. Potrafię tak samo dobrze, a nawet lepiej tworzyć pasjonujące historie. Wierzę w pański rozsądek, w pańską ciekawość świata, a także w sprawiedliwą ocenę.

– No cóż, obiecałem, więc przeczytam. Nie mam wyjścia. – Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. – Chociaż wolałbym przeznaczyć ten czas na... Ależ, panienko, niech panienka nie płacze! – zawołał.

– Kiedy mogę się spodziewać odpowiedzi? – spytała twardo Wolska, ocierając koniuszkiem rękawiczki dwie łzy z policzków. Nie chciała płakać, ale emocje wzięły górę. Zapragnęła jak najszybciej wyjść z tego zadymionego pomieszczenia.

– Wkrótce. Nie pozwolę, by panienka czekała zbyt długo, w końcu taka fatyga wymaga docenienia. Proszę się uspokoić i... być dobrej myśli. Tak, proszę być dobrej myśli. Przeczytam pani dzieło z należytą uwagą.

– Jeszcze raz dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas i pozwolił mieć nadzieję. Będę wglądała listu od pana.

– Czuję, że wygrałaś. – Podolska roześmiała się, gdy wsiadały do czekającego przed budynkiem powozu. – Pięknie walczyłaś o swoje marzenia. Jestem z ciebie dumna. – Usiadła obok Sary i objęła ją ramieniem. – Choć nadal uważam ten pomysł za szalony, to jednak ci gratuluję i kibicuję.

– Mam przecucie, że wkrótce zobaczę swoją książkę!

Sara, jeszcze wciąż rozdygotana z emocji, czuła, że wygrała tę batalię. Wkrótce zobaczy swoją powieść we fragmentach na łamach czasopisma, a kto wie – rozmarzyła się – może zostanie również opublikowana w pięknym grubym wydaniu, w skórzanej oprawie ze złotymi literami...

Słońce stało już wysoko, gdy stangret zatrzymał się przed drewnianym budynkiem wybudowanym na wzór wiejskiego pałacu. Na dziedzińcu stało mnóstwo dorożek i powozów, przy których kręcili się woźnice, pojąc konie i pytlując między sobą. Po obu stronach ganku dwóch staruszków z kapeluszami w rękach miłosiernie zebrali o datek. Marianna otworzyła sakiewkę i wrzuciła jednemu z nich piętnaście kopiejek. Starzec rozciągnął usta w bezzębnym uśmiechu i wsunął monetę do kieszeni mocno poprzecieranych spodni.

W Wiejskiej Kawie jak zawsze bawiło różnorakie towarzystwo. Od wytwornych dam i eleganckich mężczyzn, przez artystów, po rozbawioną gawieź warszawskich studentów, trochę głośnych i opitych warzonym piwem. Gwar i beztroski śmiech dolatywały aż na ulicę. Młodzian o miedzianych, rozwichrzonych włosach grał na starym klawikordzie, a gdy tylko spod jego palców wydostawała się dźwięczniejsza nuta, odzywały się umieszczone w klatkach rajskie ptaki.

Dziewczęta zajęły stolik pod jednym z siedmiu wielkich okien i zamówiły gorącą czekoladę, a potem, popijając napój drobnymi łyżkami, obserwowały barwny tłum klientów słynnej warszawskiej kawiarni, wymieniając ściszonymi głosami spostrzeżenia.

– Chciałabym mieszkać w wielkim mieście. Codziennie przechadzać się ulicami Warszawy, zachodzić tu na kawę czy na czekoladę i rozkoszować się anonimowością, jaką daje tłum. – Marianna westchnęła i musnęła opuszkami palców brzeg strojnej w złote listki i małeńkie bukietki róż filizanki.

– Co stoi na przeszkodzie, byś spełniła to marzenie?

– Nie zauważyłaś? – Kuzynka podniosła dłoń i zaprezentowała piękny złoty pierścionek z perłą i małymi brylantami dookoła niej. – Nikodem oświadczył się tydzień temu. Wychodzę za mąż – powiedziała spokojnym głosem. Sara starała się doszukać jakichkolwiek emocji, drżenia głosu czy skrywanego smutku, ale ich nie znalazła.

– Jesteś szczęśliwa? – spytała w końcu.

– Bardzo – odpowiedziała wzruszona Podolska. – Mam wielkie szczęście, Nikodem to wspaniała partia. W dodatku jest we mnie szaleńczo zakochany. Ja w nim również. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Po ojcu odziedziczy kilka folwarków, jest zaradny, nieskomplikowany, jedynie odrobinę nudny z tą swoją ekonomią. Mam szczęście – powtórzyła. – Szkoda tylko, że i on, i jego ojciec chcą, byśmy zostali na wsi.

– Oddałabym wszystko, by móc zostać na wsi – wyjawiała Sara. – Nie potrzebuję wielkiego świata. Kawa równie dobrze smakuje na tarasie w Bielawie, jak i tutaj. A nawet tam u nas lepiej, bo ptaki śpiewają i pachną bzy, a tu tylko hałas i wlatujący przez okno kurz spod końskich kopyt. Prawie się nie słyszymy przez śpiewy studentów i skrzek ptaków. Nie przeczę, od czasu do czasu można zajść tu na kawę, ale codziennie na pewno by ci się znudziło.

– Nie, nie znudziłoby mi się. Właśnie to miejsce ma urok. – Marianna poprawiła kapelusz, nasuwając rondo bardziej na oczy, by mogła swobodniej przyglądać się wesolej ciżbie. – Nie-

długo nasza beztroska się skończy. Wyjdziemy za mąż i zostaniemy paniami we dworach. Nuda, nuda, nuda... Ale mam takie małe marzenie, a zarazem wielkie, choć wiem, że to niemożliwe. – Zaśmiała się. – Chciałabym, aby moje wesele odbyło się tutaj, w Wiejskiej Kawie.

– Och, rzeczywiście niemożliwe. Ciotuchna Adelajda nigdy się na to nie zgodzi. Zwierzę ci się z czegoś, kuzynko. Jeśli moja książka ukaże się w „Tygodniku Stylu i Literatury”, choćby jej fragment, to nie wyjdę za mąż. Będzie to dla mnie znak, że życie ma mi do zaoferowania coś więcej niż małżeństwo. Chcę być powieściopisarką. Od dziecka o tym marzyłam. Wciąż coś pisałam. Chciałabym właśnie tak spędzić życie.

– Zapomnij, ciotuchna Klementyna na to nie pozwoli. – Marianna się roześmiała. – Od dawna ustawia dla ciebie mariaże. Aż dziwne, że do tej pory się uchowałaś. Już ona zadba o odpowiednią partię. Tak myślę, kogo mogłaby dla ciebie upatrzyć? – zastanawiała się.

– Przestań, proszę. To nieważne. Ktokolwiek by to był, zniechęca mnie myśl, że mam być żoną i matką. niesprawiedliwe jest to, że tylko mężczyźni mogą pisać o miłości. I w ogóle pisać...

– To prawda, a przecież oni o niej wiedzą dużo mniej od nas. – Kuzynka zachichotała.

– Dziękuję, że ze mną przyjechałaś. Wierzę, że pan Hieronim Gurg mimo surowej powierzchowności okaże się łaskawym człowiekiem. Niczego bardziej nie pragnę, niż ujrzeć swoją książkę. Wyobrażam ją sobie w gustownej oprawie ze złotymi literami składającymi się na moje imię i nazwisko.

– Marzycielka z ciebie, ale radzę ci, zejdź na ziemię, ciotuchna nie odpuści. No, ale próbuj. Dzięki tobie i tej całej eskapadzie i ja skorzystałam i wyrwałam się do wielkiego świata. Aż żal wracać do domu.

Do ich stolika podszedł na oko szesnastoletni chłopak z naręczem czerwonych róż w płaskim wiklinowym koszyku. Jedną wręczył Mariannie, a drugą Sarze, a gdy zdziwione dziewczęta lekko oponowały, wyjął:

– To nie ode mnie, to od naszej szefowej. – Wskazał brodą na niemłodą kobietę stojącą za kontuarem. – Ja jestem tylko posłańcem. Każda klientka naszego lokalu otrzymuje kwiatek.

Wzięły więc róże i podziękowały właścicielce uśmiechem. Ona skinęła głową i odwzajemniła uśmiech. A potem zajęła się nalewaniem piwa do kufli.

– Dobrze się składa, że dostałyśmy te róże – stwierdziła Marianna. Wepniesz ją do kapelusza, a cioteczka pomyśli, że flirtowałaś na pikniku. – Mrugnęła figlarnie okiem. – Będzie rada, że nie zmarnowałaś dnia. – Wciąż się śmiejąc i przekomarzając, włożyła swoją różę za wstążkę kapelusza. Sara uczyniła to samo. Dopily czekoladę i w wysmienionych nastrojach opuściły kawiarnię.

Gdy mijaly Rogatki Belwederskie, serce Sary wypełniała nadzieja. Snuła plany o wielkiej sławie i o tym, że zostanie pierwszą polską powieściopisarką. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Marianna natomiast otworzyła przygotowany przez Martę koszyk i z apetytem pałaszowała wiktuały zaspokajając młodzieńczy głód.



Klementyna Wolska stanęła w drzwiach kuchni akurat w momencie, gdy Gertrudzie wyśliźnął się z rąk garnek z zurem. Rozległ się huk i tłusta gęsta gorąca zupa prysnęła na posadzkę i kredensy. Pomieszczenie wypełnił smakowity zapach wędzonego boczku, którego kawałki leżały teraz między taboretami a kaflową białą kuchnią. Na szczęście kucharka zdążyła odskoczyć, bo niechybnie uległaby poparzeniu.

– A niech to gęś kopnie! Diabeł ogonem machnął i garnek strącił – pożaliła się do siebie kucharka, nie zauważywszy chlebowdawczyni stojącej w drzwiach. – Eh, nieszczęście. Dwa dni gotowania diabli wzięli.

– Nic ci nie jest, Gertrudo? – Wolska omiotła pomieszczenie przenikliwym wzrokiem, a na końcu zatrzymała się na skruszonej starszej kobiecie. – Może siły już nie macie?

– Siły już nie te, co za młodu, ale radzę sobie. Ot, pierwszy raz coś takiego mnie spotkało. W garze śliskie ucha, za wcześnie z pieca zdjęłam, powinnam poczekać, aż trochę przestygnie. Moja wina – tłumaczyła się, wycierając dłonie w rąbek fartucha.

– Dobrze, uprzątnij to, z tym już nic się nie da zrobić – rzuciła z westchnieniem Klementyna.

– Spróbuję zebrać i dla inwentarza zaniosę, to przynajmniej tyle.

– Dobrze, zrób to szybko, póki jest jeszcze co ratować – oznajmiła Wolska, zakręciła się na pięcie i wyszła z pomieszczenia. Miała wydać dyspozycje, co ma być podane w przyszłym tygodniu, ale w tej sytuacji zdecydowała, że porozmawia później. Wyszła przed dom, bo здавало jej się, że słyszy tętent końskich kopyt. Stanęła na szczycie szerokich schodów i zmrużyła oczy przed słońcem. Cofnęła się o krok, by skryć się w cieniu. Nie miała w zwyczaju wychodzić na zewnątrz bez woalki.

– Tadeuszu – zwróciła się do kamerdynera – rozpoznajesz z daleka, kto jedzie aleją?

– To panicz Julian, proszę pani. Tak, na pewno to pan Julian. Nikt inny nie porusza się na koniu z taką gracją. – Kamerdyner uniósł nieznacznie kąciki ust. Sam lubił niegdyś dosiadać wierzchowca, potrafił docenić jeździecki kunszt. Minał Wolską i z dystynkcją, na jaką zasługiwała pełniona przez niego funkcja, zszedł po schodach, aby pomóc młodemu paniczowi przytrzymać konia.

– Dzień dobry, ciotucho! – zawołał młody mężczyzna, gdy tylko zeskoczył z wierzchowca. Podbiegł do Klementyny i ucałował jej dłoń. – Jak dobrze widzieć ciocię w dobrym zdrowiu.

– Jak się masz, Julianie? Dawno do nas nie zaglądałeś – upomniała siostrzeńca, nadstawiając dłoń i policzek do pocałunku. – Czyżbyś bawił gdzieś za granicą? Czy po prostu nie miałeś czasu do starej ciotki zajrzeć?

– Ciociu, jesteś jak zawsze młoda i piękna. Nie ma w okolicy piękniejszej damy od ciebie. – Posłał Klementynie promienny uśmiech i wachlując się kapeluszem, przepuścił ciotkę w drzwiach i wszedł za nią do środka. – A gdzie Sara i wujek? – spytał, rozglądając się po przestronnym holu.

– Ambroży pojechał na przegląd folwarku, wróci przed wieczorem, natomiast Sara jest na górze u siebie. Co ja mam z tą dziewczyną. Ciągle tylko przesiaduje w swoim pokoju i wciąż

coś notuje – poskarżyła się. – Nie sposób jej wyciągnąć na świeże powietrze. Dobrze, że choć wczoraj spędziła dzień na pikniku.

– Na jakim pikniku, ciotucho? – zainteresował się. – Szkoda, że mnie nie zabrała ze sobą, też jestem spragniony rozrywek, nic się ostatnio nie dzieje w okolicy. – Podał kamerdynerowi kapelusz i usiadł w swobodnej pozie na otomanie.

– Raczysz sobie ze mnie żartować, Julianie? – Wolska pogroziła mu palcem. – Nie kpij ze starej ciotki. – Wzięła dzwonek do ręki i poruszyła nim krótko i energicznie.

– Ja naprawdę nie wiem nic o żadnym pikniku, a chętnie się dowiem. Jestem spragniony zabawy, beztroski i śpiewów przy dobrym winie. – Wodził za ciotką wzrokiem, gdy wydawała Marcie polecenia w kwestii poczęstunku.

Zwabiona wesołymi odgłosami dobiegającymi z dołu, Sara porzuciła pracę nad rozdziałem i zbiegła po schodach. Przywitała się z Julianem, który na jej widok zerwał się z otomany i rozpostarł ramiona. – Dobrze cię widzieć, kuzyneczko. Pięknie wyglądasz! Rozpromieniony wzrok, uśmiech i rumieńce, no, no, a ciotuchna skarży się, że siedzisz zamknięta w swojej samotni. Widać jednak ta samotnia ci służy.

– Ciebie też miło widzieć, kuzynie. – Wymknęła się z jego ramion i usiadła po drugiej stronie stolika z kości słoniowej.

– Mów, kuzyneczko, na jakim pikniku się bawiłaś i dlaczego mnie nie zabrałaś? – Julian wrócił na otomanę i przyjął na powrót nonszalancką pozę. Rozparty wygodnie, patrzył roześmianym wzrokiem na nagle speszoną Sarę.

Klementyna, zajęta nalewaniem kawy do małych filiżanek z chińskiej porcelany, nagle nadstawiła uszu, choć nie dała po sobie poznać, że rozmowa między młodymi tyleż ją zaskoczyła, co zaintrygowała. Sara poprawiła fałdy niebieskiej spódnicy i spuściła głowę. Milczała. Julian najwyraźniej wyczuł napięcie pomiędzy kobietami, bo spoważniał w jednej chwili.

– Saro, zechciej opowiedzieć nam o wczorajszym pikniku, skoro Julian prosi. – W pochmurnym spojrzeniu Klementyny czał się wyrzut.

– Cioteczko, co tam piknik. Mało to razy bywało się na piknikach! – rzucił beztrosko.

– Jednak nalegam, Saro. Wczoraj wymówiłaś się zmęczeniem, to proszę opowiedz nam teraz. Jestem bardzo ciekawa, jak spędziliście wczorajszy dzień, skoro Julian nie pamięta pikniku we własnym dworze.

Sara oblała się rumieńcem, westchnęła, przełknęła ślinę i wyjawiała w końcu:

– Nie byłam na pikniku. Przepraszam, mamu, że cię okłamałam. – Podniosła wzrok na matkę i przeraziła się zaciśniętymi wargami i rzucającym gromy spojrzeniem Klementyny. – Bardzo cię przepraszam za to kłamstwo.

– W takim razie gdzieście byli z Marianną? – spytała chłodnym, spokojnym tonem, napełniając drugą filiżankę aromatycznym napojem. – Julianie, proszę, to dla ciebie. – Przytrzymała filiżankę w dłoni. Podolski natychmiast się zerwał i odebrał kawę od ciotki.

– Pojechaliśmy z Marianną do Warszawy znaleźć wydawcę – wydusiła z siebie dziewczyna pod surowym spojrzeniem matki. – Jeszcze raz bardzo cię przepraszam za to kłamstwo.

– A co tam u Adelajdy? – zwróciła się do siostrzeńca Klementyna, zupełnie ignorując słowa córki, jakby te w ogóle nie padły.

– Dobrze, mama cieszy się znakomitym zdrowiem – podchwycił Julian, czując się na swój sposób winny zaistniałej sytuacji przez swoje wścibstwo. Wyrzucał sobie, że gdyby nie dopytywał o ten nieszczęsny piknik, tajemnica kuzynki nie ujrzałaby światła dziennego.

– Cieszę się, że uporczywe migreny dały o sobie zapomnieć. – Wolska podniosła szklanke do ust i upiła łyk kawy. Wypytywała jeszcze Juliana o mniej i bardziej interesujące ją sprawy, ale młody mężczyzna wypił kawę, zjadł ciastko i przy pierwszej sposobności się pożegnał i z ulgą wyjechał z Bielawy.

– Nie rozumiem twojego postępowania, Saro. Narażasz się na śmieszność. A przy okazji też mnie. Już się śmieją w towarzystwie, że nie potrafiłam córki wychować jak należy. Przysparzasz mnie i ojcu prawdziwych zmartwień. Nie chcę nawet myśleć o waszej szalonej eskapadzie, która mogła się skończyć utratą czci i godności. Zejdź mi z oczu. I tak wolisz przebywać w samotni swojego pokoju, więc idź, pisz te swoje farmazony. – Matka wstała i zaczęła przechadzać się nerwowo po salonie.

– Mamo...

– Nie. Nie mów nic. Nie chcę słyszeć następnych kłamstw ani przeprosin. Myślałam, że wychowałam cię na posłuszną, skromną pannę, a nie na podlotka uganiającego się za mrzonkami. Jeśli już musisz pisać, to pisz, ale nie omieszkaj wrzucić potem tego do ognia. Wstydu nam nie przynos. Mam nadzieję, że jeszcze mam co ratować. Powinnaś być posłuszną córką. Niech nie żyję w przeświadczeniu, że zmarnowałam życie. A teraz zostaw mnie, muszę w spokoju pomyśleć i naradzić się z twoim ojcem. Idź do swojego pokoju.

Sara wstała i ze zwieszonymi ramionami weszła po schodach i zamknęła się w sypialni. Miała żal do Marianny, że ta nie wtajemniczyła brata w ich sekret. Zawsze cieszyła się z każdej wolnej minuty, którą mogła poświęcić swojej pasji, teraz jednak ten przymusowy czas w zamknięciu tak bardzo ją smucił, że nie usiadła nawet do biurka. Położyła się na łóżku i targana wyrzutami sumienia rozmyślała, jak obłaskawić rodziców. Wiedziała, że nie będzie łatwo. Czy to moja wina, że świat mnie nie rozumie? – zastanawiała się. – Dlaczego mężczyźni mogą spełniać swe marzenia, a my, kobiety, jesteśmy kształcone, by służyć? Dlaczego nie możemy oddawać się swoim pasjom, tylko strzec domowego ogniska, wciąż i wciąż podsycając płomień? Westchnęła zniechęcona. Przypomniały jej się słowa, które rzuciła wydawcy, że nie żałuje, iż nie jest mężczyzną.

– Tamto też było kłamstwem – powiedziała głośno do siebie. – Nie ma dnia, bym nie żałowała, że urodziłam się kobietą.



Ambroży Wolski lubił objeżdżać folwarki, rozmawiać z inżynierami i z zarządcą, szczególnie wiosną, gdy zbudzona ziemia odkrywała swoje najpiękniejsze kolory i zapachy. Wyobrażał sobie, że w przyszłości jego wnuki obejmą we władanie piękny majątek, który on odziedziczył po ojcu i mądrym gospodarowaniem doprowadził do świetności. Myśl o wnukach położyła się cieniem na jasnym, dobrze przeżytym dniu. Gdy dojeżdżał do domu, dopadło go zmęczenie. Wysiadł z bryczki wspomagany przez służącego, podziękował mu i wszedł do domu. Chciał

podzielić się z żoną informacjami gospodarskimi, ale przede wszystkim opowiedzieć jej o sytuacji, jaka miała miejsce wśród braci łowieckiej.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zastał żonę zasmuconą w melancholijnym nastroju i nieskorą do rozmowy. Ona, która zawsze wypytywała o najdrobniejsze bodaj sprawy, a to gdzie był, a to kogo spotkał i co widział, teraz siedziała z robótką na kolanach, zapatrzona w jakiś niewidoczny punkt nieobecna duchem.

– Co się stało, Klementyno? Czyś dostała jakąś złą wiadomość? Czy coś ci dolega? – zaczął wypytywać, uklękawszy przed żoną, wyjął z jej rąk serwetkę, którą haftowała, odłożył na bok, a potem podniósł jej dłonie i pocałował raz jedną, raz drugą. – Co tobie, kochanie? – A gdy nie odpowiadała, a z jej oczu popłynęły łzy, naprawdę się przeraził. Jeszcze nie widział żony tak przygaszonej i obojętnej. – Kochanie, proszę, byś mi o wszystkim opowiedziała. Żonie nie wypada mieć przed mężem tajemnic. – Usiadł na otomanie obok małżonki i wciąż trzymając jej dłonie w swoich silnych rękach, spojrzał jej w oczy z przestrachem i wyrzutem jednocześnie.

– Dobrze, powiem ci. – Westchnęła teatralnie. – To nie są moje tajemnice, tylko naszej córki. Okłamała mnie – jęknęła Wolska. – Zwyczajnie mnie okłamała. Tyle lat ją wychowywaliśmy, najlepsza pensja dla dziewcząt, najlepsza guwernantka, a ona tak po prostu zasłoniła się kłamstwem i pojechała sama do Warszawy – wyjawiała powód swojej zgryzoty.

– Co takiego? – Ambroży zerwał się na równe nogi. – Toż to niepodobna dla młodej dziewczyny poruszać się samotnie. Do Warszawy? – Dopiero dotarł do niego sens słów. – A po cóż ona do Warszawy się wybrała?

– Pojechała szukać kogoś, kto upubliczni to jej pisanie. Wyobrazasz sobie, że ona na poważnie chce nam biedy i kompromitacji przysporzyć? – Wolska pokręciła głową. Czuła, jak dopada ją złość.

– Ale tyś nie wiedziała, że ona jedzie do Warszawy? Jak zorganizowała taką eskapadę? Przecież musiała wziąć nasz powóz, stangreta...

– Marianna po nią przyjechała. – Przyłożyła białą chusteczkę do oczu. – To ona wszystko uknuła. Bezcelnie w oczy mnie okłamała, że jadą na piknik, dopiero Julian dziś wyjawiał prawdę. I to zupełnie przez przypadek. – Klementyna opowiedziała mężowi ze szczegółami, jak tajemnica ich córki i siostrzenicy wyszła na jaw.

– Przykre jest to, że Sara tak poważanie się zaangażowała w tę pisaninę. – Ambroży usiadł obok żony. – Pocieszające jest jednak, że zapewne żaden wydawca z nią rozmawiać nie zechciał. Ubzdurzyła sobie jakieś mrzonki i wzięła je za dobrą monetę. – Przejechał ręką po czole. Tak, musiał przyznać sam przed sobą, że mieli poważne strapienie. Stworzyli Sarze bezpieczny dom, na wszystko jej pozwalali, a teraz zbierają żniwo zbytniego pobłażania.

– Mój drogi, co ty mówisz? Najgorsze jest kłamstwo. Własna córka nas okłamuje. Folgujemy jej zbyt. Miga się od powinności. Ja w jej wieku już od dawno byłam matką, a ona słyszeć o małżeństwie nie chce. Ani się spostrzeżemy, jak ludzie wezmą nas na języki. Ambroży – spojrzała na męża wzrokiem pełnym bólu – czeka nas wielka kompromitacja towarzyska. Już mi Adelajda dokucza, że przebieram w kawalerach jak w ulęgałkach, narażając córkę na staropanieństwo. Ja ją narażam na staropanieństwo? – zachnęła się Klementyna. – Przecież ja jej nieba chcę przychylić. Ile zachodu mnie kosztują te rozmowy, te kombinacje. To jest wszystko

takie delikatne. Potrzeba wiele taktu i przewidywań, żeby dobry mariaż przedsięwziąć – mówiła w uniesieniu. – Oczywiście, że nie chcę jej wydać byle komu, więc trochę to trwa, ale i sama Sara jest temu winna. Jak dotąd żaden kawaler jej się nie spodobał.

– Wiem, wiem, gołąbeczko. Podziwiam twoje starania. – Poglądził żonę po dłoni.

– Och, Ambroży, boję się. Boję się, co to dalej będzie – chlipnęła.

– Nie martw się, kochana, wszystko się ułoży. Cierpliwości. Życie samo znajduje rozwiązania. – Starał się ją uspokoić i przemawiał kojąco jak do dziecka.

– A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego ksiązę Hipolit Teofil Reszko do nas nie przyjeżdża. Po naszej ostatniej rozmowie miałam wielkie nadzieje na... myślałam, że przyjedzie – dokończyła szybko.

– À propos Hipolita. Miałem ci właśnie powiedzieć, że spotkaliśmy się dziś w leśnej chacie. Pogadaliśmy o tym i o owym, umówiliśmy się na polowanie na kuropatwy i...

– I nic nie mówisz? – przerwała mu zbulwersowana.

– Chciałem, ale nie miałem okazji. Więc teraz mówię. Wyobraź sobie, że wypytywał mnie o Sarę. Zachowywał się tak, jakby...

– Jakby co? – Małżonka wlepiała w Ambrożego zimne, stanowcze spojrzenie i zacisnęła dłoń na jego dłoni.

– Jakby czynił starania o rękę Sary – wydusił zdziwiony swoimi słowami.

– Naprawdę? – Teraz ona się zerwała z miejsca i zaczęła nerwowo chodzić po salonie. – I co żeś księciu odpowiedział?

– Zdziwiłem się, ale chciałem najpierw porozmawiać z tobą. On wyraźnie zapytał mnie, czy mam coś przeciw niemu jako zięciowi – wydukał Wolski.

– A masz coś przeciw? – Ściągnęła brwi ku sobie i stanęła przed mężem niczym święta inkwizycja.

– Chyba tylko wiek... Hipolit jest o rok ode mnie starszy. Nie uważasz, że jest za stary dla naszej córki? – spytał niepewnie.

– Wręcz przeciwnie! – Wzięła się pod boki niczym przekupka na rynku. – Ksiązę Hipolit Teofil Reszko owszem, swój wiek ma, ale nasza córka wymaga twardej ręki. Przecież ona gotowa starą panną zostać. Jej to najwyraźniej odpowiada.

– Tak, kochanie, nie denerwuj się. Ja tylko się zastanawiam...

– Zostaw to mnie – syknęła, a potem westchnęła dla zatarcia złego wrażenia sprzed chwili i usiadła obok męża. – Powiedz mi, czy rzeczywiście rozmowa między wami zaszła aż tak daleko, by mniemać, że w jakimś sensie były to oświadczenia?

– Tak, spytał mnie, czy nie mam nic przeciwko temu, by oświadczył się Sarze. Uważa ją za interesującą i co dla niego ważne, pokorną dziewczynę.

– Mów szczerze, co mu odpowiedziałeś?

– Już ci mówiłem: że muszę się poradzić z tobą. Oświadczyłem mu, że za dzień, dwa dam mu odpowiedź – rzekł, uważając na każde słowo, by nieopatrznym wyznaniem nie rozgniewać żony.

– Ksiązę Hipolit jest smakowitym kąskiem. Nie zauważyłeś, że odkąd owdowiał, jest zapraszany częściej do dworów, w których są panny na wydaniu? Cóż to jest dla mężczyzny pięć-

dziesiąt jeden lat? Nic – odpowiedziała sobie. – Wy, panowie, dostajecie natenczas drugą młodość. – Poklepała go po udzie, pochłonięta myślami o możliwym ślubie córki.

– Skoro tak uważasz, niech się stanie według twojej woli – powiedział, uciekając gdzieś wzrokiem. Nie chciał zagłębiać się w dojmujący smutek, który go nagle owładnął. Coś mu w Reszce nie pasowało. Sam jednak nie wiedział, co to może być. I nie chodziło tylko o wiek. Książę miał lekceważący i władczy stosunek niemal do wszystkich. Nie szanował nikogo, kto miał inne niż on zdanie. Jest władczy, ale może to się kobietom podoba – pomyślał Wolski, westchnąwszy głęboko.



Wielki mahoniowy zegar stojący w rogu salonu wybił godzinę siedemnastą dokładnie w momencie, gdy na podjeździe przed dworem państwa Klementyny i Ambrożego Wolskich zatrzymał się powóz zaprzężony w sześć gniadych koni. Ubrany w czarny surdut i białą koszulę kamerdyner usłuźnie otworzył drzwi i skłoniwszy głowę, pomógł wysiąść postawnemu mężczyźnie w średnim wieku. Zdobiony złotem i brokatem granatowy aksamit wytworzonego i z pewnością kosztownego żupana, w który wystrojony był przybyły, połyskiwał w promieniach popołudniowego słońca. Dumnie uniesiona głowa mężczyzny, orli nos, wyprostowane ramiona i władczy sposób bycia budziły respekt i nie pozostawiały wątpliwości, że ma się do czynienia z wielkim panem.

Pochylona nad grubym kajetem Sara Leokadia Wolska słyszała rżenie koni, szczekanie psów oraz głosy dochodzące z dołu, ale dopiero szybkie kroki na schodach i energiczne pukanie do drzwi jej pokoju sprawiły, że uniosła głowę, z lekką rezygnacją włożyła pióro do kałamarza i odsunęła notatnik. Zdążyła zapisać już kilka stron nowej powieści, bo od pamiętnego spotkania z wydawcą nabrała wielkiej nadziei na sukces.

– Proszę – zawołała, tłumiąc westchnienie.

– Panienko Saro, panienko Saro! – Marta, dysząc, wsunęła się do pokoju, położyła dłoń na piersiach i starała się uspokoić oddech.

– Co się takiego stało, Marto? – Wolska wpatrywała się w młodziutką służącą. – Czy wiesz, kto przybył z wizytą?

– Panienko Saro, przyjechał jaśnie książę Hipolit Teofil Reszko! Przyjechał osobiście! – Dziewczyna dobitnie zaakcentowała ostatnie słowo.

– Oczywiście, że osobiście, przecież nie mógł przyjechać przez posłańca. – Zniecierpliwiona Sara wzruszyła ramionami. – No i cóż w tym takiego niezwykłego? Przecież jeżdżą z papciem na polowania. Pewnie ma jakąś sprawę.

– Panienko, wiem z dobrego źródła, że on przyjechał prosić o rękę panienki – wyrzuciła jednym tchem.

– Co też ty wygadujesz? Powtarzam ci, książę Hipolit jest przyjacielem mojego papy. I pewnie do niego przyjechał. A poza tym, o ile mi wiadomo, jest strasznie stary, starszy nawet od mojego tatki. W dodatku jest w żałobie. Nie dalej jak trzy miesiące temu zmarła mu żona.

Zapewne ani mu w głowie ponowny ożenek – zgromiła Martę panienska Wolska. Mimo spokoju wypisanego na twarzy dłonie jej zdrząły, a serce przyspieszyło.

– Żadnej żałoby u niego nie widać – prychnęła Marta. – Ubrany wytwornie, pachnący i piękny. Co jak co, ale na dworskich konwenansach znam się jak nikt inny. Dużo widzę i słyszę. A ostatnio u nas we dworze mówi się tylko o panienki zamążpójściu. Przecież to już czas. Sama panienska o tym wie – trajkotała nieco naburmuszona, poprawiając perkalowy materiał szarej sukienki i wygładzając biały fartuszek. – Och, byłabym zapomniała. – Pacnęła się ręką w czoło i roześmiała. – Gapa ze mnie, ale to przez to, że przejęłam się okrutnie. Panienko, toż to magnat. Prawdziwy arystokrata. Będzie panience u niego jak u samego króla...

– No dobrze, mniejsza o to – przerwała tę tyradę panna Wolska. – Jaką masz do mnie sprawę?

– Pani Klementyna i pan Ambroży proszą, by panienska zeszła do salonu – wyjawiała w końcu powód swojego wtargnięcia. – Ach, znowu bym zapomniała! – wykrzyknęła. – List do panienki przyszedł. Z samej Warszawy! – dorzuciła z dumą i wyjęła z kieszeni fartucha szarą kopertę.

– Z Warszawy? Ależ to przecież od wydawcy. Daj mi, proszę, ten list. – Niemal wyrwała jej kopertę, rozerwała i rozłożyła kartkę z pięknej błękitnej papeterii. Usiadła na łóżku i przebiegła wzrokiem litery. Zamrugła i głośno przełknęła ślinę. Już po chwili pobladła, przygasła i posmutniała.

– Panienko Saro, państwo czekają na dole – ponagliła ją Marta.

– Dobrze, dziękuję. Już schodzę. – Sara wstała i rozcierając lodowate dłonie, skierowała się w stronę drzwi.

– Ależ tak nie wolno! Musi panienska się przebrać. Tak zejść nie przystoi. Toż to magnat. – Oburzyła się. – Niech panienska włoży tę jasnozieloną suknię z organdy. Pięknie w niej panience.

– Dobrze – zgodziła się Sara bez oporu.

– Jest odpowiednia. Zresztą, to będzie niezwykle popołudnie. Otwiera się przed panienką świat. Wielki świat – perorowała Marta. Otworzyła drzwi przylegającej do pokoju garderoby i pieszczotliwie przejechała dłonią po gładkiej fakturze materiału. – Musimy się spieszyć, żeby nie urazić gościa. No, już, proszę się odwrócić, zawiążę mocniej sznurówkę w gorsecie.

Sara zaparła się rękoma o filar wielkiego łoża z baldachimem i zrezygnowana wciągnęła powietrze, by Marta mogła ciaśniej zawiązać gorset. Potem dała na siebie zarzucić zwoje jasnozielonej organdy i zawiązać w pasie ciemnozieloną wstążkę. Wsunęła stopy w zielone aksamitne pantofelki zgrane z kolorem przepaski i usiadła przed toaletką. Służąca wcisnęła w wysoko upięty wokół głowy jasny warkocz dziewczyny ozdobną spinkę z ametystami, po czym odsunawszy się kilka kroków, patrzyła z uśmiechem na swoje dzieło.

– Ojej! – jęknęła, krzywiąc usta w niespodziewanym grymasie. – Panienki dłonie są uwalane atramentem. Niepodobna zejść z takimi plamami.

Wolska rozprostowała ręce i przyjrzała im się krytycznie. Rzeczywiście na trzech palcach prawej ręki wdziały się granatowe plamy. Bezwiednie zacisnęła dłonie i schowała za siebie.

– Nie mogę tego niczym zmyć – wyznała gorzko. – Atrament wżarł się zbyt głęboko. – I nagle dotarła do niej bezsensowność jej dotychczasowego życia. Cóż z tego, że lubi pisać, kiedy nikt nie chce czytać grafomanii kobiet, jak napisał Gurg. Ostre słowa wydawcy stanęły jej przed oczyma. Chciała wyrzeć je z duszy, ale nie potrafiła.

– Za dużo czasu spędza panienska przy biurku. Oj, za dużo. No ale tak czy siak musimy coś z tym plamami zrobić. Zmyć się tego nie zmyje, nie ma co nawet marzyć. Trudno, musi panienska włożyć rękawiczki. Najlepiej te cieniuchne, koronkowe. O te! – trajkotała Marta. Wyjęła z szuflady parę białych rękawic z cieniutkiej paryskiej koronki. – A teraz szybko, niech panienska idzie, zanim jaśnie państwo się rozgniewają.

Sara Leokadia Wolska, schodząc po ciemnych szerokich schodach, zagryzała wargi. Dumnie wyciągnięta szyja, uniesiony podbródek i jasne spojrzenie błękitnych oczu nie zdradzały rozpacz i niepokoju, a jednak miotał nią strach. Odsunęła myśl o liście z wydawnictwa i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście rodzice wydadzą ją za męża za przyjaciela jej ojca. Był bardzo majątny, bywał w świecie i z pewnością stanowił niezły matrymonialny kąsek dla wielu kobiet. Ją jednak przytłaczał zaawansowany wiek mężczyzny oraz zbyt wyniosły, by nie rzec gburowaty sposób bycia. Bała się go. Na końcu schodów przystanęła, by zaczerpnąć tchu jak przed skokiem do głębokiej lodowatej wody, ale gorset nie pozwolił na swobodny oddech, zamrugała, starła szybkim ruchem dłoni bujającą się na rzęsach łzę, przywdziała na usta grzecznościowy uśmiech i weszła do salonu.

Na widok młodej damy ksiązę Hipolit Teofil Reszko odstawił niespiesznie filiżankę z kawą na okrągły stolik, po czym wstał i skłonił się nisko, a gdy dziewczyna podeszła i podała mu dłoń, chwilę się wahał, a potem złożył pocałunek na nadgarstku, w miejscu, w którym kończył się materiał rękawiczki, i nieco zbyt długo taksował Sarę swobodnym wzrokiem. W końcu, skrępowana, wysunęła dłoń i usiadła na szerokiej, obitej bordowym pluszem otomanie.

– Saro, pan Hipolit przyjechał, by zaprosić nas na bal w swoim pałacu, czyż to nie cudowne? – Matka bawiła się wachlarzem. To go rozkładała, to składała i wyglądało na to, że ma potrzebę zająć czymś ręce.

– Jestem zaszczycona – wyszeptała z grzecznościowym uśmiechem Sara, nie wykazując targających nią emocji. Nerwowość, której matka nie potrafiła ukryć, oraz zbyt śmiałe spojrzenia Hipolita, a także nieodgadniona mina milczącego ojca wywołały u Sary gonitwę myśli. Nie była dotychczas zakochana, nie знаła tego uczucia, żaden młodzieniec nie skradł jej serca, ale jednak mimo wszystko inaczej wyobrażała sobie kandydata do małżeństwa.

– Kochanie, to będzie bal sezonu. Książę Hipolit wyświadczył nam ogromny zaszczyt. Będziesz czynić honory domu, a także poznasz wspaniałe towarzystwo. – Matka zmrużyła oczy. Córka dobrze znała to spojrzenie. Krył się za nim niemy rozkaz, narzucający posłuszeństwo.

– Nie wątpię w to. I jestem wdzięczna za zaproszenie – odpowiedziała mechanicznie.

– To wydarzenie dzięki pani obecności, panno Saro, będzie dla mnie wyjątkowe, dlatego pozwolę sobie ofiarować pani mały drobiazg. Będzie mi niezmiernie miło, jeśli panna zechce włożyć go na bal. – Dał znać wzrokiem kamerdynerowi, a ten natychmiast podszedł do dziewczyny i otworzył przed nią kwadratowe, płaskie pudełko, zdobne w złocenia. Oczom dziewczyny ukazała się wysadzana brylantami kolia i piękne długie kolczyki. Służący manew-

rował dłonią z pudełkiem tak, by na podarek padały promienie słońca. Klejnoty skrzyły się, przyciągając wzrok wszystkich obecnych w salonie.

– Zaiste, Hipolicie, zacny prezent – pochwaliła Klementyna. Oczy jej rozbłysły. Siedzący dotąd bez słowa Ambroży podkręcił węża, a z jego ust wydobyło się sapnięcie. – W takiej kolii każda kobieta oczaruje świat – dokończyła pani domu.

– Dziękuję panu. – Sara, lekko zażenowana, zaledwie uniosła kąciki ust i skinęła głową. Wartość prezentu jasno dała jej do zrozumienia, że zamiary starego sarmaty są jednoznaczne. Wpojone przez matkę i guwernantki zasady dobrego wychowania pozwoliły zachować pokorową twarz, mimo że jej dusza lkała.

– Nie przymierzy panna? – Reszko zmarszczył brwi, odchrząknął i splunął nadmiar śliny w stojącą w rogu porcelanową kraszuarę.

– Pozwoli pan, że włożę kolie dopiero na bal. – Wywinęła się od przykrego dla niej obowiązku.

– Niech się zatem stanie, według pani woli. – Skłonił nieznacznie głowę. – Panie wybaczą, że się oddalę, mam potrzebę zażycia tabaki. Ambroży, zechcesz mi towarzyszyć?

Ambroży Wolski podniósł się energicznie i nie patrząc córce w oczy, wyszedł za gościem. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Sara wbiła w matkę przepelnione rozpaczą spojrzenie. Nim zdążyła otworzyć usta, Klementyna wzięła w dłonie porcelanowy złożony dzbanek z jaśminową herbatą i rozlała ciepły napój do filiżanek. Jedną z nich podała córce, a drugą przytrzymała w dłoni, potem wyprostowała się i upiła drobny łyk.

– Uprzedzę twoje nieme pytanie, które masz wymalowane w oczach. Otóż nasz zacny przyjaciel i wspomniały magnat księżę Hipolit Teofil Reszko wyświadczył nam niebywały zaszczyt i poprosił o twoją rękę, a my wyraziliśmy zgodę.

– Kiedy?

– Pytasz kiedy ślub? W odpowiednim czasie, ale dość szybko.

– Nie, mam, pytam, kiedy księżę Reszko poprosił was o moją rękę. – Sara pobladła.

– Jakiś czas temu, nie pamiętam dokładnie. To dla ciebie istotne? – Kobieta z wdziękiem odstawiła filiżankę i spodeczek na stolik z kości słoniowej.

– Niedawno zmarła mu żona, to po pierwsze, a po drugie, czy nie uważasz, mam, że dzieli nas zbyt duża różnica wieku? – spytała drżącym głosem, świadoma, że jest na przegranej pozycji. Skoro rodzice dali słowo i przyrzekli mu jej rękę, nie było takiej siły, która wyzwoliłaby ją z fatalnego położenia.

– Pragnę, byś zauważyła, że mnie i twojego ojca również dzieli znaczna różnica wieku, a życie pokazało, że nie ma ona najmniejszego znaczenia.

– Za pozwoleniem, jesteś, mam, młodsza od tatki zaledwie o dziesięć lat. Księżę Hipolit jest starszy ode mnie o lat dwadzieścia dziewięć – powiedziała wzburzona.

– Popatrz na to jak na zaletę. Będzie dla ciebie nauczycielem życia. Mentorem, który pokaże ci świat. Mam nadzieję, że mogę ci ufać i że sprostasz zadaniu, zostając godną księcia żoną, a w przyszłości dobrą matką. Ciesz się, że księżę Reszko nie ma dzieci z poprzedniego związku i cały majątek odziedziczysz tylko ty. Saro, nie odwracaj głowy, spójrz na mnie. – W głosie matki wyczuła stanowczość. – Nie jesteś już pierwszej młodości, skończyłaś dwa-

dzieńca dwa lata. Chowasz się w swoim pokoju, zamiast spotykać się z młodzieżą. Doszłam do wniosku, że najodpowiedniejszym dla ciebie mężem będzie mężczyzna starszy, znający życie, a nie młokos, któremu jeszcze krew w żyłach płonie i który się tobą szybko znudzi.

– Źle się czuję. Rozboliła mnie głowa. Czy pozwolisz, mamó, że pójdę do swojego pokoju? – spytała, ledwo poruszając ustami. Obawiała się, że emocje wezmą górę i rozplacze się w obecności rodziców i przyszłego małżonka. Matka by jej tego nie wybaczyła.

– Ani mi się waź – odpowiedziała spokojnie Klementyna. Wypowiadane słowa kontrastowały ze stoickim spokojem i uśmiechem. – Nie histeryzuj. Domyślam się, że wolałabyś siedzieć na górze i pisać te swoje farmazony, ale wyobraź sobie, że oprócz grafomanii istnieje jeszcze prawdziwe życie – stwierdziła filozoficznie, po czym chwyciła stojący na stoliku obok filiżanki srebrny dzwoneczek i potrząsnęła nim energicznie na znak, by podano kolację.

Słowa matki uderzyły dziewczynę jak wymierzony policzek. Użyła tych samych słów, których użył wydawca w odmowie. To nie była zwykła odmowa, on zwyczajnie zmieszał jej powieść z błotem. Obśmiał i sugerował, by wybiła sobie z głowy dalsze pisanie. Kobieta nigdy nie zostanie pisarką – dodał na zakończenie. A więc nigdy nie zostanie pisarką. To były tylko mrzonki. Zrobiło jej się niedobrze na wspomnienie długich nieprzespanych nocy, gdy godzinami ślęczała przy wypalających się świecach i szukała odpowiednich słów, by wyrazić emocje w pisanej historii. Broda jej zadrżała. Najchętniej wtuliłaby się w puchatą pierzynę w swoim pokoju i w ciemności wypłakała swój ból. Nie dane jej jednak było cieszyć się samotnością. Musiała odegrać wyznaczoną jej rolę do końca.

Gdy zasiadano do stołu, ciepłe majowe słońce zdążyło schować się za horyzontem i w obszernej jadalni włączono ściennie lampy naftowe, a na suto zastawionym stole zapalono świece. Rozmowa toczyła się właściwie tylko między wyraźnie ukontentowaną Klementyną i Hipolitem. Ambroży w doskonałym nastroju wtrącił jakąś uwagę, natomiast Sara odpowiadała uprzejmie, ale wycutym z emocji głosem na zadawane jej od czasu do czasu przez matkę i przyszłego małżonka pytania. Oczy jej się zaszklily, ale siłą woli powstrzymała łzy. Kolacja dłużyła jej się w nieskończoność. Pomyślała, zrezygnowana, że wyjdzie za tego wstrętnego mężczyznę, niechże już tylko dadzą jej spokój. Dopiero w czterech ścianach swojego pokoju rozplakała się jak dziecko.

– Panienko Saro, nie potrzeba płakać. Przed panią bajkowe życie. Tylko się cieszyć. Inni będą panience zazdrościć przepychu i bogactwa – uspokajająco przemawiała Marta, uwalniając dziewczynę z gorsetu. – Och, jest panienka przemarznięta! Proszę się kłaść do łóżka, a ja wsunę panience gorącą cegłę. Jeszcze jakieś choróbko się przyplacze. Na szczęście rozpałam w kominku, niby ciepło, ale mury nigdy się dość nie nagzewają. Szybko, niech się panienka kładzie. Raz dwa! – ponaglała ją. Odwiesiła suknię do garderoby, wyniosła na korytarz kubek z nieczystościami i wstawiła czysty, a gdy cegła się zagrzała, owinęła ją w gruby materiał i wsunęła swojej pani pod pierzynę.

Sara leżała z otwartymi oczami i przyglądała się ruchomym cieniem rzucanym na suficie przez stojącą na stoliku przy łóżku lampę naftową. Marta skróciła knot i płomień ledwo się tlił, oświetlając znikomą część pomieszczenia. W kominku w rogu pokoju przyjemnie trzeszczały szczapy drewna, dając ciepło i nieznacznie rozpraszając mrok.

A w sypialni rodziców matka, która już od wczesnego dzieciństwa swojej jedynaczki kalkulowała mariaże, dziś świętowała. Po śmierci Feliksy, pierwszej żony Hipolita, za którą Klementyna notabene nie przepadała, Wolska natychmiast poczyniła starania, by wdowiec jak najszybciej zwrócił uwagę na jej córkę. Świadoma, że jest on niezwykle atrakcyjną partią, pragnęła odsunąć potencjalne rywalki. Przy pierwszej sposobności pokierowała rozmową tak, by przyjaciel rodziny Hipolit Teofil Reszko prędko wpadł na to, że młoda Wolska jest bezcennym klejnotem, który warto zdobyć. Dziś Klementyna dziękowała losowi, że książe z własnej woli poprosił Ambrożego o rękę ich córki i nie musiała imać się dodatkowych sztuczek.

Ambroży Wolski miał mieszane uczucia. Łączyła go z Hipolitem przyjaźń oparta na wspólnym zamiłowaniu do myślistwa. Doceniał arystokratyczne pochodzenie przyjaciela i ogromny majątek, wyniosłość, którą Hipolit się cechował, również zaliczał do jego zalet, w końcu był urodzonym wielkim panem, wykształconym i wychowanym tak, by władczo wydawać polecenia. Miał natomiast wątpliwości co do wieku kandydata. Dwadzieścia dziewięć lat różnicy rodziło w jego głowie pewien dysonans. Pragnął dla swojej córki wszystkiego, co najlepsze, również miłości małżeńskiej. I choć był zdania, że miłość przychodzi po latach, tak w tym przypadku nie był do końca przekonany, czy Sara rzeczywiście będzie w stanie pokochać swojego męża. W to, że Hipolit pokocha Sarę, nie wątpił ani przez chwilę. Jakże można nie kochać tej słodkiej istoty, jaką była jego córka. Uśmiechnął się dobrodusznym na myśl o jej niewinnych błękitnych oczach, serdecznym sposobie bycia, a także trochę śmiesznej egzaltacji do zachwywania się pięknem przyrody i opisywania w kajecie wszystkiego, co widzi i czuje.

– Mój mężu, oczywiście, że z początku nie będzie łatwo, jak to w małżeństwie – stwierdziła z przekonaniem Klementyna, siedząc przy białej toalecie z lustrem i szczotkując długie gęste jasne włosy, za dnia upięte w modny kok. – Zobaczysz jednak, że otoczona luksusem i rozpieszczana przez małżonka Sara otworzy swoje serce na miłość małżeńską. Ja też jestem od ciebie sporo młodsza, mój drogi, a jednak cię pokochałam. – Uśmiechnęła się wyniosłe. – Zobaczysz, nim się spostrzeżemy, Sara męża pokocha, a my pokochamy wnuki. Hipolit to mężczyzna w kwiecie wieku, a do tego przystojny i postawny. Potrafi dać kobiecie szczęście. – Westchnęła, odłożyła szczotkę, a potem wsunęła się pod pierzynę i oparła głowę o ramię męża.

– Masz rację, Klementyno – powiedział, gdy żona dała się pocałować, a potem przyzwoliła dotknąć piersi i zadrzeć białą koszulę nocną. – Hipolit to właściwy kandydat dla naszej córki. – Sapnął, oddając się z lubością długo wyczekiwany powinnościom małżeńskim.



W wielkiej lustrzanej sali balowej napięcie sięgało zenitu. Eleganckie towarzystwo szepotało między sobą, na przemian chwając i obmawiając gospodarza. Bo czyż to przystoi wydawać huczne bale, gdy ciało małżonki dopiero zaledwie kilka miesięcy spoczywa w grobie? W dodatku do zebranego towarzystwa dotarły już słuchy, że na balu księciu Hipolitowi będzie towarzyszyła narzeczona. Zadne matrony, które swoje córki najchętniej wepchnęłyby w ramiona magnata, teraz ochoczo wymieniały się między sobą plotkami, że to nie wypada. Jed-

nak wśród tych szeptanych słów krytyki i pochwał uśmiech nie schodził im z twarzy, a zerka-
jące zza wachlarzy bystre oczka świdrowały wszystko dookoła, jak dociekliwy sędzia przed
ogłoszeniem wyroku.

Równo o godzinie dziewiętnastej na szczycie schodów stanął, ubrany w połyskujący zło-
tem żupan, książe Hipolit Teofil Reszko. Jednak mało kto patrzył na niego. Wszystkie spojrze-
nia skierowały się na młodziutką, bladą jak miśnieńska porcelana Sarę Leokadię Wolską. Ko-
biety jęknęły zazdrośnie na widok przepięknej kolii wysadzonej brylantami, która teraz zdo-
biła szyję dziewczyny. Taki klejnot musiał kosztować fortunę. W blasku świec umieszczonych
na mosiężnych kandelabrach kamienie mieniły się niczym gwiazdy, tylko oczy dziewczyny po-
zostawały smutne. Stała wyprostowana z uniesionym dumnie podbródkiem, bez uśmiechu
i bez blasku w oczach.

Nagle ktoś klasnął w dłonie, przeszedł szmer, goście pospiesznie dołączyli i w krótkiej
chwili brawa zagłuszyły wszystkie inne dźwięki. Reszko skłonił głowę, potoczył wzrokiem po
zebranych i wygłosił krótką powitalną przemowę. Niemal po każdym zdaniu rozlegały się
brawa.

– Kochani, zaprosiłem was do mojego domu, byście poznali wybrankę mojego serca,
a wkrótce żonę. Oto panna Sara Leokadia Wolska, a już wkrótce Reszko. – Uniósł rękę Sary,
a ona miała wrażenie, że jest dla niego niczym innym jak trofeum. Rzeczą, którą można się
pochwalić. Jej zastygła twarz nie wyrażała żadnych emocji. Dziewczyna stała jak marmurowy
posąg, który owszem jest ładny, ale nie ma w sobie iskry ciepła. Wiedziała, że powinna coś po-
wiedzieć, choćby nic nieznaczące słowa pozdrowienia, czy po prostu rzucić uśmiech, jednak
nie potrafiła się na to zdobyć. Szła po szerokich schodach, na których rozpościerał się perski
dywan, pod ramię z przyjacielem jej ojca. Gdy byli na najniższym stopniu, orkiestra zagrała
kadryla, a towarzystwo rozstało się, by książe Hipolit i Sara otworzyli pierwszym tańcem
bal. Wszystko to działo się poza nią. Przyjmowała gratulacje, prowadziła salonowe konwersa-
cje, dawała się prowadzić do kolejnych tańców, ale w głowie oprócz smutku pobrzmiwały
echem słowa wydawcy. Chciała je odgonić, ale nie potrafiła. Zagnieździły się w jej duszy
i w sercu i uwierały, odbierając radość. „Pani pisanina to grafomania, nigdy nie dorówna pani
językiem i stylem mężczyznom. Radzę zająć się tym, do czego kobiety są stworzone”. Wes-
tchnęła głośno, zapominając, że wokół niej są ludzie.

– Zmęczyła się panna Sara tańcami? Czy wzdycha, że już niezbyt długo panną będzie? –
zainteresowała się hrabina Terestecka. Z jej kąśliwego tonu i bystrych oczu świdrujących kibić
panny Wolskiej dało się wyczytać nutkę zawiści. Tajemnicą poliszynela było, że czyniła stara-
nia, by to jej córka była panią w majątku Reszki. – Zmęczenie świadczy o wątłym zdrowiu,
a w Karczewie potrzeba dziedzica. Zaczny majątek do przekazania. – Otaksowała wzrokiem
złocenia przy kominku, piękne obrazy, kryształowe lustra na ścianach, złote kotary podwią-
zane błyszczącymi taśmami.

– Jestem zdrowa, dziękuję za troskę, hrabino. – Skłoniła głowę i zastanawiała się, jak się
uwolnić od zawistnej towarzyszki, gdy kątem oka dostrzegła narzeczonego. Pierwszy raz jego
widok ją ucieszył. Uśmiechnęła się i zobaczyła aprobatę w jego oczach.

– Widzę, że rozmowa z tobą, hrabino, dobrze podziałała na moją narzeczoną. Jestem wdzięczny. Sara nie rozpieszca mnie uśmiechami, ale za to kiedy się uśmiechnie, potrafię to docenić. Może na tym polega jej słodycz. Tym bardziej jestem pani wdzięczny, że mogę na tym zaręczynowym balu tej słodyczy doświadczyć.

– Och, to nic takiego, drogi książę. Rozmawialiśmy o dziedzicu Karczewa. I nie tylko przecież Karczewa. Przydałby się wam dziedzic albo i ze trzech dziedziców. – Roześmiała się ubawiona swoją uwagą.

Sara zamaskowała zniecierpliwienie i choć na usta cisnęły jej się gorzkie słowa, stłumiła je. Jej guwernantka byłaby z niej dumna. Wciąż powtarzała, że pannie nie przystoi wybuchać gniewem ani nawet złościć się, szczególnie w towarzystwie. Powinna być miła i opanowana.

– Hipolicie, czy zechcesz odprowadzić mnie na taras? Taki piękny wieczór, chcę popatrzeć w gwiazdy, nim znów rozpoczną się tańce.

– Pani wybaczy, hrabino. Prośba mej narzeczonej jest dla mnie rozkazem. – Wysunął ramię, by służyć Sarze pomocą.

– Jak ci się podoba mój dom? – spytał, gdy stali na obszernym tarasie zakończonym białą alabastrową balustradą. Z dołu dolatywał upojny zapach róż, gdzieś w dali rozległo się pohukiwanie puszczyka, które po chwili zagłuszyła melodia walca.

– Jest ogromny i bardzo piękny – odpowiedziała szczerze.

– Nie dane mi było zapełnić go głosami dzieci. – Oparł dłonie o balustradę i zapatrzył się w ciemność. – Wierzę, że teraz to się zmieni. Ludzie strzępią sobie języki, że nie odczekałem stosownego czasu po pogrzebie żony, ale ja i tak długo czekałem. Niech gadają. – Zacisnął pięści.

– Przykro mi z powodu śmierci pańskiej żony – powiedziała ze współczuciem.

– A mnie nie. Jestem teraz dopiero szczęśliwy. Przez długie miesiące żyłem jak w grobowcu. Służba przemykała się cicho niczym duchy, wieczorem ten dom zamierał. A dziś w końcu rozbrzmiała muzyka, wróciło życie i zabawa. Chodźmy, Saro, nie wolno nam aż na tak długo zostawiać gości. Zapraszam cię do walca. – Nim zdążyła odpowiedzieć, już wirowała wśród roztańczonych par. Melodia w końcu zaczarowała i ją, tym bardziej że Hipolit okazał się świetnym tancerzem. Odrzuciła złe myśli i postanowiła zdać się na los. I tak nie miała innego wyjścia.

Kiedy w przerwie pomiędzy tańcami usiadła na miękkiej kanapie, przysiadła się do niej matka. Dotknęła dłonią jej dłoni i patrząc na rozbawione towarzystwo, powiedziała cicho:

– Dobrze postąpiłaś, Saro, godząc się na to małżeństwo. Ptasiego mleka ci tu nie zabraknie. Książę Hipolit jest człowiekiem w sile wieku, spokojnym, statecznym, zobaczysz, jaka będziesz przy nim szczęśliwa. A jeszcze jak przyjdą dzieci, to zapomnisz o dawnych mrzonkach i skupisz się tylko na pociechach.

– Mamo, choć ty, proszę, nie mów o dzieciach. Dałam słowo Hipolitowi i wam, więc wyjdę za niego, ale daj mi się jeszcze trochę rozkoszować wolnością. Wolnością, która przejawia się tylko tym, że nie chcę wybiegać myślami w przód. Nie chcę mówić teraz o czymś, co mnie przeraża. – Spuściła głowę i zaczęła skubać nitki przy koronkowym mankiecie.

– Czy byłaś kiedyś zakochana? – spytała niespodziewanie matka.

– Nie byłam. Dlaczego teraz o to pytasz?

– To dobrze. To znaczy, że twoje serce otworzy się na Hipolita. Gdy tylko poczujesz jego opiekę, jego zaradność, męstwo, to i miłość na ciebie spłynie.

Podniosły się, bo w sąsiedniej sali podano do stołu, a narzeczona księcia pełniła honory domu ramię w ramię z narzeczonym. Poszukała go wzrokiem, on również wypatrywał jej w tłumie gości, a kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnęli się do siebie. To dobry znak – pomyślała panna Wolska. – Cóż z tego, że go nie Kocham. Powoli zaczynam go lubić, a na pensji uczono nas, że przyjaźń i szacunek są w małżeństwie ważniejsze od miłości.

– Panienko Saro, będzie tu panience wspaniale. Niech panienka otworzy się na szczęście, bo ostatnio to aż żalność mnie brała, jak patrzyłam na te łzy wypłakiwane po kryjomu – trajkotała Marta, gdy dobrze po północy znalazły się w wielkiej, wytwornej komnacie z pięknymi kandelabrami, w których płonęło po pięć świec, z łóżkiem z baldachimem, którego spływające aż do ziemi różowe muslinowe firanki kojarzyły się z pokojem małej księżniczki.

– To będzie i twój dom, Marto. Nie myśl, że zostaniesz w Bielawie. Muszę mieć tutaj choć jedną życzliwą duszę. – Sara spojrzała na wierną służącą, a ta aż pokraśniała z radości.

– Och, panienko, jak się cieszę. Teraz jestem naprawdę szczęśliwa. Zobaczy panienka Sara, zakochamy się w tym pałacu – zapiszczała na cały głos, szcztokując włosy swojej pani.

– Ciszej, Marto, bo moja matka, która zdaje się śpi z papą w pokoju obok, pomyśli, że cię morduję. – Sara się roześmiała i był to pierwszy prawdziwy śmiech od ponad miesiąca.

– Och, święci pańscy w końcu dali się przebłagać! Toż ja codziennie modły odprawiam, żeby panience Sarze znów się żyć zachciało. Będzie dobrze, panienko, a jak ja tak czuję, to tak będzie.



Następne dwa miesiące upłynęły w Bielawie na przygotowywaniu wyprawy małżeńskiej, którą panna Wolska miała wnieść do domu małżonka. Klementyna i Ambroży starali się jedyną córkę godnie wyposażyć. Najlepsze tkaniny, futra, porcelana, haftowane obrusy, drogie pościele, wszystko po to, by sąsiednie dwory nie wzięły ich na języki, ale też z potrzeby serca, pragnęli bowiem, by ich córce jak najdostatniej się żyło i by przyszły małżonek nie kręcił nosem, że Wolscy dali mu żonę bez posagu.

Gdy sierpień miał się ku końcowi, do Bielawy zjechały szykowne powozy przystrojone białymi i blad różowymi różami, każdy z nich zaprzężony w osiem najpiękniejszych koni. Stangret strojny w złotą liberię z białym żabotem przy szyi zeskoczył z kozła, otworzył drzwi wielkiemu panu Reszce i pomógł mu wysiąść. Kamerdyner podbiegł do następnego powozu, z którego wysiadła Anna Reszko, dość sędziwa dama o surowej powierzchowności. Towarzyszył jej starzec podpierający się o lasce, Michał Józef Reszko. Przyszli teściowie dali się poprowadzić do pięknie udekorowanego salonu, w którym miało się odbyć błogosławieństwo.

Ubrana w oszałamiająco strojną śnieżnobiałą suknię, Sara siedziała w salonie razem z rodzicami i najbliższą rodziną. Reszta weselników już zmierzała do kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy. Na odgłos końskich kopyt panna Wolska drgnęła, przez krótką chwilę zapra-

gnęła uciec do swojego pokoju i schronić się tam przed światem, ale dobre wychowanie, a przede wszystkim odpowiedzialność wpajana przez rodziców nakazywały jej godnie znosić przeznaczenie, więc po przybyciu teściów i narzeczonego klęknęła posłusznie ramię w ramię z niemłodym mężczyzną, z którym przyszło jej spędzić resztę życia, i pokornie słuchała słów udzielanego im przez rodziców i teściów błogosławieństwa. Zniosła godnie przemowę przyszłego teścia, który rozprawiał z patosem o nierozzerwalności i świętości związku małżeńskiego, a także matki, by była godną, posłuszną żoną, ostoją, przyjaciółką i kapłanką domowego ogniska. Gdy przeszła przez drzwi pod rękę z przyszłym mężem, odwróciła się i spojrzała na dom. Z całą bolesnością dotarło do niej, że jako panienka wychodzi z tego domu ostatni raz. Zacisnęła mocno powieki, bo łzy cisnęły jej się do oczu, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, to dać satysfakcję zgromadzonym, że oto idzie do ołtarza nieszczęśliwa. Jeszcze będąc na pensji w Warszawie, rozmawiała z koleżankami o małżeństwie. Najczęściej dziewczęta chichotały i ściszym głosem powierzały sobie tajemnice, które słyszały na temat pożycia. Wtedy to wszystko wydawało się dalekie i magiczne. Jednak mimo ciepłego sierpniowego wiatru, mimo słońca i zapachu malw pod domem, ten dzień wcale nie wydawał się magiczny. Szła obok obcego mężczyzny, który za moment miał zostać jej mężem. Widziała go zaledwie kilka razy, nie wiedziała o nim zbyt wiele, na domiar złego trochę się go bała i mocno krępowała. Jediną jej pociechą była Marta. Krzepiąca była dla niej myśl, że we dwie przeniosą się do nowego domu. Chciała mieć Martę przy sobie bardziej niż swoją matkę.

Odprawiana przez szpaler służby, opuściła dwór w Bielawie, by wejść w nowe życie. Głos jej drżał, gdy przed biskupem przysięgała Hipolitowi miłość i posłuszeństwo do grobowej deski. Przed wypowiedzeniem słów przysięgi małżeńskiej jej serce zatrzepotało, a dusza przez króciutką chwilę zatęskniła do prawdziwej miłości. Nieznanego Sarze uczucia, które wyobraziła sobie jak ciepły kojący dotyk, a którego nie dane jej było doświadczyć. Gdy na koniec pan młody odchylił jej welon i zatopił mięsiste usta w jej młodzieńczych wargach, zebrało jej się na płacz i na mdłości. Zamrugnęła szybko i chciała się odsunąć o krok, ale jego ręka przytrzymała ją silnie i pewnie.

– Moja żona, księżna Sara Leokadia Reszko. Dobrze to brzmi. Bądź mi posłuszna, kochana, a twoje życie popłynie spokojnie i dostatnio. Ptasięgo mleka ci u mnie nie zabraknie. Już dziś poczujesz rozkosz małżeńskiej miłości – szepnął jej lubieżnie do ucha, a ona poczuła się jak ptak schwytyany za skrzydło i niezdolny do lotu.

Świtało już, gdy goście weselni udali się na spoczynek. Sara od kilku godzin zamartwiała się nocą poślubną. Na wspomnienie mięsistych ust Hipolita jeszcze teraz nachodził ją niesmak. Czy kiedykolwiek się przyzwyczaję do pocałunków? – zastanawiała się. I matka, i ojciec zapewniali ją, że miłość przyjdzie z czasem. Tylko ile musi upłynąć tego czasu, bym oswoiła się z tym człowiekiem, a ile, bym go pokochała.

Póki Marta ją rozbierała i zapewniała, że wszystko będzie dobrze, starała się zachowywać i myśleć racjonalnie. Lecz kiedy za służącą zamknęły się drzwi, a ona została sama w wielkiej małżeńskiej sypialni, obleciał ją paniczny strach. Ubrana w długą, jedwabną, białą koszulę, siedziała na brzegu łóżka i przyglądała się płomykom świec. Liczyła, że matka z nią porozma-

wia o nocy poślubnej, ale Klementyna nabrała wody w usta. Marta powtarzała, że będzie dobrze, ale sama przecież mężatką nie była, więc wiedzy na ten temat nie miała.

Mijały kolejne minuty, a małżonek się nie zjawiał. Sara wstała z łóżka i bosy wyszła na taras. Owionął ją chłód sierpniowej nocy, ale nie wróciła po szal, tylko objęła się ramionami. Spojrzała w niebo i zobaczyła spadającą gwiazdę. Babcia jej kiedyś mówiła, że gdy spada gwiazda, to znaczy, że czyjaś dusza ulatuje do nieba. A może Feliksa, zmarła żona Hipolita, dopiero podążyła w zaświaty? – zastanawiała się Sara. Może dopilnowała, żeby nie był sam na ziemi. Może pragnęła doczekać chwili, aż inna kobieta się nim zaopiekuje? Oparta o narożny filar przy balustradzie, księżna Reszko zapatrzyła się w niebo.

Naraz drzwi się otworzyły i do sypialni wszedł książe. Sara zamarła, przełknęła ślinę i zastygła w bezruchu. Stojąc na tarasie i patrząc w gwiazdy, drżała z niepokoju. Chciała mieć za sobą to tajemnicze zbliżenie, o którym się nie mówiło w towarzystwie, a tylko każdą porządną damę oblewał rumieniec nawet na niewinne napomknięcie. Skoro i tak wydawało się nieuniknione, to niechże się już stanie. Przez natłok myśli i potworny strach stała na tarasie, niezdolna zrobić kroku.

– Chodź do mnie, moja żono. Nie mogłem już się doczekać chwili, kiedy cię posiadę. Najchętniej posłałbym tych weselników do diabła. No ale teraz mam cię już tylko dla siebie. Pojdziesz do mnie – przywołał ją.

Opuściła ramiona i zalęknioma weszła do pokoju. Świece płonęły, a od ich ognia w pokoju było ciepło i przytulnie. Zamknęła za sobą drzwi tarasu i stanęła przed mężem. Hipolit nie zrobił żadnego gwałtownego ruchu, nie sięgnął po nią, nie przytulił, tylko powoli ściągał z siebie poszczególne części garderoby, aż ukazał jej się nagi, z nieco zwiędniętym ciałem, zaokrąglonym brzuchem i nogami zbyt chudymi w porównaniu z sylwetką. Na koniec zdjął perukę i stanął przed nią łysy i goły z nabrzmiałym członkiem. Ten widok, a szczególnie stercząca męskość, napawała ją wstrętem. Zamknęła więc oczy i stała jak skazaniec czekający na egzekucję. Naraz poczuła szarpnięcie, zacisnęła szczelniej powieki, a on zdecydowanym ruchem powalił ją na łóżko. Opadła jak kłoda, zacisnęła uda i przysłoniła rękoma piersi. Słyszała jego dyszenie, obawiała się, że ze strachu zaraz zapłacze w głos. Hipolit szarpnął delikatny jedwab koszuli nocnej, a potem poczuła jego wielkie ręce na swoich udach.

– Pierwszy raz ponoć boli kobietę. Nie lubię zdejmować cnoty, ale obiecuję, zaboli tylko przez chwilę. – Sapnął, pochylając się nad nią, a potem siłą rozchylił jej kolana i zwałił się na nią wielkim cielskiem. Krzyknęła przerażona. Nie pieścił jej piersi, nie dotykał czule ani nie zachwycał się pięknem jej młodego ciała. Ku przerażeniu dziewczyny wsadził jej rękę w najczulsze, najbardziej intymne miejsce, a potem brutalnie wtargnął w nie, nie zważając na ból ani na jęki młodej żony. Zacisnęła zęby i umilkła, tylko z oczu popłynęły jej łzy. Cierpiała katusze, gdy rozpychał się w niej z brutalnością, o jaką by go nie podejrzewała. Po chwili zeszywniał, z jego gardła dobył się ryk, a potem sturlał się z niej.

– Nieźle jak na pierwszy raz – ocenił, poklepując ją po brzuchu, po czym odwrócił się od niej, tracąc zainteresowanie.

Sara leżała wciąż na wznak. Między nogami ją piekło, jakby ktoś przypalał ją żywym ogniem, w głowie szumiało, w gardle zaschło. Nie wiedziała, jak ma się zachować, czy po-

winna coś powiedzieć, czy wręcz przeciwnie – milczeć. Niespodziewanie do jej uszu dotarło chrapanie, najpierw ciche, a potem głośne, rytmiczne. Książę Hipolit zapadł w spokojny sen, tymczasem Sara zwinęła się w kłębek i nie bacząc na dobre wychowanie, na rady matki i guwernantki, by nie pokazywać emocji, a już na pewno nie przy mężu, lecz być dla niego dobra i opiekuńcza, czuła na mężowskie zachcianki i kaprysy, teraz po prostu rozplakała się jak mała skrzywdzona dziewczynka.

– Śpij, noc jest od spania – mruknął.

Zamarła, gdy usłyszała głos męża. Bała się, że znów będzie chciał się do niej zbliżyć, a tego tej nocy by już nie zniosła. On jednak znów zapadł w sen. Długo leżała z zaciśniętymi powiekami. Naraz przyszło jej do głowy, że pisana przez nią powieść, którą wydawca tak zbeształ, nie zostawiając na niej suchej nitki, rzeczywiście zasługiwała na złą opinię. Nic dziwnego, że nie spodobała się w wydawnictwie. Pokazywała wyidealizowaną miłość. Miłość, która w prawdziwym życiu nie istnieje. Co ja wiem o miłości, żeby o niej pisać? Nic – uznała. Nieco uspokoiła się, gdy swoje myśli skierowała na pisanie. Po otrzymaniu listu od wydawcy przyrzekła sobie, że już nigdy nie usiądzie do biurka i nie zacznie pisać. Każdy jej to zajęcie odradzał – i matka, i ojciec, a nawet Marta. Zapewne mieli rację, ale czuła, że bez pisania zwariuje. Musi i chce pisać, opisać ten strach, ten ból i tę niesprawiedliwość, która spotyka młode kobiety zaraz po ślubie. W końcu, wyczerpana, zapadła w płytki przerywany sen.

Obudziło ją słońce oraz chłód poranka wpadający przez otwarte na oścież drzwi tarasu. Sapnęła ciężko, a po chwili otworzyła oczy. Męża nie było w pokoju. Dopiero teraz przyjrzała się pomieszczeniu. Uderzał w nim ogromny przepych, złocenia, rzeźbione figury z alabastru w przeróżnych miłosnych pozach, wielkie łóżce, w którym spokojnie mogłoby się wyspać nawet i sześć osób, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. I jak wszędzie w tych niebotycznie bogatych wnętrzach, tak i tutaj wisiały lustra w złotych ramach. Zsunęła nogi i próbowała wyszukać stopami kapcie, ale nie dosięgnęła do podłogi, łóżko było zbyt wysokie.

Zeskoczyła i podeszła do imponującej złoconej toaletki z trzema wielkimi lustrami. Zobaczyła w każdym z nich swoje odbicie i się przeraziła. Rozerwana jedwabna koszula była zmięta i nieestetyczna, odsłaniała piersi, brzuch i nogi, trzymała ją tylko solidnie obszyta tasiemka nad piersiami. Ciało ją bolało, oczy piekły, a w ustach czuła suchość. Stała tak niezdolna zrobić żadnego ruchu i patrzyła na siebie. Pierwszy szok powoli mijał, ale nie docierało jeszcze do niej, że tak odtąd będzie wyglądało jej życie. Wcześniej miała żal do matki, że ta nie wtajemniczyła jej i nie uprzedziła o powinnościach małżeńskich, teraz jednak poniekąd matkę rozumiała. W żaden sposób, żadną rozmową nie mogła jej opowiedzieć tego, co stało się teraz jej powinnością. Czy ja byłabym w stanie ostrzec swoją córkę przed taką brutalnością? Żadne słowa, żadne gesty nie są w stanie przygotować na poniżającą, odzierającą z godności i zmuszającą do posłuszeństwa przemoc. Potem przypomniała sobie, że zaledwie wczoraj przysięgała Hipolitowi miłość, wierność i posłuszeństwo. Westchnęła tak rozpaczliwie, że dopiero po chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi. Drgnęła. Nie miała ochoty nikogo widzieć. Wstydziła się komukolwiek spojrzeć w oczy. Była pewna, że w spojrzeniu ma wypisane upokorzenie ostatniej nocy.

Pukanie się powtórzyło, a potem doleciał do niej stłumiony szept:

– Pani Saro, to ja, Marta.

– Wejź, Marto – zezwoliła zrezygnowanym głosem.

– Och, mój Boże, panienko, to znaczy przepraszam, pani Saro, to znaczy księżno – poprawiła się. – Jak też panienka, wygląda! Święci pańscy! Natychmiast trzeba się ogarnąć i uśmiechnąć. Toż to samo szczęście przebywać w takim pięknym pałacu, mieć tyle służby, nie ma co być taką nieszczęśliwą – gawędziła przejęta.

– Marto, czy to zawsze już tak będzie? – przerwała jej Sara przygnębionym głosem.

– Gertruda mówiła, że tylko pierwsza noc jest taka straszna, a później już pójdzie. No, głowa do góry, nie wypada, żeby księżna cały ranek w sypialni męża przebywała. Już idziemy do sypialni księżnej, gdzie czeka kąpiel, przygotowany strój i ciepła herbatka. – I ku zdziwieniu Sary Marta podeszła do ściany i zaczęła jeździć po niej dłońmi, a po chwili wykrzyknęła radośnie: – O, mam, w końcu namacałam kłamkę. Aniela, która tu pracuje od lat, oprowadziła mnie i wyjaśniła co i jak. Książę i księżna mają swój prywatny korytarz, żeby nocą się odwiedzać, a potem wracają każde do swojej sypialni, przynajmniej za poprzedniej księżnej tak było. Będzie miała pani jeszcze dwie prywatne służące do pomocy. Już czekają na panią.

– Odpraw je, Marto.

– Jakże to tak, panienko? Tak nie wolno – powiedziała z przejęciem, niepomna tego, że znów nie użyła właściwego zwrotu w stosunku do swojej pani.

– Odpraw je, Marto, inaczej tu zostanę na zawsze. Nie chcę się obnosić w rozdartej koszuli.

– Jak panienka sobie życzy, ale...

– Nie, bez ale. Odpraw je! – W głosie księżnej Reszko była stanowczość, ale też chłód, którego Marta nigdy wcześniej u niej nie słyszała. Skłoniła się więc posłusznie i wyszła.

Sara wypuściła powietrze, a jej dumna postawa na powrót skłęsała. Młoda księżna stała tak jeszcze chwil kilka, aż zza ściany, oklejonej tapetą z myśliwskimi motywami, dobiegły ją kroki. Domyśliła się, że sekretnym korytarzykiem idzie Marta. I rzeczywiście, po chwili wsunęła się głowa służącej w białym czepeczku, więc Sara poszła za nią po puszystym brązowym dywanie, a potem z ulgą zanurzyła się w przygotowanej dla niej wannie z ciepłą wodą z olejkiem różanym i wonną pianą. Z ulgą przyjęła wiadomość, że Hipolit z poprzednią żoną mieli osobne sypialnie. Jakoś zniesie ten ból towarzyszący małżeńskiej powinności, który na szczęście trwał zaledwie kilka minut.

Ubrana w przepiękną kremową suknię, z włosami upiętymi wysoko, zeszła do salonu, gdzie zebrali się goście weselni, którym przewodził szanowny małżonek. Na widok Sary u szczytu schodów rozmowy umilkły, a po chwili rozległy się radosne powitania i gdzieś tam brawa. Westchnęła cichutko, uniosła dumnie podbródek, położyła dłoń na pięknej wypolerowanej drewnianej poręczy i powoli, z gracją zeszła po schodach.

– Witaj, księżno. – Hipolit podszedł do niej i cmoknął w czoło.

Skłoniła tylko głowę i zaledwie uniosła kąciki ust. Najwyraźniej on nie spodziewał się niczego więcej, bo ledwo poprowadził ją do najbliższej kanapy, już poszedł do gromadki mężczyzn, rozmawiać o polowaniu i polityce. Omawiali nieudany zryw niepodległościowy sprzed zaledwie sześciu lat i ciągle zsyłki na Sybir, a także konfiskaty majątków i reperkusje, jakie

spadały na okoliczne dwory, w których synowie angażowali się w jakimkolwiek stopniu w tę hucpę, jak Hipolit zwykł nazywać gorące głowy i zrywy idealistów. On wychodził z założenia, że najlepsze, co można zrobić, to przystosować się do warunków, w jakich przyszło mu żyć. Wykorzystać to, co życie mu oferuje, a nie nadstawiać głowę za mrzonki, które najpewniej nigdy się nie ziszczą.

– Dobrze cię widzieć, córko. – Obok niej na kanapie usiadła matka. Minę miała jak zawsze nieodgadnioną, usta, jeszcze wciąż jędrne, zaciśnięte, a spojrzenie przenikliwe. – Stałaś się panią na Karczewie. Księżną Reszko. Podziwianą i szanowaną.

Sara miała na końcu języka pytanie, czy naprawdę jest to dla niej takie wielkie szczęście. Przecież ich rodzinny majątek jest wystarczająco pokaźny.

– Mamo, właściwie po co to wszystko? – szepnęła.

– Co masz na myśli? – Matka uniosła brwi w nieprzyjemnym zdziwieniu.

– Nic – odpowiedziała z westchnieniem Sara. Żale, wyjaśnienie, pretensje i tak już nie miały żadnego znaczenia.

– Taka kolej rzeczy, moja droga. Życie to nie tylko przyjemności, to przede wszystkim poświęcenie, na które my, kobiety, musimy być gotowe.

Sara skubała nerwowo brzeg koronki. Słowa matki, choć brutalne, z pewnością były prawdziwe. Życie kobiety to los pełen wyrzeczeń, poświęceń i tajemnic pod przykrywką miłego uśmiechu. Zawstydziała się swoich zaczerwienionych oczu, swoich złych myśli i żalu do świata. Każdy musi z pokorą nieść swój krzyż więc i ona poniesie swój. Położyła dłoń na dłoni matki i spojrzała jej w oczy.

– Będzie dobrze, córko, wszystko się ułoży, zobaczysz.

A potem wstały i Sara pod rękę z Hipolitem poprowadziła gości do przepięknie nakrytych stołów, przy których weselnicy mieli spożyć obiad. Wokół szeptano, że ta to ma szczęście. Kobiety jej zazdrościły, a przyjaciele Hipolita gratulowali mu młódki.



Poweselne przyjęcia i rewizyty trwały ponad miesiąc i wykończyły Sarę. Hipolit, mimo że był od niej dwadzieścia dziewięć lat starszy, lepiej znosił ten niekończący się korowód. Kochał brylować w towarzystwie, a pokazywanie się z młodą, skromną i dobrze ułożoną żoną sprawiało mu nie lada przyjemność. Znów poczuł się panem życia i obiektem męskiej zazdrości. Głośno zachwalał przymioty małżonki, jej urodę, gust i takt. Ona ledwo rewanżowała się uśmiechem, przez co w towarzystwie, w którym i wcześniej niechętnie bywała, przyłgnęła do niej łatka chłodnej, wyniosłej i skrytej. Nie przejmowała się tym. Od pewnego czasu powierzała sekrety pamiętnikowi. Pisała go w tajemnicy nawet przed Martą. Potrafiła już wywabić z rąk plamy z atramentu sokiemy z cytryny. Podpowiedziała jej to nowa służąca, którą dostała do osobistej służby. Oprócz Marty służyły jej dwie młode dziewczyny równie miłe jak Marta, choć może bardziej trzpiotowate, Mela i Frania. Jej dawna służąca była początkowo zazdrośna, ale gdy Sara powierzyła jej zwierzchnictwo nad dziewczętami, nie tylko obraza jej przeszła, ale wręcz poczuła dumę z wyznaczonego zadania, choć nadal pozostawała nieco nieufna

względem pomocnic. Zapominała się i od czasu do czasu tytułowała księżną Reszko panienką Sarą, choć gdy którejś z młodych służących wyrwało się „pani Saro”, Marta z lubością poprawiała jedną czy drugą, obrzucając je zgorszonym wzrokiem. „Nie: pani Saro, tylko: księżno” – mawiała dobitnie. Tak, Marta była oczarowana dworem księcia Hipolita Teofila Reszki. Z dumą przechadzała się pięknymi szerokimi korytarzami, sprawdzając, czy tu i ówdzie nie zagnieździł się kurz. O ileż to był bogatszy dom niż Bielawa. Ależ się mojej pani poszczęściło – myślała często, gdy wieczorami szła na spoczynek po wąskich drewnianych schodach do swojego pokoju. Nawet to, że miała swój osobny pokój, było dla niej awansem społecznym. W Bielawie spała razem z Gertrudą za przepierzeniem kuchennym, tylko męska służba miała osobny pokój. Tu zyskała też większy szacunek wśród służby, bo służyła osobiście jaśnie pani. Kto trzymał z Martą, mógł liczyć na jej wstawiennictwo w razie potrzeby. To ją pytano, jakie pani Sara ma upodobania kulinarne, o której godzinie pija herbatę, o której lubi chadzać na spacer, a o której raczej jej nie przeszkadzać. Marta lubiła ten wielki dom jeszcze z jednego powodu – pan Hipolit do służby w ogóle się nie wtrącał. Zarząd domem pozostawił do wyłącznej dyspozycji swojej małżonki. Miesiące żałoby, w których musiał sam decydować o domowych sprawach, a i wcześniej podczas choroby żony, były dla niego torturą. On wołał się skupić na męskich czynnościach, czuć nad doглядaniem majątku, w którego skład wchodziły wsie, folwarki, browary, wytwórnia farb na obrzeżach Warszawy, a także wiele interesów ulokowanych w Petersburgu i w Moskwie. Był magnatem, który wiedział, jak zadbać i pomnażać swój majątek. Do szczęścia brakowało mu dziedzica. Nie miał dzieci z pierwszą żoną, dlatego teraz związał się z dzierlatką, która jest zdolna urodzić dużo dzieci, żeby miał komu przekazać tytuł i włości.

Pewnego dnia z kilkudniową wizytą do Karczewa przyjechała wraz z narzeczoną Nikodemem Siwińskim Marianna Podolska. Przyjechali, by osobiście wręczyć Reszkom zaproszenia na ślub. Po wystawnym obiedzie i spacerze po parku panowie umilali sobie czas grą w karty, natomiast panie zasiadły przy kominku i delektowały się świeżo zaparzoną kawą oraz puszystym sernikiem polanym białą czekoladą i posypanym marcepanem.

– Zmieniłaś się, od kiedy zostałaś księżną – napomknęła Marianna, którą chłodny dystans Sary trochę uwierał. – Coraz rzadziej się uśmiechasz i prawie nie zabierasz głosu. Prawdziwa z ciebie księżna, dzielisz skąpo łaski – dodała z przekąsem.

– Wydaje ci się. Może rzeczywiście nieco zamknęłam się w sobie, ale to dlatego, że trochę mnie zmęczył objazd po sąsiednich dworach, ten korowód niekończących się wizyt. Sama wkrótce się przekonasz. – Sara zanurzyła srebrny widelczyk w puszystym cieście i podniosła do ust. Nie miała ochoty na słodycz, ale chciała czymś zająć dłonie, by nie dać po sobie poznać, że rozmowa z Marianną również ją męczy. Najlepiej czuła się w swojej samotni. Miała wrażenie, że każdy, kto dłużej zagląda jej w oczy, dostrzega w nich upokorzenie, które stało się jej chlebem powszednim prawie każdej nocy.

– Kochana, powiedz, proszę, jak to jest sam na sam? – Marianna przechyliła się przez stół, a w jej błękitnych oczach rozbłysły figlarne iskielki. Odrzuciła ruchem dłoni miedziany pukiel, który wymknął się spod luźno upiętej fryzury, i łobuzersko patrzyła na kuzynkę.

– Już wkrótce sama się przekonasz. – Księżna Reszko przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Na jej rzęsach zatańczyła łza, ale Marianna jej nie dostrzegła.

– Jestem podekscytowana i przyznam ci się do czegoś: nie mogę się doczekać nocy poślubnej. – Roześmiała się lekko, perliście, a potem pochylając się bardziej, dodała: – Całowaliśmy się z Nikodemem kilka razy i nie były to niewinne pocałunki. Och, tak mi się wtedy ciepło zrobiło... prawie do omdlenia... rozkosznie... och... jak rozkosznie... – szeptała.

– Żartujesz? – Sara zatrzepotała rzęsami, odstawiła talerzyk i przyglądała się Mariannie, zszokowana jej wyznaniem.

– Wiem, że nieprzyzwoicie jest o tym mówić, ale to musi być obłądne przeżycie. – Zachichotała.

Biedna, jeszcze nie wie, co ją czeka – pomyślała Sara ze współczuciem i przez chwilę rozważała, czy wyjawic kuzynce prawdziwy koszmar małżeńskiej nocy. Po chwili wahania zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Po co burzyć jej marzenia, a w sercu zasiewać strach? Sama przecież niedługo się o tym przekona, a teraz niech dalej marzy o wzniosłości uczuć. Leciutko westchnęła i zatopiła usta w aromatycznej kawie.

Księżna Reszko bała się nocy. Każdego wieczoru ubrana w piękne koronki czy jedwabie czekała w swojej sypialni i nasłuchiwała, czy z sekretnego korytarzyka doleczą do niej odgłosy mężowskich kroków. Przychodził po nią niemal każdej nocy, nawet w te dni, w które dopadała ją kobieca dolegliwość. Zbliżenia nie bolały już tak jak wtedy, w noc poślubną, ale zawsze czuła dyskomfort i coraz większe obrzydzenie. Nakazała Marcie, by po powrocie z małżeńskiej sypialni czekała na nią wanna z ciepłą wodą. Czuła potrzebę zmycia z siebie śladów potu, zapachu i oślizgłych ust Hipolita. Nie życzyła sobie, by podczas kąpieli ktoś jej towarzyszył, nawet Marta. To był jej własny krzyż, jej upokorzenie, jej odarcie z godności, które każdej nocy w samotności z siebie zmywała.

Tej nocy stała w przepięknie obszytej koronką różowej batystowej koszuli, którą wniosła w posagu, a którą matka sprowadziła aż z Paryża. Minęła północ, a Hipolit ani nie przyszedł, ani jej nie wezwał. Odetchnęła z ulgą, siadła na wyściełanym kremowym aksamitem krzesła przed złoconą toaletą z trzema lustrami, wzięła szczotkę i przejechała nią po pasmach jasnych, pachnących olejkiem migdałowym włosach. W pokoju było ciepło i przytulnie, bo słujące rozpały w kominku. Wieczory stały się naprawdę chłodne. Żar bijący z kominka i płomyki świec na mosiężnych kandelabrach dawały przyjemne uczucie błogości. Ucieszyła się z tej niespodziewanie podarowanej spokojnej nocy i już chciała położyć się do łóżka, gdy na korytarzyku zaszurały kroki Hipolita. Zamarła i zebrało jej się na płacz. Czuła się oszukana, jakby los wręczył jej upragniony prezent, a po chwili, nim zdążyła się nim nacieszyć, brutalnie jej go wyrwał.

Mąż wszedł bez pukania. Odziany w musztardowego koloru podomkę luźno zawiązaną w pasie kiwnął na żonę palcem i nakazał iść za sobą. Nigdy nie zbliżali się do siebie w jej sypialni, zawsze to ona szła do niego. Była za to wdzięczna. Miała swój azyl, niesplugawiony jego męską żądzą, bez zapachu jego potu i perfum. Szła więc teraz posłusznie do jego wielkiej sypialni, której szczerze nienawidziła.

Zrzucił podomkę i stanął przed nią łysy i nagi, w lekkim rozkroku i z lubieżnym grymasem na ustach. Doleciał do niej zapach niestrawionego, wypitego w zbyt dużej ilości alkoholu. Skrzywiła usta z niesmakiem. Zauważył ten grymas i ściągnął brwi. Jego męskość opadła, za to w oczach pojawiła się wściekłość.

– Brzydzisz się własnego męża? Myślisz, że nie zauważam niesmaku w twoim spojrzeniu? Jeśli chcesz wiedzieć, to męcę się z tobą, bo jesteś jak kłoda. Twoje początkowe przerażenie podniecało mnie, ale wstręt w twoich oczach odbiera mi chęć do powinności małżeńskich. Porzuciłbym spółkowanie z tobą, ale do wszystkich diabłów, chcę mieć dziedzica. Masz mi dać syna, to twój obowiązek! Rozumiesz?! Obowiązek! No więc popracuj nad tym, żebym mógł cię wziąć teraz. No już! – ryknął.

Stała, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć i jak sprawić, żeby jego męskość znów nabrzmiała. Odsunęła się dwa kroki, bo w jego oczach wściekłość przemieniła się w furię.

– Brzydzisz się mnie? – wyszczał. – Niedobrze. Traktowałem cię po królewsku, a ty odpłacałaś obrzydzeniem i pogardą. Myślisz, że tego nie widzę? Myślisz, że nie widzę tych spojrzeń pełnych wstrętu, tych wykrzywionych ust, tego, z jakim obrzydzeniem odwracasz głowę, gdy przychodzę po ciebie. No już, bierz go w dłonie – rozkazał, a gdy odsunęła się jeszcze dwa kroki, szarpnął ją za jasne pasma rozpuszczonych włosów i zmusił, by klęknęła przed nim. Upadła na posadzkę, jęknęła z upokorzenia i z bólu, bo uderzył ją w twarz całą mocą otwartej dłoni, a potem jeszcze raz i jeszcze. Poczowała smak krwi na rozciętej wardze.

– Zostaw mnie! – krzyknęła, ale jej krzyk i paniczny strach najwyraźniej dodał mu mocy, bo jego męskość powoli się unosiła. Rzucił żonę na łóżko, zwałił się na nią, sapnął z wysiłku kilka razy i już było po wszystkim.

– A teraz wynocha! Zejdź mi z oczu. Brzydę się tobą – warknął, moszcząc się na łóżku i okrywając pierzyną.

Wybiegła z jego pokoju i wpadła do swojej sypialni. Zamknęła drzwi, a potem weszła do łazienki i zanurzyła się w ciepłej wodzie. Trzęsąc się, szorowała ciało rękawicą z końskiego włosia, namydlała i znów szorowała, jakby chciała zerwać skórę do krwi. Brzydziła się sobą, nienawidziła siebie, nienawidziła swojego życia, pragnęła się gdzieś schronić, uciec stąd i nigdy nie wrócić. Dokąd mam uciec? Gdzie jest miejsce, w którym nie spotkają mnie upokorzenie, krzywda, ból, pogarda? – pytała się w rozpacz. I przypomniała sobie naraz ciepło i przytulność swojego pokoju w Bielawie. Bolesnie zatęskniła za tym azylem. Wyszła z wanny i wytarła ciało w miękką, puszystą bawełnę. Narzuciła na siebie peniuar, usiadła na łóżku i zaczęła bujać się w przód i w tył. Co mam robić? Co mam robić? Och, Panie Boże, pomóż mi – prosiła, ledwie poruszając ustami. Policzek jej pulsował, usta nabrzmiały od silnych męzkowskich ciosów. Nigdy nikt na nią nie krzychał, nigdy nikt jej nie uderzył, a teraz ten człowiek, jeszcze do niedawna całkowicie dla niej obcy, upodlał ją każdej nocy. Znów pomyślała o domu rodzinnym. Tak, pojedzie tam i będzie błagała rodziców, by ją przyjęli pod swój dach, by mogła się schronić przed światem i nigdy już nikogo nie widzieć.

Nie bawiąc się w wiązanie gorsetu, ubrała się w ciepłą granatową sukienkę, nałożyła trzewiki i chwyciła ciepły wełniany szal, a potem ostrożnie uchyliła drzwi, wysunęła głowę i nasłuchiwała. W półmroku korytarza nie zauważyła nikogo, nie usłyszała też żadnego szmeru. Wy-

mknęła się na palcach ze swojej sypialni. Przemknęła korytarzem i zapukała do pokoju Marianny. Nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę i zamarła. Marianna i Nikodem leżeli w łóżku, spleceni ze sobą miłosnym uściskiem. Na odgłos otwieranych drzwi oboje unieśli głowy. W przerażeniu i zażenowaniu próbowali nakryć goliznę swych ciał i wsunąć się pod pierzynę, ale ta była za gruba, by ich tak od razu osłonić.

Sara stała oniemiała, nie wiedząc, jak ma się zachować. Pierwszy zreflektował się Nikodem. Owinął się haftowaną złotą nicią narzutą, bez słowa minął Sarę i wyszedł z pokoju.

– Posłuchaj... ja... my... tylko... – zaczęła tłumaczyć swój postępek Marianna, ale Sara nie dała jej dokończyć.

– Musisz mi pomóc. Natychmiast. Musisz mnie w tej chwili odwieźć do domu, do Bielawy. Ja już dłużej tu nie wytrzymam. – Rozszlochała się bezradnie i żałośnie.

– Saro, co się dzieje? – Podolska zapomniała o swoim wstydzie i usiadła na łóżku. Przypomniawszy sobie o gołych piersiach, wśliznęła się pod pierzynę i przerażonym wzrokiem wpatrywała się w kuzynkę. Jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie. Ta zawsze spokojna i opanowana dziewczyna, roztrzępana marzycielka, przeraziła ją teraz swoją rozpaczą. – Jest aż tak źle? Hipolit wydaje się tak dobrym i kochającym mężem...

– Masz powóz i konie, proszę, wyjdźmy stąd! Teraz! Natychmiast! Jedźmy do Bielawy! Ubłagam rodziców, by przyjęli mnie pod swój dach. Nie chcę tu mieszkać z tym tyranem, nie zniosę tego ani jednego dnia dłużej. – Łkała jak dziecko, zanosząc się płaczem.

– Poczekaj, niech chociaż się ubiorę. – Marianna odrzuciła pierzynę. Sara odwróciła głowę i czekała, aż Podolska nałoży na siebie poszczególne części garderoby. – Saro, zdajesz sobie sprawę, że jeśli stąd wyjedziesz, to być może już nigdy nie będziesz mogła tutaj wrócić. O ile tobie twój mąż wybaczy, to mnie na pewno nie będzie chciał już widzieć. Myślę, że rodzice cię nie przyjmą. Jesteś związana świętym węzłem małżeńskim. Na zawsze. Jesteś teraz na łasce i niełasce swojego męża.

– Wszystko mi jedno. On jest potworem, ja już dłużej tego nie zniosę. Błagam, jedźmy, proszę cię. Zawołaj Nikodema, niech nam pomoże.

– Poczekaj tutaj. Pójdę do niego i razem coś postanowimy. – Westchnęła. Lubiła Sarę i współczuła jej. Jednak zadrzeć z księciem Hipolitem Teofilem Reszką wcale jej się nie uśmiechało. Przeczynała, że po ich eskapadzie wybuchnie towarzyski skandal. To nie był młodzieńczy wybryk, jak wtedy, gdy w tajemnicy jechały do Warszawy. Nie miała złudzeń, że towarzystwo opowie się po stronie księcia, a ona i jej rodzina nie będą przyjmowani w szanujących się domach, w których on bawi. I to akurat przed jej własnym ślubem. Poszła jednak do sypialni, w której spał Nikodem, i poprosiła narzeczonego, by pomógł jej kuzynce.

Zegar wskazywał piętnaście po pierwszej w nocy, gdy przedzierał się cichcem po obszernych korytarzach domu Reszki i zakradali do stajen, by zabrać konie i zaprząć je do powozu. Czekala ich niebezpieczna kilkugodzinna podróż. Wybudzony ze snu stangret Podolskich nie pałał entuzjazmem. Zięb nocy zniechęcał do podróży. Na pustym bruku przed pałacem Reszki stukot kopyt urastał do wyolbrzymionej kakofonii dźwięków. Sarze serce zamierało ze strachu, że stukot zaraz wybudzi ze snu jej męża i ten urządzi pogoń. Wyłamywała sobie palce w panicznym strachu. Dopiero kiedy minęli bramę, którą im otwierał zaspany odźwierny,

a zarys budynków dworu znikł w ciemności nocy, osunęła się na wezglowie kanapy, oparła głowę o zimną szybę i kołysana trwogą, usnęła. Marianna okryła ją kocem, sama narzuciła na siebie i na Nikodema drugi koc i wtulona w ramię narzeczonego próbowała usnąć, ale sen nie nadchodził. Emocje wzięły górę nad sennością. Sara nakryła ich na upojnym sam na sam, przeszkodziła w pierwszym nieskonsumowanym zbliżeniu, jeszcze teraz na wspomnienie jej zszokowanego spojrzenia, w którym niedowierzanie i zgorznienie ścierały się ze wstrętem, oblewał ją rumieniec. Potem jej myśli powędrowały do rozpaczki kuzynki, do jej spuchniętych ust, na których jeszcze widniała strużka zaschłej krwi, a także do jej zasinionego policzka i podbitego oka. A więc Hipolit bił Sarę. Mariannie nie mieściło się to w głowie. Wyglądał na spokojnego, poczciwego mężczyznę, gdy tymczasem zamienił życie Sary w prawdziwe piekło. Naraz pojęła, że chłodne zachowanie Wolskiej nie ma związku z jej tytułem księżnej, a zapewne z poniżeniem i przemocą, jakich doświadcza od męża. Westchnęła i mocniej przytuliła się do Nikodema. Dziękowała w duchu swojej matce, że ta zgodziła się, aby jej córka wyszła za mąż z miłości. Oczywiście nie wchodził w grę ktoś spoza ich sfery, ale przecież i tak miała z kogo wybierać. Nie była tak naiwna jak koleżanki z pensji i nie lokowała swych uczuć w stajennych, stangretach czy innej służbie. Na taki mezalians nie zgodziłyby się nawet jej wyrozumiała matka i nie pomogłaby największa miłość.

Rozpadało się. Krople siąpiącego deszczu uderzały o dach powozu. Przemarznięty stangret raczył się siwuchą, którą otrzymał od stajennego z Karczewa. Gdyby nie ten ognisty trunek, zapewne teraz drżałby jak w febrze. Kłął w duchu na tę zwariowaną eskapadę po nocy, zorganizowaną naprędce bez uprzedzenia, w pośpiechu, jakby się paliło. Eh, młode toto, nie wiedzą, że przy takiej pogodzie koło może ugrzęznąć w błocie albo zbójcy napaść na samotnie wlekący się powóz.

Wygłodniali i zziębnięci dotarli do Bielawy, gdy szara godzina świtu rozproszyła się w jasności poranka. Stangret przez drogę wypił całą piersiówkę siwuchy, która uratowała go przed dojmującym zimnem, ale teraz trzęsły mu się kolana i płątał język. Kamerdyner Tadeusz, nie zdradzając targających nim emocji, a przede wszystkim zdziwienia na widok pijanego woźnicy i wyczerpanych jaśnie państwa, pomógł wysiąść Sarze i Mariannie, a potem podał rękę Nikodemowi, ale ten zignorował wyciągniętą dłoń i sam się wygramolił, choć trwało to chwil kilka. Marianna, zawsze buńczuczna i mająca zdanie na każdy temat, teraz przygasła, wsparła się na narzeczonemu i zwolniła kroku. Najchętniej wróciłyby do domu, ale zdawała sobie sprawę, że dalsza jazda jest na razie niemożliwa. Konie i woźnica wymagały wypoczynku, a również i oni ślania się na nogach, niezdolni do dalszej podróży.

Siniak na policzku Sary zabarwił się na fioletowo i najwyraźniej zmierzał do śliwkowego odcienia, rozcięta od solidnego uderzenia górna warga spuchła, wywijając się groteskowo, a oko przybrało czarną barwę. Schyliła głowę i starała się przysłonić twarz włosami. Długie, jasne pukle sięgające do pasa, na co dzień upięte w modny kok, nie spełniły swojego zadania, bo zamiast przysłonić twarz, przyciągały uwagę swoją niecodziennością. Otulona kocem, ze zwieszoną głową, niepodobna była do dawnej siebie. Zwabiony odgłosem końskich kopyt Ambroży Wolski wyszedł przed dom, by zobaczyć, któż to przyjechał z samego rana. Na widok córki fajka wypadła mu z dłoni i sturlała się po schodach.

– Sara? – Podszedł i objął córkę ramieniem, a ponieważ dziewczyna milczała, spojrzął na Mariannę i jej towarzysza. – Co za niespodzianka, wchodźcie do domu. Właśnie podano śniadanie. – Głos mu drżał, bo widok Sary przejął go grozą, nie nawykł jednak do ujawniania emocji w towarzystwie choćby i służby. Wciąż zszokowany, poprowadził córkę, Mariannę i Nikodema do salonu.

Klementyna Wolska odłożyła widelec i otarła usta chusteczką. Przełknęła kęs wędzonego jesiotra, upiła łyk herbaty i przywdziała na usta nieco wylewny uśmiech, nie chcąc zauważyć zmaltretowanej twarzy córki.

– Ach, cóż to za niespodzianka, księżna Reszko we własnej osobie zechciała nas odwiedzić. Wielki to za zaszczyt dla naszego domu. I do tego Marianna i pan Nikodem, ach, jakże mi miło gościć was wszystkich na śniadaniu – perorowała z lekką manierą. – Siadajcie, kochani, zapraszam. – Józefie, przynieś, proszę dodatkowe nakrycia – zwróciła się do młodego służącego, którego Sara wcześniej w ich domu nie widziała.

Marianna i Nikodem usiedli, strudzeni podróżą, najchętniej zrobiliby toaletę i położyli się spać na kilka godzin, ale najwyraźniej pani domu wołała odegrać przed gośćmi teatrzyk, który miał dać do zrozumienia jej córce, że absolutnie nic się nie wydarzyło. Podprowadzona do stołu przez ojca, Sara stała jak posąg. Ze zwieszoną głową, zwisającymi wzdłuż ciała ramionami i z włosami opadniętymi na twarz, w dodatku wciąż owinięta kocem, przypominała raczej marę nocną niż tę rezolutną dumną dziewczynę, która nie tak dawno opuściła rodzinny dom.

– Siadaj, Saro, nie stój tak, zobacz, jakie smakołyki na stole. Przyjęliśmy jeszcze jedną kucharkę, bo Gertruda już nie dawała sobie rady, no i okazało się, że Helena gotuje wyśmienicie. Częstujcie się. – Wolska wykonała ręką zachęcający ruch, ale nikt się nie odezwał ani nie zrobił najmniejszego gestu.

– Mamo, Marianna i Nikodem zapewne zechcieliby się odświeżyć po podróży i dopiero zjeść śniadanie – wydukała w końcu księżna Reszko, a potem dodała: – A ja chcę iść do swojego pokoju i nigdy stamtąd nie wychodzić.

– W tym domu nie masz swojego pokoju! – ryknęła niespodziewanie Klementyna jak rozjuszona lwica. Wszyscy w pomieszczeniu drgnęli. Ambroży skulił ramiona, Marianna jeszcze niżej schyliła głowę, Nikodem odwrócił wzrok i utkwiał go w niewidocznym punkcie, a młody służący, który właśnie wszedł, upuścił tacę z filiżankami. Na szczęście się nie potłukły, tylko poturlały po miękkim beżowym dywanie. Strwożony chłopak najpierw spojrzął na panią Klementynę, a zobaczywszy naganę w jej oczach, czym prędzej się schylił, pozbierał filiżanki i wyszedł z jadalni.

– Mamo... – wyszeptła Sara. Chciała opowiedzieć jej o mężu tyranie, ale głos jej się załamał i po twarzy spłynęły łzy.

Marianna patrzyła na nią ze zgrozą. Zawsze miała ją za spokojną, trochę roztrzepaną marnocielkę, ale teraz wydawała się całkowicie zagubiona. Miała ochotę podejść do niej i ją przytulić, ale napotkawszy surowy wzrok ciotki, struchlała.

Klementyna milczała, tylko jej przyspieszony oddech świadczył o targających nią emocjach, bez słowa sięgnęła po srebrny dzwonek i potrząsnęła nim energicznie.

– Tak, proszę pani? – Józef skłonił się w drzwiach.
– Proszę przygotuj dwa gościnne pokoje. Tylko migiem – zadysponowała.
– Marianno, panie Nikodemie, proszę, poczęstujcie się czymś przed udaniem się na spoczynek. Jesteście zapewne głodni. A ty, Saro, dokąd? – Spiorunowała córkę wzrokiem, bo ta również skierowała się do drzwi. – Poczekaj, chcemy z ojcem z tobą porozmawiać.

Po wyjściu Marianny i jej narzeczonego matka wstała od stołu, skrzyżowała ręce na pierśsiach i podeszła do okna. Zapatrzyła się na konie i powóz należące do jej siostry Adelajdy, a które teraz stajenny prowadził do uporządkowania. Westchnęła ciężko, jakby wszystkie troski świata spadły na jej kobiece ramiona, a potem odwróciła się do córki.

– Saro, coś ty najlepszego zrobiła? Jak mogłaś uciec z domu swojego męża? Bo jak sądzę, mąż nie wie o twojej eskapadzie. Jeszcze wplątałaś w to kuzynkę Mariannę i jej narzeczonego. Zaraz pół świata się dowie, że twoje ledwo zawiązane małżeństwo już przeżywa kryzys.

– Mamo, moje małżeństwo nie przeżywa kryzysu, mój mąż się nade mną znęca. Bije mnie. – Sara wyprostowała się, a jej zmaltretowana twarz w jasnym świetle dnia odsłoniła przed rodzicami wyrządzone na niej oszpecenia.

– On ci to zrobił? – Głos matki zmiękł.

– Tak, on. Robi mi to każdej nocy. – Sara zrzuciła koc z ramion i z impetem usiadła na krzesło.

– No, no, oszczędź nam szczegółów pożycia. To jednak wasze sprawy – ofuknęła ją matka.

– Klementyno... tak nie można... – wtrącił Ambroży nieśmiało.

– Co masz na myśli, mój drogi? – Matka złożyła usta w ciup i zmarszczyła brwi. – Czy twoim zdaniem zerwanie przysięgi małżeńskiej to rzecz normalna? – Wbiła w niego gniewny wzrok, choć ton jej głosu pozostał chłodny i wyważony. – Wrócisz do męża. I to bezzwłocznie.

– Niech się dziewczyna odświeży, prześpi, zje, porozmawia z nami o swoich kłopotach... – wymieniał niepewnym głosem ojciec.

– Nie! Kategorycznie zabraniam. Sara ma dom, męża, jest księżną. Nie wolno ci, moja droga, uciekać i chować się za spódnicą matki, jakbyś była małą zalęknioną dziewczynką – strofowała ją. – Masz wrócić do domu natychmiast i nigdy więcej do nas nie przyjeżdżać w takim stanie.

– Klementyno – upomniał ją Ambroży. – Łagodniej, proszę. Nie widzisz, że Sara cierpi?

– Każda z nas cierpi. Małżeństwo to pasmo wyrzeczeń i poświęceń. Uderzył cię, tak? Zapewne byłaś nieposłuszna, choć przysięgałaś posłuszeństwo. Sprawił ci ból, ale wierz mi, ten ból to nic w porównaniu z bólem, jaki cię spotka, gdy wydasz na świat swoje dziecko. Los nas w ten sposób hartuje, przygotowuje na mające nadejść jeszcze większe cierpienia, rozumiesz?

– Ciebie tato nigdy nie uderzył – wyszeptła Sara, polykając łzy.

– To fakt, ale nie myśl, że nasze małżeństwo to spacer aleją róż. To praca moja droga, trudna codzienna praca. Nigdzie nie jest lekko.

– Mamo, błagam cię, ja nie chcę tam wracać.

– Przestań natychmiast. Jesteś damą, księżną, niepodobna tak jęczeć. – Ostry ton matki smagał Sarę, jakby otrzymywała razy końskim rzemieniem.

– Błagam was, tato, mammo... – Osunęła się, klęknęła na kolana, a potem położyła czoło na ziemi.

Ambroży odwrócił się w stronę okna i otarł łzy. Żałował chwili, gdy powiedział żonie o prośbie Hipolita. Dłonie zacisnął w pięści i przygryzł aż do krwi dolną wargę. Gdyby mógł cofnąć czas, nie dopuściłby do tego małżeństwa. Nie potrafił znieść widoku klęczącej córki i błagającej o litość. Wiedział, że ten obraz będzie go prześladował do końca życia.

– Saro, proszę natychmiast wstać i zachowywać się z godnością. Nie tak cię wychowaliśmy. No już. Nie jesteś dzieckiem. Proszę, wstań – ponagliła ją zniecierpliwiona Wolska, bo córka, wciąż klęcząc z czołem opartym o posadzkę, zanosła się szlochem.

Ambroży odwrócił się od okna i podszedł do jedynaczki, pomógł jej wstać, otoczył ramieniem i doprowadził do kanapy, sam również usiadł obok.

– Tatusiu, ratuj mnie, ja tam dłużej nie zostanę. On mnie bije, poniża, lekceważy... – wymieniała, krztusząc się płaczem. – Ja... ja nie chcę tam być... nie zniosę tego dłużej.

Ojciec gładził Sarę po dłoniach, kompletnie nie wiedząc, jak może pomóc. Klementyna nabrała w płuca powietrza, a potem wypuściła je głośno.

– Ambroży, mój mężu – zwróciła się do małżonka oficjalnym tonem – pojedziesz razem z księżną Reszko do Karczewa, odwieziesz ją, a przy okazji porozmawiasz ze swoim przyjacielem, naszym zięciem.

– Mammo...

– Nie! Nie histeryzuj. Nikt cię siłą do ołtarza nie prowadził. Gdybyś stanowczo powiedziała nie, poszukałoby się innego kandydata. Przykro mi jednak, że nie potrafisz docenić najlepszej partii. I nie opowiadaj nam o swoich małżeńskich sprawach, jeśli chcesz się zwierzyć, idź do kościoła w Karczewie i księdzu powierz swoje sekrety, ale w domu niech one będą tajemnicą.

– Tak, niech będą tajemnicą – powtórzyła jak echo. – Dom pełen tajemnic...

– Przestań, powiedziałam. Idź, przemyj twarz, w tym czasie Helena przygotowuje ci wiktuały na drogę. Napij się gorącej kawy, przejdzie ci zmęczenie, zresztą prześpisz się w powozie, to zaledwie kilka godzin – dyrygowała. – Ambroży, proszę, ty też się przygotuj, zaraz każę spakować ci zestaw podróży, gdyby trzeba było zabawić w Karczewie kilka nocy, to zostań tam tyle, ile trzeba, i na litość boską, nie róbcie dramatu z kilku mężowskich klapsów – dokończyła stanowczo, lekceważąc uczucia córki i męża.

Sara wyszła z domu rodziców zobojętniała na wszystko i wszystkich. Dała się ojcu bez oporu zaprowadzić do powozu. Z matką się nie pożegnała. Kobiety rozstały się we wzajemnych pretensjach. Ambroży zaledwie musnął czoło żony wargami i również milczał. Klementyna zauważyła w mężowskich oczach wyrzut i to zirykowało ją jeszcze mocniej. Czy on myśli, że ja nie kocham naszej córki? – zżymała się w myślach. Robi ze mnie tyrana. Jeszcze mi za moją stanowczość oboje podziękują. Zła, stanęła przy oknie i patrzyła, jak jej bliscy wsiadają do powozu, jak stangret pomaga Sarze zająć miejsce na kanapie, jak ojciec okrywa ją pierzyną i mości jej poduszkę pod głowę. Sara zachowywała się jak pozbawiona życia kukła. Klementyna stała za firanką z pobladłą twarzą i zaciśniętymi wargami. Jak ona to sobie wyobrażała, że narazimy się na kompromitację i weźmiemy ją, mężatkę, księżną, pod nasz dom i ukryjemy

przed mężem?! Przecież to mrzonki, dziecinada. Hipolit z pewnością przyjechałby tu i odebrał ją siłą. Może już jest w drodze – przeraziła się. Jakie szczęście, że już wyjechali. Popatrzyła za karetą znikającą za szpalerem platanów. Może uda się zażegnać konflikt z zięciem.

Ambroży patrzył na wymizerowaną twarz córki i ścisnęła go taka żałość, że z trudem łapał oddech, bał się, że za chwilę głośno zapłacze nad jej losem. Jego córka, jego duma, jego mała księżniczka, której pozwalał na tak wiele, która miała pasję i radość, teraz wygląda jak śmierć. Czy rzeczywiście Hipolit podnosi rękę na własną żonę? – zastanawiał się. Może Marianna i Sara uknuły spisek, jak kiedyś, gdy wybrały się same do Warszawy. Hipolit wydaje się ekscentrycznym, ale porządnym człowiekiem. Znów westchnął, bo jednak siniaki na twarzy jego jedynaczki nie wzięły się znikąd. Jak to teraz będzie? Co ja mam mu właściwie powiedzieć? A jeśli nie będzie chciał Sary przyjąć z powrotem? Wybuchnie prawdziwy skandal, a Klementyna... – Nie, nie chciał myśleć, co wtedy robi Klementyna. Muszę tę delikatną sprawę załatwić jak najpomyślniej – przekonywał sam siebie. Jednak zbliżająca się wizja rozmowy z zięciem i w dodatku poruszanie tak osobistych tematów napawało go wstrętem.

Sara leżała z zamkniętymi oczami, ale nie spała. Wydawało jej się, że coś w niej pękło. Jeszcze przed paroma chwilami w Bielawie targwały nią emocje, płakała, rozpacziała i na kolana zaklinała matkę, by ta pozwoliła jej zostać. Teraz płacz, rozpacz i wszystkie inne uczucia odpłynęły. Ogarnął ją spokój. Tylko że ten spokój był dziwny. Nie obchodziły ją przeszłość ani przyszłość. Trwała w niemym letargu, wsłuchana w miarowy stukot kół toczącego się powozu. Bujał się na nierównej drodze, ale ona wtulona w puchową poduszkę, śmiertelnie zmęczona, nie odczuwała niewygód. Kołysana nierównościami drogi, czuła się, jakby leciała z urwiska, a przepaść pod nią była nieskończona. Spadała i spadała bez końca.

– Saro – usłyszała głos ojca, ale nadal nie otwierała oczu. Nie chciało jej się rozmawiać. Słowa i tak nic już nie znaczyły. To tylko słowa. Powiedzieć można wiele, ale jeśli za tymi słowami nie idą czyny, to cóż te słowa są warte? Nic. – Saro, córeczko... – szepnął ponownie ojciec, a jej na tę ojcowską czułość lzy wymknęły się spod ściśniętych powiek. Nie chciała, żeby papa je zauważył, ale one już wypłynęły z kącików oczu i zdradziecko turlały się po policzku. – Saro, córeczko, przepraszam...

Teraz usłyszała chlipnięcie. Ojciec płakał. Ból jakiś ścisnął ją za serce. Dlaczego to wszystko się wydarzyło i po co? Dlaczego nie mogła zostać w domu, marzyć, pisać, opiekować się rodzicami? Żyli szczęśliwie, spokojnie, niczego im nie brakowało. Dlaczego za wszelką cenę szukali jej męża? Czy nie mogło zostać tak, jak było? Czy małżeństwo jest takim wielkim szczęściem dla kobiety? Zastanawiała się przez chwilę intensywnie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Sapnęła cicho i otworzyła oczy. Ojciec ścierał wierzchem dłoni lzy z policzków. Popatrzyła na niego, był rok młodszy od jej męża. Wyglądał jednak starzej od niego. Szczególnie teraz, zatroskany i nieszczęśliwy.

– Tatku, nie płacz – poprosiła cicho.

– Saro, córeczko kochana, moja jedyna. Wybacz, proszę. Wybacz, że naraziłem cię na takie nieszczęście. Nie chciałem. Pragnąłem jedynie twojego dobra. Marzyłem, byś była szczęśliwa.

– Byłam. Kiedyś byłam. W innym życiu – szepnęła, zaledwie poruszając spierzchniętymi wargami.

– Nie spodziewałem się po Hipolicie, że jest takim łotrem. Że posunie się do...

– Nie, tатko, proszę, nie mówmy o nim, bo się rozplaczę i nigdy już chyba nie przestanę płakać.

– Kochanie, obiecaj mi jedno. – Spojrzał na nią oczami tak smutnymi, że mogła mu obiecać, co tylko chciał. I tak już jej było wszystko jedno. Patrzyła na niego bez słowa. Ojciec długo milczał, czekał, aż córka coś powie, ale ponieważ się nie odzywała, a tylko wpatrywała się wielkimi jasnymi oczami, w których zgasły iskry życia i radości, poprosił: – Proszę cię, Saro, byś nigdy nie przestała pisać.

Nie odpowiedziała. Zaskoczyła ją ta ojcowska prośba. Przecież jeszcze nie tak dawno zakazywał, razem z matką obśmiewali, kpili z jej pisaniny. Dlaczego teraz nagle każe jej pisać, a nie poucza o tym, by była posłuszna mężowi, rozsądna, bogobojna.

– Jaka szkoda, że nigdy nie powiedziałeś mi tego, gdy mieszkałam w domu.

– Saro, proszę, córeczko. Pisz tylko dla siebie albo nie, nie dla siebie, pisz dla mnie. Bardzo się o ciebie martwię. Gdy będę wiedział, że pisziesz, moje myśli będą spokojniejsze. Przecież pisanie sprawiało ci radość, nie można ot tak porzucić swojego zamiłowania.

– Może i nie można...

– Córeczko, kiedy przyjedziemy do Karczewa, porozmawiam z twoim mężem, nie wiem, jaki ta rozmowa przyniesie skutek, ale ufam, że... – Zamilkł, bo nie wiedział, co powiedzieć. Nie wierzył w powodzenie tej misji. Sara też nie wierzyła, nie czekała na ojcowską odpowiedź, zamknęła oczy i pogrzyżyła się w nicości. Ambroży natomiast zagryzł wargę. Bał się, że córka w rozpaczy załamie się, dlatego usilnie namawiał ją, żeby wróciła do dawnej pasji, do czegoś, co choć trochę nada sens jej życiu.



Po rozmowie Ambrożego z Hipolitem niewiele się zmieniło w małżeństwie Reszków. Książę w towarzystwie darzył młodą żonę karykaturalną wręcz uprzejmością, która wzbudzała powszechny zachwyt i zazdrość nieświadomych niczego niewiast. Sarę to nadskakiwanie pod publiczność irytowało, milkła przy takich okazjach, w popłochu zbierając myśli, na wypadek, gdyby musiała komuś odpowiedzieć na komplement dotyczący ich wspianego małżeństwa. Tylko księżna Anna, teściowa Sary, nie dała się zwieść. Uważała, że małżeństwo syna jest nieudane, i głośno o tym rozprawiała. Wiecznie milcząca synowa nie dała jej upragnionego wnuka. Anna publicznie oskarżała Sarę o bezpłodność i napomknęła, nie raz i nie dwa, że jej syn został po raz drugi oszukany. Sara boleśnie przeżywała te oskarżenia. Żyła w wiecznym poczuciu winy. Przecież nie chciała ani małżeństwa, ani dzieci. Pewnie dlatego jej organizm się buntuje i nie pozwala małej istocie zagnieździć się w jej ciele.

Coś się jednak zmieniło od tamtej nagłej ucieczki, a mianowicie Marianna Podolska i Nikodem Siwiński zerwali zaręczyny. Może przyczynił się do tego pośrednio książę Hipolit Teofil Reszko, a może inne względy. Faktem jest, że od tamtego zdarzenia szczęśliwa karta od-

wróciła się od Nikodema. Został publicznie oskarżony o oszustwa podatkowe, a jego pięknie zapowiadająca się kariera z widokiem na prezesurę w Banku Polskim, założonym przez księcia Franciszka Ksawerego Druckiego Lubeckiego, przyjaciela Hipolita, upadła. Wybuchł towarzyski skandal. Marianna okryła się hańbą porzuconej narzeczonej. Gdyby nie pokazywała się z narzeczonym sam na sam, może ostracyzm towarzyski byłby łagodniejszy. Szczególnie krytkowały ją stare matrony, nie szczędząc złośliwości. Bracia Marianny, Julian, Zygmunt, a nawet siedemnastoletni Antoni, żądali satysfakcji od byłego narzeczonego, ten jednak uniknął pojedynku, gdyż jak wieść niesła, pod osłoną nocy udał się w drogę do Paryża i tym samym okrył hańbą. Czego jak czego, ale braku honoru szlachta polska nie wybaczała.

Rozpacz Marianny nie miała granic. Dziewczyna popadła w apatię i zaszyła się na głębokiej wsi, z daleka od wścibskich oczu i ciętych języków. Na nic się zdały pocieszające listy słane przez Sarę, a także dowody sympatii okazywane jej przez Hipolita, który udawał, że nie ma nic wspólnego z doprowadzeniem do skandalu. Sara miała niemal pewność, że jej małżonek w ten surowy sposób ukarał i Mariannę, i Nikodema.

W pięknie utrzymanym przypałacowym parku zimne jesienne porywiste wiatry strąciły z drzew kolorowe liście, ulewne deszcze potworzyły kałuże na żwirowych alejkach, na świecie zrobiło się ponuro i nieprzyjemnie. Sara w dzień doglądała dworu i całego gospodarstwa. Wydawała polecenia, planowała, kontrolowała. Hipolit nie wtrącał się w domowe sprawy, zresztą małżonkowie mało ze sobą rozmawiali. Wieczorem wyszywała, szyła, a w niektóre dni uczyła służbę czytać i pisać, wieczorami zaś pisała pamiętnik. Przynęła to ojcu i z czasem sama odkryła, że pisanie pomogło jej wyjść z głębokiej apatii, w którą popadła po pamiętnym zdarzeniu. Mąż rzadziej przychodził po nią w nocy. Była przekonana, że rozmowa z jej ojcem ostudziła jego męską chuć. Któregoś grudniowego wieczoru, gdy nie mogła zasnąć, narzuciła szal na ramiona i już chciała zejść do biblioteki, ale usłyszała skrzypnięcie drzwi od mężowskiej sypialni. Cofnęła się, przestraszona, nie miała ochoty na spotkanie z Hipolitem. Nagle zamarła, bo usłyszała kobiecy chichot, a chwilę później przez szparę w niedomkniętych drzwiach zobaczyła młodą dziewczynę, która służyła jako pomoc kuchenna. Jasna skóra jej nagich, rozłożystych pośladków błysnęła w półmroku korytarza. Reszko rzucił sprośną uwagę o piersiach dziewczyny, jak dwie jędrne kule, które chciałby co noc turlać, ona znów się zaśmiała, a potem drzwi mężowskiej sypialni zamknęły się z jękiem i na korytarzu zapanowała cisza. Dopiero teraz Sara miała odwagę zamknąć drzwi, wcześniej bała się zdradzić swoją obecność niespodziewanym ruchem. Ach, więc jego męska chuć wcale nie ostygła, tylko sięga po panny służące – pomyślała z goryczą. Z jednej strony poczuła ulgę, że nie musi noc w noc spełniać małżeńskich obowiązków, ale z drugiej czuła zażenowanie i smutek. Żal jej było tych młodych kobiet, które oddawały się jej mężowi za lepsze traktowanie, drobny upominek, szczególne względy czy łaski. Westchnęła, nie zeszła już do biblioteki, tylko położyła się do łóżka. W ciemności pokoju spoglądała w wielkie okno. Jasna księżycowa poświata obudziła w niej jakąś nieznaną jej tęsknotę. Pragnienie czegoś, czego w jej życiu zabrakło. Nie potrafiła tego określić. Przecież los nie miał jej już niczego do zaoferowania. Nic się w moim życiu już nie zmieni na lepsze – pomyślała.



Zima ciągnęła się długo. Śnieg, który spadł na początku listopada i okrył świat białą puchatą kołdrą, utrzymywał się aż do marca. Rzadko kto odwiedzał dwór w Karczewie, bo drogi były nieprzejezdne. Dlatego z nadejściem wiosny, gdy śniegi stopniały, a sasanki i zawilce rozchyliły płatki ku słońcu, wszystkim istotom zachciało się żyć. Nawet Sara częściej się uśmiechała, chodziła na dłuższe spacery, siadywała na ławeczce w parku i oddawała się w duchu snuciu powieści. Po tamtym niefortunnym liście od wydawcy, który skrytykował jej twórczość, nie miała odwagi dalej pisać. Ale czas zatarł nieprzyjemne wrażenia, a niespełnione młodzińcze marzenie znów dało o sobie znać. Czy ja kiedykolwiek napiszę i ujrzę swoją powieść? – zastanawiała się. A potem pomyślała, że takich marzycieli jak ona jest zapewne dużo więcej. Kobiet i mężczyzn, zamożnych i biednych, których łączy jedno – miłość do literatury.

Któregoś dnia, gdy jak zwykle po południu przechadzała się po parku, wpadła na pomysł, by w Karczewie zorganizować cykliczne spotkania literackie na wzór obiadów czwartkowych, które z inicjatywy księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego organizował niegdyś król Stanisław August Poniatowski. Zarumieniona z emocji, przystanęła, a potem oparła się plecami o pień olbrzymiego dębu. Zaczęła rozmyślać, jaki dzień tygodnia wybrać i czy wzorem niezującego monarchy spotykać się co tydzień, czy co miesiąc. W końcu doszła do wniosku, że będą to piątkowe wieczory. W przeciwieństwie do słynnych obiadów czwartkowych, na które zapraszani byli wyłącznie mężczyźni, Sara planowała zapraszać również kobiety.

Mąż nie skomentował jej pomysłu, gdy go o nim poinformowała. Nie pomógł, ale też nie przeszkadzał. Miał na głowie rozliczne interesy, do których wyjeżdżał coraz częściej. Jego nieobecność we dworze Sara przyjmowała z ulgą, choć krążyły plotki, że w służbowe podróże nie wybiera się samotnie. Dziewczyna z kuchni, Helga Słupnik, nie pracowała już jako pomoc kuchenna, ale jako osobista asystentka księcia Reszki. Ubrana w piękne stroje, wsiadała z nim do powozu i jechali do oddalonych majątków czy do Warszawy i znikali na całe tygodnie. Plotkowano, ale Sara starała się wszelkimi sposobami, by do niej te plotki nie docierały.

– Pani Saro, ta dziewczyna, ta Helga... lepiej jej się pozbyć ze służby – stwierdziła któregoś ranka Marta. – Jak przyszła na służbę do Karczewa, to nie potrafiła zdania składnie sklecić, a teraz dama się zrobiła, że aż strach. Niepotrzebnie pani uczy nas wszystkich czytania i pisania. Teraz same kłopoty tylko z tego – psioczyła kobieta.

– No co też ty, Marto, jakie kłopoty? – Księżna się zaśmiała.

– Oj, będą z tego kłopoty. Już ja to czuję. Panoszy się ta Helga, że patrzeć nie idzie na to. Że też pani taką zmięję trzyma pod swoim dachem. – Służąca kręciła głowę z dezaprobatą. – Ja bym ją pogoniła, ino szum. Straszne plotki chodzą o niej i o naszym panu – wyjawiała w końcu. – Będą z tego kłopoty, wspomni pani moje słowa.

– Nie chcę tego słuchać, Marto – ucięła Sara ostro. – Chociaż ty nie powtarzaj plotek, bardzo cię proszę.

– Nie powtarzam plotek, księżno – obruszyła się. – Mówię, co widzę. Proszę pamiętać, że ostrzegałam.

Sara jednak nie słuchała plotek. Zbyt mocno godziły w jej godność, upokarzały ją, umniejszały jej kobiecość. Nie to, że nagle zapałała do męża uczuciem, o co to, to nie. Nienawidziła go jeszcze bardziej. Na szczęście był teraz w domu rzadkim gościem, a jej taki obrót sprawy zwyczajnie pasował. Czuła jedynie dyskomfort duchowy, że satysfakcjonuje ją myśl, iż jej własny małżonek zadaje się z prostą dziewczuchą, a jej, księżnej Sarze Leokadii Reszko, daje spokój.

Pamiętny piątkowy wieczór odbył się dwudziestego dziewiątego czerwca tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku, dzień po koronacji królowej Wiktorii, które to wydarzenie stało się zresztą głównym tematem rozmów pierwszego spotkania. Książę Hipolit zjawił się w posiadłości, bo nigdy nie przepuszczał okazji do publicznych wystąpień i brylowania wśród elit. A w Karczewie tego dnia zebrało się towarzystwo artystów, literatów, malarzy, śpiewaków, ale też przybyła arystokracja i okoliczna szlachta. Każdy chciał zaistnieć na piątkowym wieczorze u księżnej Reszko. Sara nie zdawała sobie sprawy, że przez własną nieprzystępność jest otoczona nimbem tajemniczości. Każdy więc pragnął poznać bliżej tę tajemniczą, nieprzystępną i do tej pory milczącą arystokratkę.

W ten pamiętny dla Sary pierwszy piątkowy wieczór, który otworzyła kwiecistą przemową, ujawniły się liczne talenty recytatorskie. Jej dobrego nastroju nie zmąciła nawet przydługa przemowa jej męża. Niektóre utwory recytowane przez zaproszonych gości okazały się dość frywolne, wywoływały salwy śmiechu i burzę oklasków. Towarzystwo bawiło się wybornie, dopóki na środek salonu nie wyszedł młodzieniec o śniadej cerze, ciemnych włosach i promiennych orzechowych oczach. Skłonił się nisko, a potem podniósł dumnie głowę i się przedstawił.

– Nazywam się Bruno Dzikowski. Jestem literatem, ale wiersz, który dziś zadeklamuję, nie jest mojego autorstwa. To wiersz poety, którego cenię najbardziej na świecie, a który tu dziś z nami być nie może. Jestem przekonany, księżno – zwrócił się do Sary – że jest to idealny utwór na inaugurację piątkowych wieczorów. – Jeszcze raz się uklonił i wyrecytował z patosem:

*Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz:
Niechaj ta czara złota,
Nie próżno wabi nas.*

*Hejże do niej wesolo!
Niechaj obiega w koło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę złotych chwil!*

Po co tu obce...

– Stop! – ryknął Hipolit. – Stop, natychmiast! W tej chwili proszę przestać – wrzeszczał, nie chcąc za wszelką cenę dopuścić, by wybrzmiały dalsze wersy *Pieśni filaretów*. Zebrani w salonie poruszyli się niespokojnie. Nie wszyscy orientowali się, że za ten właśnie utwór poeta

Adam Mickiewicz oraz jego przyjaciele z Towarzystwa Filomatów zostali skazani na zesłanie w głąb Rosji. – Nie życzę sobie w moim domu politycznej hucpy – oświadczył Reszko. Bał się, że jego interesy z Moskwą czy z Petersburgiem mogą zostać poważnie zachwiane, jeśli spadnie na niego choć cień podejrzeń, że ma coś wspólnego z niepodległościowymi zrywami. Wprawdzie Nikołaj Nowosilcow, największy prześladowca Polaków, od dwóch miesięcy leżał w grobie, ale Reszko wolał dmuchać na zimne.

– Panie Bruno, proszę zadeklamować nam coś własnego, bardzo prosimy. – Sara starała się mówić spokojnie, choć słowa z trudem wydostawały się przez ściśnięte gardło. Posłała młodemu mężczyźnie najbardziej czarujący uśmiech, na jaki było ją stać. Na krótką chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się i młody człowiek musiał wyczytać w oczach Sary niemą prośbę, bo odwzajemnił uśmiech i wyrecytował śmieszny limeryk o miłości, za co otrzymał gromkie oklaski.

– No, od razu lepiej. – Hipolit poklepał poetę po ramieniu, splunął nadmiar śliny do stojącej nieopodal kanapy kraszuarce i usatysfakcjonowany udał się z kilkoma mężczyznami do palarni delektować się cygarem. Sara usiadła na kanapie pod oknem i odetchnęła z ulgą. Oczyma wyobraźni już widziała, jak Hipolit posyła tego młodego człowieka do wszystkich diabłów, a jej starannie przygotowana uroczystość doznaje klęski.

– Księżno, dziękuję za zaproszenie. – Bruno stanął obok niej i spytał, czy może się przysiąść, a kiedy otrzymał pozwolenie, kontynuował: – To dla mnie wielki zaszczyt. Przepraszam, że zburzyłem spokój księcia i być może jeszcze kilku osób, ale tak trudno uwierzyć, że niektórzy, a właściwie większość, odwraca się od idealistów. W ten sposób nigdy nie odzyskamy ojczyzny.

– Panie Bruno, na niektóre rzeczy nie mamy wpływu – powiedziała łagodnie. – Niech mi pan opowie coś o swojej poezji. – Widząc, że mężczyzna ma zaciśnięte usta i chmurne spojrzenie, Sara położyła swoją dłoń na jego dłoni i wyszeptwała: – Bardzo pana o to proszę.

– Dlaczego nikt nie chce nadstawiać głowy? Czyż życie jest ważniejsze niż wolność? Nasze ideały, nasze wzniosłe myśli, nasze uczucia... – Chłopak starał się tłumaczyć emocje, ale te wylewały się niczym wezbrana górską rzeką.

– Ten wieczór jest dla mnie szczególny – zaczęła, patrząc gdzieś przed siebie w niewidzialny punkt. – Pierwszy raz wyszłam z własnej niewoli. Ostatni rok był dla mnie... – Przełknęła głośno ślinę, bo straszne wspomnienia cisnęły się pod powieki. Nie chciała i nie mogła się rozpłakać przed tym człowiekiem w obecności tylu zacnych gości. – Nie żyłam. Nie chciałam żyć. Nie miałam po co. Nie miałam dla kogo. Nie widziałam sensu ani ratunku dla siebie. Spadałam i spadałam bez końca. – Nie chciała mówić o sobie, ale nagle słowa popłynęły i nie chciały się zatrzymać, jakby wezbrana woda zburzyła tamę.

– Księżno... – Teraz on ścisnął jej dłoń, lecz ona nie słuchała go ani nie czuła jego uścisku.

– Samotność jest lekiem na wszelką tyranie. Jest dobra, choć ludzie się jej boją. Ja uciekam w swoją samotność, żeby żyć. – Zebrała w dłonie błękitny materiał sukienki i zrobiła ruch, jakby chciała wstać z kanapy, ale Bruno przytrzymał jej dłoń. Odwróciła powoli głowę i spojrzała mu w oczy. Zadrżała. W jego wielkich błyszczących orzechowych oczach zobaczyła żar.

Biła z nich wielka pasja życia, radość, upór, energia, namiętność. Przygryzła wargi, czuła, jak się rumieni, ale nie potrafiła oderwać się od tego zachłannego spojrzenia.

– Księżno, jest pani prześliczną kobietą – wyszeptał, po czym wziął jej bezwonną dłoń i złożył na niej pocałunek. – Przepraszam za moje zachowanie. To się nie powtórzy.

– Dziękuję. Te wieczory są dla mnie ważne.

– Zrobię wszystko, by uczynić je dla pani jeszcze piękniejszymi.

– Proszę opowiedzieć mi o swojej poezji – powtórzyła prośbę.

– Piszę wiersze o miłości, o życiu, ale też rewolucyjne, ale o nich dziś mówić nie będę. – Uśmiechnął się. – Napisałem sporo wierszy, ale marzę o napisaniu powieści.

– To tak jak ja. – Roześmiała się szczerze, promiennie.

– Marzysz, księżno, o pisaniu? Ależ przecież kobiety...

– Och, tylko proszę mi nie mówić, że kobietom nie przystoi pisać. – Zniecierpliwiła się.

– Ależ skąd! Gdzież bym śmiał. Po prostu nie spotkałem na swojej drodze kobiety, która marzy, by zostać powieściopisarką.

– W takim razie właśnie pan spotkał. Chociaż przez ostatni rok, w którym nie żyłam, zaprzestałam pisanie powieści, a to była jedyna rzecz, która przynosiła mi radość.

– Saro. – Jego wargi ledwo się poruszyły, gdy wymawiał jej imię, zaszumiało jej w głowie, a serce oszalało. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak smakuje jego usta. Czuła się jak pijana, próbowała uspokoić drżenie rąk, wszystko na nic. – Saro, jesteś... taka piękna... – szepnął odważnie.

Milczała. Najchętniej spędziłaby ten wieczór tylko z nim, ale wypadało wstać, porozmawiać z gośćmi, pochwalić artystów za ich talent, zaangażowanie i za przyjęcie zaproszenia.

– Księżno – usłyszała za sobą. Odwróciła się. Bruno stał z płonącym spojrzeniem, dzieliło ich kilka kroków, odchrząknął i powiedział z drżeniem głosu, ale dość głośno: – Niech pani napisze tę powieść. Będę pani pierwszym fanem.

Posłała mu uśmiech, lecz nie odpowiedziała. Serce waliło jej w piersi i miała wrażenie, że każdy z obecnych zauważa jej splonienie.

Podchodzili do niej jacyś ludzie, rozmawiała, śmiała się, żartowała, jadła kolację, ale w ogóle tego nie pamiętała. Nawet Hipolit zdobył się na pogratulowanie małżonce niezwykle udanego przyjęcia. Objął jej kibić, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło.

– Jestem dumny z mojej żony. Wielkie brawa dla niej – zakrzyknął.

– Brawo, księżno! Gratulacje, Saro. – Zewsząd rozległy się komplementy.

Jednak gdy goście się rozjechali, twarz Hipolita znów stała się chmurna i kpiąca.

– W moim domu kobieta ma się zajmować kobiecymi sprawami. Męskie proszę zostawić dla mężczyzn. Żadnej babskiej pisaniny w tym domu nie będzie – zawyrokował, a potem wsiadł do powozu i wraz z asystentką Helgą wyjechał w im tylko znane miejsce.

Sara odetchnęła z ulgą. Nie zdręczała się już wyrzutami sumienia, że cieszy się z mężowskich zdrad. Tej nocy czuła się szczęśliwa. Spłynęła na nią radość i jakieś dziwne uczucie lekkości, którego nie potrafiła nazwać, a które nie pozwalało jej usiedzieć w miejscu. Po kąpieli, ubrana w zwiewny batystowy peniuar, z rozpuszczonymi włosami, pachnąca, stała oparta o barierkę na tarasie i patrzyła w gwiazdy. Lekki podmuch wiatru rozwiewał jej jasne włosy,

z dołu dolatywał upojny zapach jaśminu, gwiazdy migotały pięknie na granatowym firmamencie, a ona zastanawiała się, czy i on, Bruno, patrzy teraz w gwiazdy. Czy szepcze jej imię swoimi pełnymi, namiętymi wargami? Czy myśli o niej, czy może jednak jest jakaś kobieta w jego życiu? Czy dane jej będzie jeszcze choć raz go zobaczyć? Jakże się różnił od Hipolita. Młody, niewiele starszy od niej. Ileż może mieć lat? – zastanawiała się. – Dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć? Dumny, wysoki, smukły, wspaniale zbudowany, o śniadej cerze i palających namiętnością orzechowych oczach. Wspominała serdeczny, kojący uścisk jego dłoni, pieśczołą warg, gdy szeptał jej imię, widziała podziw dla jej urody, gdy na nią patrzył, nie odrywając wzroku. Przypominała sobie jego bliskość, gdy siedzieli ramię w ramię na kanapie pod oknem. A także żar i odwagę, gdy recytował utwór Adama Mickiewicza. To się śmiała, to wzdychała. Zapragnęła tańczyć, śmiać się, śpiewać i biegać boso po trawie z rozpostartymi rękoma. Czy tak właśnie smakuje miłość? Czy to jest miłość? Zakochanie?

– Skąd mogę wiedzieć, nigdy nie byłam zakochana – powiedziała na głos i się roześmiała, pierwszy raz szczęśliwa. Lecz nagle posmutniała. Jeśli to miłość, to cóż mam zrobić z tym uczuciem? Jestem mężatką. Nawet nie wiem, kim jest ten człowiek. Czy ma rodzinę, może żonę, może dzieci. – Nie, na pewno nie – odpowiedziała sobie natychmiast, nie chcąc nawet na moment dopuścić złych myśli. – Gdyby miał rodzinę, nie patrzyłby na mnie w ten sposób – znów głośno wyraziła swoją myśl. Uśmiechnęła się i ponownie przywołała przed oczy jego obraz. Spojrzała w niebo i zobaczyła spadającą gwiazdę. – Och, to na szczęście – szepnęła, niepompna przestroóg babci, która mawiała, że kiedy spada gwiazda, to czyjaś dusza idzie do nieba, ale dla tych, którzy zostają na ziemi, wcale ta gwiazda szczęśliwa być nie musi.



Marianna Podolska siedziała na tarasie wielkiego domu swojej babki i z robótką ręczną na kolanach to wyszywała, to opuszczała serwetę i patrzyła w niebo, jakby te miało jej wywróżyć przyszłość. Minęła tamta straszna jesień, w której dziewczyna szalała z rozpacz, minęła też zima, a wraz z nią i zubożenie, w jakie popadła niedoszła panna młoda. Echa skandalu związanego z Nikodemem Siwińskim nieco przycichły, ale serce panny Podolskiej stało się nieufne i zamknięte na miłość. Nie udzielała się towarzysko ani nikogo nie chciała widzieć. Jedyną rozrywką były listy od Sary. Czytała każdy z nich po kilka razy. Lecz ani razu nie odpisała. Księżna Reszko kajała się, biła w pierś i obwinała po części o rozpad związku Marianny i Nikodema. Marianna również ją obwinała. Nie mówiła tego głośno, ale w duchu miała za złe kuzynce, że ta wplątała ją i jej narzeczonego w małżeńską kłótnię. Jednak wraz z nadejściem wiosny wydźwięk listów Sary się zmienił. Z wiosennej korespondencji wycierała nadzieja i radość życia, a wraz z nadejściem lata listy od Sary przestały w ogóle przychodzić. Ostatni list został wysłany w lipcu. Czuć było, że księżna jest szczęśliwa. Sara opisywała w nim nadzieję związaną z nową powieścią, ale Marianna przeczuwała, że chodzi o coś jeszcze. I nagle ją olśniło: Sara jest w błogosławionym stanie. Tak! Na pewno! O nic innego przecież chodzić nie może. Pozazdrościła jej tego małżeństwa, a nawet tego trochę koślawego szczęścia rodzinnego. Ona sto razy wolałaby takie małżeństwo niż żadne. Pozostała zhańbiona na wieki i była prze-

konana, że już na zawsze zostanie starą panną. Westchnęła, podniosła z kolan serwetę i zieloną mulinę, ale wyszywanie jej nie szło. Rozdrażniona, wypruła nierówny ścieg. Nie usłyszała skrzypnięcia tarasowych drzwi, w których stała Adelajda.

– Mamo, co ty tu robisz? – Marianna poderwała się z bujanego wiklinowego fotela, odłożyła robótkę na stolik, na którym stała herbata z malinowych liści, i rzuciła się matce w objęcia.

– Dobrze cię widzieć, dziecko. Cieszę się, że przebywasz na świeżym powietrzu. Powinnaś jednak włożyć kapelusz słomkowy i rękawiczki, bo zrujnujesz sobie cerę. Och, jak dobrze się do ciebie przytulić.

– Ciebie też, mamciu, dobrze widzieć. – Córka szczerze się ucieszyła. Jej piękne miedziane włosy splecione w warkocz spoczywały na ramieniu, a kremowa sukienka podkreślała szczupłą, nieco wymizerowaną sylwetkę.

Adelajdzie ścisnęło się serce, gdy patrzyła na Mariannę. Przez ostatnie dziewięć miesięcy córka żyła jak pustelnica. Ze zrozumiałych względów nie spotykała się z przyjaciółmi ani z dalszą rodziną. Matka, chcąc zapobiec temu stanowi, przyrzekła sobie, że albo wyjadą stąd razem, albo zostanie i tak długo będzie przekonywała dziewczynę, aż ta na nowo otworzy się na świat.

Po obiedzie, gdy siedziały we dwie w dawnym młodzieńczym pokoju Adelajdy, który teraz z sentymentu zajmowała jej córka, kobieta opowiadała o domowych sprawach, o braciach Marianny, o sąsiadach. Kto się ożenił, kto umarł, komu urodziło się dziecko.

– A co tam w Karczewie? – spytała dziewczyna niewinnie między jednym łykiem herbaty a drugim.

– Zmiany. Wielkie zmiany. – Adelajda się uśmiechnęła. – Hipolit w ubiegłym tygodniu wyjechał do Petersburga, ma jeszcze jechać do Moskwy. Dogląda tam swoich interesów. Nie wiadomo, kiedy wróci. Chodzą plotki, że nie pojechał sam. – Matka zawiesiła głos dla lepszego efektu i mrugnęła okiem.

– Co sugerujesz? – Marianna spojrzała lekko zszokowana.

– Niczego nie sugeruję. To wiedza publiczna, książe Hipolit Teofil Reszko stracił głowę dla pomocy kuchennej. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– A co na to Sara? Jak ona to przyjęła?

– To wy ze sobą nie korespondujecie?

– Piszemy, to znaczy ona pisze. Ja rzadko jej odpisuję. Nie mam nastroju. – Westchnęła.

– Będzie dobrze, kochanie, zobaczysz. – Matka bawiła się listkiem, który niesiony przez wiatr przyfrunął na jej kolana. – Nabierzesz ochoty do życia i wszystko się zmieni.

– Z jej ostatniego listu nie wynikało ani że małżonek ją zdradza, ani że wyjechał. – Marianna wróciła do nurtującego ją tematu.

– Może nie chciała się tym dzielić. Bo sama przyznaj, nie ma czym, a może nie miała kiedy ci o tym napisać. Jest bardzo zajęta.

– Spodziewa się dziecka? – W głosie Marianny wybrzmiało rozczarowanie.

– Spodziewa się dziecka? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Adelajda Podolska. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– Tak tylko snuję domysły, bo rzeczywiście coś jakby się zmieniło w tonie jej listów. Sama się zastanawiałam, co się mogło wydarzyć w Karczewie, i jedyne, co mi się nasunęło, to dziecko.

– Nie, chyba to nie to. Do końca nie mam pewności. – Matka się zamyśliła.

– Pewnie się cieszy, że Hipolit wyjechał. Wprawdzie okrył ją hańbą, no cóż, tak bywa, wybrał kochankę, a nie ją, ale nie ona pierwsza, nie ostatnia doznała upokorzenia ze strony małżonka – dokończyła mściwie.

Adelajda przyjrzała się córce uważnie. Miała właśnie zaproponować Mariannie, by ta wybrała się do Karczewa, ale przekonała się, że dziewczynie jeszcze całkiem nie przeszedł dawny żal do Sary.

– To czym jest tak zajęta?

– Urządza przyjęcia dla artystów. Głównie dla literatów. Zjeżdża się do niej co tydzień cała śmietanka towarzyska, szlachta i arystokracja. Również z Warszawy. Jednym słowem, Sara zaczęła błyszczeć.

– Kto by pomyślał. Przecież ona bała się słowa w towarzystwie powiedzieć. Najchętniej milczała, a kiedy ją pytałam, dlaczego się nie odzywa, to twierdziła ze śmiechem, że obserwuje, bo jej różne rzeczy są potrzebne do powieści.

– Nazywa te spotkania piątkowymi wieczorami. – Adelajda prychnęła, unosząc zaledwie kąciki ust. Owszem, lubiła Sarę, nawet bardzo. Kibicowała jej młodzieńczej pisarskiej pasji, ale to było wtedy, gdy jej córce też znakomicie się wiodło. Kiedy były równe sobie. Gdy jednak Sara została księżną, a Mariannę spotkał niegodziwy los, zakiełkowało w Adelajdzie ziarenko zazdrości i zrodziło się w niej pytanie, które powracało jak bumerang, a mianowicie dlaczego to Mariannę, a nie na przykład Sarę spotkały takie upokorzenie i hańba. Dochodziły do niej słuchy, że Hipolit nie jest najlepszym mężem, ale Adelajda w kwestii małżeństwa miała takie zdanie jak większość kobiet w średnim wieku, a mianowicie, że mężowi przysięga się przed ołtarzem posłuszeństwo i to jest rzecz święta. Nawet jeśli mąż od czasu do czasu podniesie na żonę rękę, to i cóż z tego? Trzeba wybaczyć i żyć dalej w zgodzie. Tak więc nowa plotka, która opowiadała o stałej kochance Hipolita, dała obu Podolskim miłą satysfakcję.

– Tak narzekala na męża, a teraz wcieliła się z lubością w rolę księżnej – rzuciła z sarkazmem Marianna.

– Życie płynie, rany się goją, nie na darmo mówi się, że czas jest najlepszym lekarstwem. I ty wkrótce kogoś pokochasz.

– I rzeczywiście przyjeżdżają do niej tłumy? – Młoda kobieta nie skomentowała ostatnich słów matki, tylko powróciła do wypruwania nieudanego ściegu, a przy okazji ukłuła się w palec, bo zapomniała nałożyć na niego napastrzek, więc odrzuciła z furią wyszywaną serwetę. Zielona mulina potoczyła się pod stół.

– Tak, przyjeżdża sporo znakomitych nazwisk. Karczew stał się centrum spotkań towarzyskich. Każdy, kto się liczy, marzy o zaproszeniu do księżnej Reszko. Sama jestem zdziwiona, że Sara potrafiła zorganizować takie przedsięwzięcie, które urosło do rangi wydarzeń towarzyskich. – Adelajda westchnęła głośno. – Dobrze byłoby się tam pokazać – dorzuciła ciszej i położyła dłoń na dłoni córki.

- Nie mam zaproszenia – zakpiła dziewczyna, nieprzyjemnie wykrzywiając usta.
- Nie żartuj sobie. Jesteście bliską rodziną, poza tym przyjaźnicie się. Nawet jeśli ostatnio się między wami nie układało, to najwyższy czas temu zaradzić. Życzę sobie, Marianno, byś tam pojechała.
- Mamo, ja się nie nadaję do towarzyskich spotkań. Nie chcę wystawiać się na ludzkie języki – jęknęła.
- O tamtej sprawie już dawno zapomniano. Przesiedziałaś w tej pustelni prawie cały rok. Jak długo chcesz się karać za coś, czemu nie zawiniłaś? Starczy tych katuszy.
- Nawet nie mam odpowiedniej sukni. Nie wiem, co teraz się nosi – zaczęła niepewnie, ale matka jej przerwała.
- Nie martw się garderobą, zadbam o wszystko. Chcę tylko, by moja dumna córka wróciła do życia. No już, kochana, uśmiechnij się, dość się tutaj naciępałaś. Nikodem nie był ciebie wart. Kiedyś uległam ułudzie, że można wyjść za mąż z miłości. Gardziłam Klementyną, że aranżuje zamążpójście jedynej córki i w dodatku każe jej iść za mąż za starca. Po tym feralnym zdarzeniu z Nikodemem przyznaję rację mojej siostrze. Miłość przemija. Każda. Bez wyjątku. Zatem może i dobrze, że rodzina w mądrym obiektywnym osądzie wybiera męża czy żonę. I ja również tobie zaaranżuję małżeństwo. Więc jeszcze raz cię proszę, wręcz żądam, żebyś porzuciła smutki, złe myśli i źle pojęty wstyd i udała się do Karczewa. Tam nie tylko zapomnisz o dawnym nieszczęściu, ale pobawisz się, potańczysz, a i z Sarą odnowisz kontakt. Byłyście wszak bratnimi duszami. A teraz wejdźmy do środka, proszę, bo babcia pomyśli, że spiskujemy przeciwko niej. Mam nadzieję, że posłuchasz mojej rady i mnie nie zawiedziesz.



Sława piątkowych wieczorów rozniosła się szerokim echem. Serdeczna, nieco tajemnicza, a przede wszystkim nienarzucająca swojego zdania gospodyni, do tego uważna na opinie innych, potrafiła zjednać sobie artystów i arystokratów. Zaproszenie od księżnej Reszko na piątkową uroczystość dodawało artyście splendoru i nobilitowało. Towarzyski tygiel trwał zazwyczaj do późnej nocy, a czasami przeciągał się do wczesnych godzin porannych. Goście rozjeżdżali się dopiero bladym świtem. Pod koniec sierpnia Sara postanowiła, że wydłuży piątkowe wieczory do sobotniego popołudnia. Jej decyzja spotkała się z aplauzem rozbawionego towarzystwa, ale ją szczególnie cieszył zachwyt jednego gościa, artysty Brunona Dzikowskiego. Najchętniej nie rozstawałaby się z nim nigdy. Lubiła jego obecność, a przede wszystkim sposób, w jaki na nią patrzył. W jego ciemnych orzechowych oczach odbijał się podziw dla niej. Nikt tak jak on nie wymawiał jej imienia, nikt tak jak on nie całował jej dłoni, nikt tak jak on nie miał takiej czułości w głosie i uważności, gdy się do niej zwracał. To dla niego chciała być piękna. To dla niego porzuciła spokojne pastelowe kolory i zaczęła nosić odważne czerwienie i róże. To na jego widok w jej oczach zapalały się iskierki radości. I z tęsknoty za nim zaczęła znów pisać powieść. To właśnie jemu i tylko jemu zwierzyła się ze swojego sekretu, a on przyjął wieść o pisaniu z entuzjazmem.

Umówili się, że będą sobie wzajemnie przysyłać swoje rozdziały, a potem je omawiać. Tyle że Bruno zachwycony jej talentem, nie potrafił się skupić na własnym, bo tak bardzo czekał na każdy rozdział Sary. Tak, Bruno potrafił docenić jej talent, jej urodę i jej kobiecość. Teraz, gdy Hipolit wyjechał do Petersburga i do Moskwy, mogła bez skrępowania cieszyć się swobodą i piątkowymi wieczorami, na które czekała przez cały długi tydzień. Na szczęście Bruno przyjeżdżał kilka godzin przed oficjalnym rozpoczęciem wieczoru, toteż młodzi cieszyli się tym sekretnym wykradzionym czasem. Spacerowali, rozmawiali, pili kawę i patrzyli sobie w oczy.

– Pozwolę sobie zauważyć, księżno, że fragment, który przesłałaś w ostatnim liście, miał pewną wadę – rzekł Bruno, przechadzając się z Sarą parkowymi alejami.

– Och, zapewne – strapiła się. – Proszę zatem wyjawić mi tę wadę, chętnie posłucham i się zastosuję do pańskich uwag.

– Ten fragment był zbyt krótki, Saro. – Ściszył głos do szeptu, choć wokół nich nie było nikogo. – Przeczytałem go w jednym okamgnieniu, a czekałem na niego całe trzy dni.

Westchnęła szczęśliwa. Lubiła, gdy zwracał się do niej z pominięciem konwenansów. Wy-mawiał jej imię tak miękko, tak pieszczotliwie, tak słodko, że kręciło jej się w głowie i brakowało tchu.

– Ależ Bruno, pisałam ten fragment bardzo długo i wydaje mi się, że jest odpowiednio obszerny jak przystało na jeden rozdział. Zresztą, powieść zmierza ku końcowi i to dzięki pańskiej zachłanności na moje pisanie. – Roześmiała się szczęśliwa.

– Masz rację, księżno. Rozdział był idealny, ale ja chcę więcej. Chcę więcej... – Zawiesił głos i spojrzał jej głęboko w oczy. Przytrzymał jej dłoń w swoich dłoniach, a potem, nie odrywając wzroku, złożył na jej dłoni pocałunek. – Chcę więcej... pozwól mi na więcej... – szeptał.

Oparła się o pień rozłożystej lipy, bo kolana się pod nią ugięły, a słabość nie pozwoliła zrobić kolejnego kroku. Przymknęła powieki i starała się wyrównać oddech. Bruno objął rękoma jej wąską kibić, nie zaprotestowała, nie odsunęła się ani nie spuściła wzroku. Uniosła podbródek, jakby czekała na jego usta, a gdy poczuła jego wargi na swoich, świat zawirował. Nikt nigdy nie całował jej naprawdę. Obszłizgłe mięsiste usta męża napawały ją obrzydzeniem, za każdym razem zbierało jej się na mdłości, gdy przesuwał nimi po jej ciele. Nienawidziła pocałunków. A teraz niespodziewanie dla samej siebie pragnęła dotyku warg. W dwudziestym trzecim roku życia nagle wybuchła w niej cała paleta miłości. Palił ją żar, pragnienie, a Bruno całował ją bez końca. Prosił o więcej, ale ona też chciała więcej. Niewyobrażalnie uczucie szczęścia mdliło ją swoją rozkoszą.

– Bruno... – wyszeptała – Bruno, co ty ze mną robisz...

– Pozwól mi na więcej, Saro. Pragnę cię od pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem. Od spojrzenia, w którym dałaś mi znać, abym zaprzestał natenczas ideałów i porzucił deklamację *Pieśni filaretów*, i gdy potem mówiłaś o swej samotności, wiedziałem, że mówisz szczerze, bo i ja czułem to samo. Saro, proszę, pozwól mi na więcej. – Zajrzał w jej jasne niebieskie oczy i dostrzegł w nich ten sam żar, który odczuwał.

Tego wieczoru z roztargnieniem słuchała wystąpień poetów. Nie potrafiła się skupić, bo wciąż wracała myślami do tamtej sceny w parku, gdy oparta o pień lipy chłonęła jego wargi, słuchała miłosnych zaklęć i marzyła o tym, co by było, gdyby móc cofnąć czas i gdyby nie była

dziś żoną księcia Hipolita Teofila Reszki. Przyglądała się wesołemu towarzystwu, piła zdrowie gości i swoje własne. Śmiała się z frywolnych strof i opowieści, słuchała pięknej melodii granej przez utalentowanego młodego pianistę, ale najbardziej wsłuchiwała się w melodię swojego serca, które wspominało gorące usta i namiętne pocałunki Brunona Dzikowskiego. W głowie jej szumiało od czerwonego wina i marzeń o miłości.

Gdy w końcu rozbawione towarzystwo udało się na spoczynek, z rozkoszą zanurzyła się w wannie. Ciepła woda otuliła jej ciało, a ona wspominała każde słowo Brunona, każdy gest, komplement i gorąc jego warg. Wyszła z kąpieli i owinęła się w miękką bawełnę. Usiadła przed lustrem, a Marta rozczesała jej długie jasne jak pszenica włosy. W milczącym zamyśleniu nie zwróciła uwagi, że się uśmiecha. Było jej błogo, dobrze, ciepło i przytulnie.

– Pani Saro, zmieniała się pani, odkąd pan Hipolit wyjechał. Nawet teraz oczy i usta się pani śmieją. Aż miło na panią patrzeć.

– Bo jest dobrze, Marto. Zobacz, ogień płonie w kominku, świece rzucają tajemnicze cienie na ścianie, jest pięknie.

– Może i tak. Choć na świecie wcale nie jest pięknie. O, rozpadało się. Zimno, aż strach nos wyściubić. – Służąca się wzdrygnęła.

– Na dworze zimno, ale tu ciepło. A deszcz... to dzwonienie o szyby tylko dodaje uroku i przytulności, kiedy iskierki trzaskają w kominku. – Uśmiechnęła się szerzej.

– No, właśnie o tym mówię. Zmieniła się pani. Na lepsze. Teraz jest pani taka sama jak w Bielawie za swoich panięńskich lat. Wtedy też się pani uśmiechała i wciąż po kryjomu pisała.

– Marto, tylko tobie się z czegoś zwierzę. – Sara, siedząc przed toaletką, popatrzyła w lustro, a jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Marty. – Wróciłam do pisania. Znow pisać powieść, ale tym razem jest inna. Prawdziwa. Dojrzała. Wtedy nie miałam pojęcia o życiu, o miłości... – Umilkła, bo bała się, że za dużo opowie.

– E... to o pisanie się rozchodzi? – W głosie Marty wybrzmiał tak wielki zawód, że księżna się zaśmiała.

– Oczywiście, że o pisanie. Nie cieszysz się, że znow pisać powieść? – W oczach księżnej zatliły się figlarne iskierki.

– Toż wiem o tym. To żadna tajemnica. Codziennie rano szoruję kropelki atramentu z biurka, a i zdarza się, że na nocną koszulę księżnej atrament kapnie i nie ma go jak doczyścić. No więc co mam nie wiedzieć. Od razu się domyśliłam.

– Mówiłam ci już, że ta powieść jest inna. Wierzę, że tym razem uda mi się zobaczyć swoje nazwisko na oprawie książki.

– Życzę tego pani z całego serca. – Marta westchnęła, trochę jakby bez wiary. Życzyła swojej pani dobrej nocy i wyszła.

Drewno w kominku zaskwierczało przyjemnie, deszcz uderzał w szyby, płomyki świec na kandelabrach sprzyjały marzeniom. Sara zdjęła peniuar i w samej koronkowej koszuli podeszła do kominka i zapatrzyła się w tańczące iskierki. Gdy usłyszała pukanie, zamarła, bo w pierwszej chwili pomyślała, że to małżonek przyszedł, by zabrać ją do swojej sypialni. Po chwili refleksji wypuściła wstrzymywane powietrze. Hipolit pojechał w głąb Rosji i z pewno-

ścią szybko nie wróci. Pukanie się powtórzyło. Było nieśmiałe, jakby ktoś zastanawiał się, czy wypada mu zawracać głowę księżnej.

– Proszę – zawołała stłumionym głosem, bo serce wyczyniało nieznaną dotąd harce, a gdy w drzwiach stanął Bruno, znów poczuła tę słabość, jaką ogarnęła ją w parku. Zadrżała, fala gorąca uderzyła jej do głowy, poczuła żar w dole brzucha i już nie potrafiła okiełznać emocji.

Podszedł do niej i bez słowa chwycił w ramiona. Zatopił usta w jej ustach, aż nie mogła złapać tchu. Całował ją zachłannie, żarliwie, jakby od tych pocałunków zależało jego dalsze życie. Jednym energicznym ruchem rozerwał koronkową koszulę i odsunął Sarę na długość swoich ramion. Rozłożył jej ręce i schylił się, by dotknąć językiem jej piersi. Jęknęła i odchyliła głowę. Nigdy nie czuła czegoś podobnego. Palił ją wewnętrzny ogień. Ogarnęła ją żądza miłości. Później, gdy zarumieniona pieściła w myślach wspomnienia tej nocy, nie potrafiła sobie przypomnieć, czy to on poprowadził ją do łóżka, czy wręcz przeciwnie, to ona pociągnęła jego. Ich ciała się szukały, ich dusze się szukały, ich serca się szukały i w końcu znalazły spełnienie. Kochali się tej nocy wiele razy, wciąż odkrywając na nowo swoje ciała, zachłanni na tę szaloną namiętność, która nie powinna się wydarzyć. Wyczerpani, oczarowani sobą, leżeli wtuleni jedno w drugie, zakochani i oddani sobie, jakby cała reszta świata się dla nich nie liczyła.

Przez ułamek sekundy targnęły nią wyrzuty sumienia i pomyślała, że uczynili wielki grzech. Zaraz jednak dusza się w niej zbuntowała. Jaki grzech? Czy nie jest grzechem wydać za mąż młodą dziewczynę, która nigdy nie zaznała miłości? Pozbawiać ją tego uczucia szczęścia, sprzedać na łaskę i niełaskę bogatego tyrana? Kiedy Hipolit ją bił, poniżał, brał siłą, to wtedy grzechu nie było? Cóż może być grzesznego w czystym pięknie miłości? Gdy dwoje ludzi się miłuje tym wspaniałym, jedynym i niepowtarzalnym uczuciem. Czuła, że jest w stanie znienawidzić każdego, kto jej zechce tę miłość odebrać. Za mężczyznę, który leżał u jej boku, mogłaby oddać życie. Pierwszy raz w życiu kochała. Szaleńczo. Nagle się przestraszyła, czy Bruno nie kocha jej mniej. Czy jego uczucie do niej jest tak samo silne? Chyba by umarła, gdyby tak nie było. Tak, na pewno by tego nie zniosła. Nagle usłyszała słowa wyszeptane tuż do jej ucha:

– Saro, kocham cię. Nie jestem w stanie bez ciebie oddychać. Uwielbiam cię, pragnę całować ziemię, po której stąpasz. Jesteś moją jedyną miłością aż do śmierci. Nigdy nie przestanę cię kochać.

Znów się kochali, szczęśliwi, zakochani, młodzi i upojeni życiem. Ogień w kominku wygasł, a noc ustąpiła szarości dnia. Nie obchodził ich budzący się świt, ważne było tylko to, że są dla siebie stworzeni. Bruno muskał dłonią aksamitne, jędrne ciało Sary, a ona brała jego dłoń i przyciskała do ust. Ze szczęścia popłynęły jej łzy, jemu również zwilgotniały oczy. Potem śmieli się z tych łez i znów całowali. Poprzysięgli sobie, że choćby nie wiadomo jak i gdzie rzucił ich los, ich miłość przetrwa największe zawieruchy.



Złote liście opadły z drzew, szarą, spękaną ziemię otulił puszysty śnieg, więc pod tą białą kołderką odpoczywała po urodzajnym roku. Zima rozpostarła swój majestat, a wraz z nią

przyszły porywiste wiatry i siarczyste mrozy, ale w sercu Sary kwitła wiosna. Kochała i była kochana. Cieszyło ją wszystko. Na jej twarzy, z której nie schodził uśmiech, malowało się szczęście. Dom w Karczewie ożył. Sara i Bruno ukrywali się ze swoją miłością, a tajemnica tylko podsycała temperaturę ich uczuć. Każda chwila bez ukochanego wydawała się Sarze stracona. W chwilach najgłębszego smutku w długim tygodniu, który włókł jej się od piątku do piątku, ratowała ją pasja pisania, gdyby nie to, oszalałaby z tęsknoty. To dla Brunona wznośli się na wyżyny intelektu twórczego. Przesyłała mu przez posłańca listy z kolejnym fragmentem powieści oraz z zapewnieniami o nieustającej miłości. Nigdy nie czekała długo na odpowiedź, bo ta przychodziła niemal natychmiast. Dzikowski był zachwycony jej talentem, jej kunsztem literackim, dojrzałością i umiejętnością przekazywania emocji. Podziwiał, zachwalając każde zdanie, każde słowo, i zaopatrywał recenzję w miłosne wyznania. Listy między Karczewem a Warszawą krążyły bez ustanku, tydzień wydawał się młodym zakochanym zbyt długi, by pozostać bez kontaktu.

Na zbliżający się piątkowy wieczór Sara ubrała się staranniej niż zwykle. Nałożyła strojną sukienkę w kolorze dojrzałych wiśni, z przodu przyozdobioną białym koronkowym żabotem i z białymi koronkami przy mankietach. Czarny szeroki pas podkreślał jej wąską talię i dodawał elegancji. Jasne włosy upięte w misterny kok przyozdobiła różami. Do niedawna zaproszeni goście doceniali serdeczność, takt i dyplomację księżnej Sary Leokadii Reszko, ale tego wieczoru nie było osoby, której nie olśniłaby jej uroda. Sara błyszczała szczęściem, pięknem i miłością.

Tym razem poprosiła ukochanego, by czekał na nią w salonie razem z innymi, pragnęła olśnić go swoim wyglądem – i udało jej się to. Zajmując rozmową innych gości, co rusz rzucała Dzikowskiemu kokieterijne spojrzenie, uwodziła go, dokazywała. On również bawił się z nią w tę grę. Uśmiechał się, rozmawiał, udawał, że flirtuje z innymi kobietami, by wzbudzić w niej odrobinę zazdrości i jeszcze większe pożądanie. Igrali ze sobą, nie mogąc się doczekać słodkiego sam na sam. Również o północy Sara pożegnała gości, życząc im miłej zabawy, i poszukała wzrokiem Brunona. Ten natychmiast odgadł dany sobie znak, odczekał stosowny czas, by nie wzbudzać niechcianych podejrzeń, i udał się do sypialni ukochanej.

– Moja kochana, jedyna, nie mogłam doczekać się, kiedy wezmę cię w ramiona. Pragnę czuć zapach twoich perfum, dotykać twą aksamitną skórę i tulić cię bez końca. – Całował jej dłonie, nadgarstki, usta, ale kiedy chciał ją rozebrać, zaprotestowała.

– To dla mnie szczególny wieczór, wielka chwila. Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. – Odsunęła go na długość wyciągniętych ramion i radośnie spojrzała w oczy. Przyglądała jej się w napięciu, nieco pobladły. Dłonie mu drżały, a w gardle poczuł suchość. – Skończyłam moją powieść – wyjawiała po chwili, a z niego zeszło napięcie. Obawa, że być może ich szalone uniesienia zaowocowały niepożądaną ciążą, przeraziła go. Bał się wyobrazić sobie, jak na takie wieści zareagowałby książę Hipolit Teofil Reszko. Więc teraz, gdy emocje opadły, Bruno usiadł na łóżku i otarł z czoła krople potu. Zaczerpnął tchu, a po chwili uśmiechnął się z ulgą.

– Gratuluję, Saro. Spełniłaś swoje marzenie.

– Bruno, posmutniałeś – zauważyła przejęta, ale zaraz się uśmiechnęła i przysiadła obok niego. – Kochany, martwisz się pewnie, że ty nie napisałeś swojej powieści, a mieliśmy pisać

razem. Wzajemnie się wspierać i dopingować. Nie martw się, teraz skupimy się na tobie. Ja będę cię wspierała. Swoją oddam wydawcy i z całą miłością zajmiemy się tobą. A teraz usiądź wygodnie, a ja przeczytam ci ostatni fragment. Jestem taka szczęśliwa. Nawet nie wiesz jak bardzo – szczebiotała podekscytowana. A gdy Bruno zajął miejsce przy kominku, ona przycupnęła u jego stóp z rękopisem w dłoni i przeczytała kilka ostatnich stron.

– Nie wiem, kochanie, czy będę w stanie ci dorównać – wyznał szczerze. Jej powieść była dojrzała, prawdziwa i emocjonująca. Opowiadała o zakazanym uczuciu między dwojgiem młodych ludzi, o wykradanych chwilach szczęścia, o namiętności i o samotności.

– Potrafisz. Twoje wiersze są cudowne, ciepłe, na pewno i powieść taka będzie. – Odłożyła rękopis na biurko i podbiegła do ukochanego. On w tym czasie otworzył szampana i napełnił kieliszki.

– Za twój sukces, Saro.

– Za twój sukces, Bruno – odpowiedziała, nim przechyliła kieliszek.

Potem zapomnieli o powieści i o sławie, wszystko to stało się mało istotne, gdy znów poczuli ciepło swoich ciał i bliskość dusz. Szeptali sobie miłosne zaklęcia, splatali ciała, by być bliżej i bliżej, aż do zatracenia się w sobie. Świece się dopalały, a w kominku pozostał zaledwie żar, gdy w końcu ukołysani czułością zasnęli.

Pierwsze promienie lutowego słońca zakradły się przez muślinowe kunsztownie upięte firany, gdy Sarę wybudziło coś ze snu. Spojrzała na śpiącego kochanka i uśmiechnęła się do niego czule. Pogładziła opuszkami palców ciemne falowane włosy, ale po chwili ręka jej zadrzęła, bo z korytarzyka łączącego jej i męża sypialnię doleciał do niej kobiecy głos. Zesztywniała, strwożona, bo natychmiast rozpoznała, do kogo należy. Tak, nie myliła się, ten wstrętny piszczący alt należał do kochanki jej męża. A skoro ona tu jest, to znaczy, że Hipolit wrócił z Rosji. Ogarnęły ją rozpacz i strach. Przez te miesiące ani razu nie pomyślała o mężu, a ostatnio w ogóle zapomniała, że jest mężatką. Teraz z całą rozpaczą uświadomiła sobie, że czeka ją straszna samotność. Już nigdy nie przytuli się do Brunona, a kto wie, czy się jeszcze kiedyś spotkają.

– Bruno, Bruno, obudź się, kochany. – Musnęła delikatnie dłonią po męskim policzku, a potem pochyliła się i ostrożnie pocałowała go w usta. Otworzył oczy, posłał jej zaspany uśmiech i przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego gwałtownie, objęła go ramionami i przylgnęła całym ciałem. Potem odsunęła się i usiadła na łóżku. – Hipolit wrócił – rzuciła beznamiętnym głosem.

Spojrzał na nią zszokowany, ale nie zrobił żadnego ruchu, jakby ta wiadomość jeszcze do niego nie dotarła. Wpatrywał się, mrugając z niedowierzaniem.

– Twój mąż wrócił? – upewnił się w końcu, a kiedy skinęła głową bez słowa, zerwał się, w popłochu, wciągając na siebie poszczególne części garderoby. – Saro, tak spokojnie o tym mówisz? Przecież zaraz możemy mieć potworne kłopoty – rzucił z wyrzutem.

– Nie przyjdzie tutaj, jest z kochanką – starała uspokoić jego i siebie. Nie miała pewności, czy jej małżonek nie wpadnie nagle do jej sypialni, ale było jej wszystko jedno. – Bruno, obejmij mnie – poprosiła. – Boję się, że już nigdy więcej nie będzie nam dane być blisko.

Gotowy do wyjścia, spanikowany, popatrzył na nią w roztargnieniu, ale widząc jej nie-szczęśliwy zgaszony wzrok, podszedł, objął ją i chwilę kołysał w ramionach.

– Kochanie, znajdziemy sposób, żeby być razem, nie martw się. Nie chcę cię jednak narażać na niebezpieczeństwo. O mściwości twojego męża krążą legendy. Lepiej być bardzo ostrożnym. – Uchylił drzwi, rozejrzał się ostrożnie, a nie zobaczywszy nikogo, wymknął się do przeznaczonej dla niego sypialni.

Sara westchnęła. Podeszła do okna i nie odsłaniając firan, popatrzyła przed siebie. Resztki śniegu zalegały w rowach i w zagłębieniach ziemi. Uważała, że zima jest jej sprzymierzeńcem. Była przekonana, że Hipolit wróci dopiero wiosną. Westchnęła, odwróciła się od okna i spojrzała na rękopis. Jeszcze kilka godzin temu jej serce wypełniała radość, a duszę miłość. Teraz nagle świat zszarzał, zbrzydł i stracił swój urok. Po raz kolejny spojrzała na rękopis. Usiadła przy biurku i przeglądała kartkę po kartce, czytając fragmenty powieści. Prześlizgiwała wzrok po opisach namiętności, miłości, szczęścia, rozpaczy i pomyślała, że oddała bohaterom własne przeżycia. Każdy czytany fragment był intrygujący i wciągający. Nie martwiła się, czy znajdzie wydawcę. Była tego pewna.

Zeszła na śniadanie przed czasem. Policzki jej płonęły, a w duszy przyciłał się lęk. Starła się zachowywać i mówić swobodnie, ale głos jej drżał. Bruno siedział przy stole ze zwieszonymi ramionami, wyraźnie przygnębiony. Przechodząc obok niego, delikatnie musnęła dłonią jego ramię. Drgnął, a potem uniósł wzrok i kąciki ust poruszyły mu się w smutnym uśmiechu. On też rozumiał, że ich miłość zostanie narażona na trudy, a kto wie, może nawet i na przeszkody nie do pokonania. Sara nagle uświadomiła sobie, że jej życie jest nic niewarte bez dotyku Brunona, bez jego czułych słów, bez sekretnych liścików i bez fizycznej bliskości.

Gdy na śniadanie zszedł Hipolit, goście przywitali go serdecznie, ale atmosfera się usztywniła. Towarzystwo zazwyczaj rozjeżdżało się późnym popołudniem, dziś jednak niemal każdy, wykręcając się nagłą pilną sprawą, zegnał się, ledwo wypiwszy kawę, i w pośpiechu opuszczał Karczew. Bruno również kazał zaprzęgać konie. Pożegnał się najpierw z Hipolitem, a potem z księżną. Ich pożegnanie bardzo oficjalne, niemal oschłe, przybiło Sarę. Kątem oka dostrzegła, że Hipolit udaje się do swojego gabinetu, więc zbiegła po schodach i w holu dogoniła młodego literata.

– Panie Dzikowski, zechce pan na następne spotkanie przywieźć mi zbiór ulubionych wierszy – powiedziała głośno, by nikt nie miał wątpliwości, że łączą ją z tym mężczyzną jedynie wspólne zainteresowania. – Natomiast ściszym głosem poprosiła: – Bruno, kochany, serce mi pęka. Przyrzeknij kochać mnie, myśleć o mnie i... pisać do mnie. Ja nie potrafię bez ciebie żyć.

– Saro, bądźmy ostrożni – upomniał ją również szeptem, starając się opanować zniecierpliwienie wywołane paniką. – Kocham cię i nigdy nie przestanę. Ale ja ci niczego nie mogę dać. Jestem tylko nauczycielem i marnym literatem, a twój mąż... ma wpływ. – Westchnął i rozłożył ręce. – Nic ci nie mogę ofiarować, kochanie, a ty jesteś otoczona luksusem.

– Nie potrzebuję luksusu. Nie chciałam go. Chcę tylko, byś mnie kochał – wyszeptala przez łzy.

– Kocham cię. Jesteś moja pierwszą i jedyną miłością. – Pochylił się nad jej dłonią i dłużej niż wypadało przytrzymał w pocałunku. – Saro, napiszę do ciebie, ale teraz muszę jechać – szepnął, a potem odwrócił się i wskoczył do powozu.

Patrzyła za nim, niezdolna zrobić kroku. Jej dumne wychowanie, które nie pozwalało publicznie pokazywać emocji, na nic się zdało. Teraz łzy toczyły się po jej policzkach, a serce pękało z żalu za czymś bezpowrotnie utraconym. Odwróciła się od drzwi, całą siłą woli powstrzymując łkanie. Nie podnosząc głowy, wbiegła po schodach. Na samym ich szczycie stał Hipolit i przyglądał się żonie spod lekko zmrużonych powiek. Ściągnięte ku sobie brwi i nieprzyjemny grymas na twarzy nie wróżyły niczego dobrego. Sara chciała go minąć, ale chwycił ją mocno za ramię.

– Nie mogłaś rozstać się z kochasiem? – zakpił.

– I kto to pyta? – zadrwiła, chcąc uwolnić rękę, ale trzymał ją bardzo mocno.

– Mam prawo pytać, jestem twoim mężem, gdybyś zapomniała – odburknął.

– Mężem, który z pomocy kuchennej zrobił swoją nałożnicę i obwozi ją po świecie – rzuciła z pogardą. Nie spodziewała się uderzenia, więc siarczysty policzek, jaki otrzymała, sprawił jej dotkliwy ból. Dotknęła ręką twarzy, a on puścił jej ramię i uderzył ją w drugi policzek. Uciekła bez słowa, chowając twarz w dłoniach.

– I tak się dowiem, czy przystawiałaś mi rogi. Jeśli mnie zdradzałaś, to marny wasz los. I twój, i jego – krzyknął za nią.

Dopadła do swojej sypialni i rzuciła się na łóżko. Rozpląkała się z upokorzenia i bólu. Marzyła, żeby Bruno wyrwał ją z tego domu, zabrał gdzieś, gdzie będą tylko we dwoje połączeni na zawsze. Płakała i płakała, skulona na łóżku. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Nie obchodziło ją, czy mąż ma świadomość jej romansu, czy tylko podejrzewa. Było jej to obojętne. W tej chwili potrafiła przejmować się tylko tym, że być może już nigdy nie ujrzy orzechowych oczu Brunona, nie poczuje na swoich ustach dotyku jego twardych warg, a w sobie jego męskości.

Nie usłyszała skrzypnięcia drzwi ani kojącego głosu służącej, więc Marta przysiadła nieśmiało na łóżku i swoją młodą, ale bardzo spracowaną dłonią pogłaskała panią po ramieniu.

– Pani Saro, nie wolno tak rozpaczać, bo jeszcze pani zachoruje. Żadna miłość nie jest warta takiej rozpacz. No już, proszę otrzeć łzy. Bardzo panią proszę. Cicho, cichutko – przemawiała jak do małej skrzywdzonej dziewczynki. Jednak Sara nie dała się ugłaskać. Jej bezbrzeżna rozpacz nie znajdowała ujścia. Marta przychodziła jeszcze kilka razy, ale wychodziła niepokieszona, bo jej pani była nieszczęśliwa.

Księżna Reszko leżała na łóżku aż do nocy. Wypłakała wszystkie łzy, ale rozpacz nie przeszła. Straciła apetyt, zgasła w niej chęć życia. Z korytarzyka łączącego sypialnię jej i męża dobiegł kobiecy chichot i tubalny głos Hipolita. Rzucił głośno lubieżne sprośności i rechotał chrapliwie, a potem wszystko ucichło. Sarze zabrakło tchu, łapała szybko powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg. Podbiegła do drzwi tarasowych i otworzyła je na oścież. Owiało ją zimne powietrze, ale oddechu nadal nie mogła złapać. Tak jak stała, wybiegła na taras, a po chwili zbiegła schodami do parku. Szła przed siebie, nie bacząc na zimno. Sama nie wiedziała, po co i dokąd idzie. Aż nie starczyło jej tchu i upadła na żwirowej alei, nieprzytomna z rozpacz.

Drobinki lodowatego piachu wbijały jej się w twarz, wpadały do oczu, a bosa stopy zsiniały. Przestała odczuwać zimno, zapadała się w nicość...

Gdy się ocknęła, usłyszała głos Marty.

– Pani Saro, miała pani dużo szczęścia, że stajenny jeszcze oporządzał konie i późno ze stajni wyszedł. Inaczej niechybnie by pani zamarzyła na śmierć – biadoliła służąca. – Jak tak można wyjść bez pantofli i okrycia, w samej tylko cienkiej koszulce. – Kręciła głową, czuwając przy łóżku swojej pani.

– Wody... – poprosiła Sara, ledwo poruszając ustami. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Pokój wirował, w głowie pulsował przeraźliwy ból i miała wrażenie, że na jej piersiach leży wielki głaz. – Bruno... Bruno... gdzie jesteś?

– O matko! Toż panienka Sara ma gorączkę. – Marta zerwała się przerażona, nawet nie zauważyła, że zwróciła się niewłaściwie do księżnej. – Trzeba szybko po doktora.

– Pić... wody... – jęknęła księżna bezgłośnie, ale Marta już tego nie słyszała. Biegła korytarzem w poszukiwaniu księcia, musiała go powiadomić, żeby jak najszybciej sprowadził medyka.

Hipolit, ku zgorszeniu swojej kochanki, kazał sprowadzić najlepszego medyka z okolicy. Kuchta, która awansowała do roli asystentki księcia, w chorobie jego żony upatrywała awansu. Więc teraz, gdy Reszko sprowadził do Karczewa renomowanego lekarza, nie posiadała się z oburzenia. Nie odważyła się jednak swojej wściekłości okazać kochankowi. Znała go bardzo dobrze, dużo lepiej niż jego własna żona, wiedziała, że pewnych rzeczy nie wybacza, że potrafi unieść się gniewem, a i ręki do bicia nie szczędzi. Ona jednak potrafiła nim odpowiednio pokierować, by te razy, które od niego obrywała w chwilach gniewu, zdarzały się jak najrzadziej.

– Zapalenie płuc i to poważne – ocenił sprowadzony medyk. Upuścił krew, postawił bańki i kazał się modlić do Najświętszej Pani. Obiecał przyjść następnego dnia, a w tym czasie polecił zapewnić chorej opiekę i w dzień, i w nocy.

Gorączka trawiła Sarę przez cały tydzień. Marta nie odstępowała księżnej na krok, a kiedy nie mogła być z ukochaną panią, zastępowała ją któraś z dwóch pomocnic. Jednak te momenty zdarzały się rzadko, Marta bowiem nie chciała opuszczać sypialni swojej pani nawet na chwilę. Sara w kółko wymawiała jedno imię. Cichutko, niemal bezgłośnie ze spieczonych gorączką ust szeptała: Bruno i Marta bała się, że te majaki dotrą do nieodpowiednich uszu.

To były bardzo trudne dni. Przyjechali z Bielawy rodzice Sary, a także ciotka Adelajda. Nawet Marianna porzuciła swoją samotnię i ściągnęła do Karczewa. Zachowała jeszcze w sobie żal, ale teraz – w obliczu ciężkiej choroby, a kto wie, może i rychłej śmierci kuzynki – porzuciła pretensje i opiekowała się Sarą jak siostrą.

Po drugim tygodniu niebezpieczeństwo minęło. Gorączka również ustąpiła, ale Sara była krucha i blada jak śmierć. Nie chciała jeść, nie chciała z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Już nie płakała, tylko leżała z zamkniętymi oczami, bo nie znajdowała sensu życia. Klementyna i Ambroży naciskali zięcia, żeby sprowadził innego lekarza. Bali się, że gorączka owszem minęła, ale bezpośrednie zagrożenie życia nadal się utrzymuje, skoro dziewczyna nie przyjmuje pokarmów, a nawet i pić za bardzo nie chce.

Pod koniec następnego tygodnia przyjechał lekarz z samej Warszawy. Zbadał chorą, a potem z uśmiechem zszedł do salonu, w którym zebrała się rodzina.

– No cóż, bezpośrednio zagrożenie życia na szczęście minęło, choć nadal trzeba bardzo uważać na chorą. To silne zapalenie płuc, a poza tym chorą ogarnęła apatia. Ale to przejdzie. Zawsze przechodzi. Wystarczy tylko poczekać kilka miesięcy. – Zaśmiał się porozumiewawczo, ale nikt się nawet nie uśmiechnął.

– Ile miesięcy trzeba czekać, żeby jej się poprawiło? – Hipolit patrzył bykiem na medyka, zastanawiając się, czy lekarz jest przy pełnych zmysłach. Jego żona leży i leżeć będzie jeszcze kilka miesięcy, a ten się uśmiecha, jakby mu najlepszą wiadomością serwował.

– Zazwyczaj dziewięć – doktor się roześmiał – ale w księżnej przypadku to chyba tylko sześć.

– Słucham? – Hipolit dalej nie rozumiał.

Klementyna zatrzymała rękę z filizanką w połowie drogi do ust, Adelajda otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy, Mariannie uniosły się kąciki ust w leciutkim uczuciu satysfakcji, Ambroży pobladł i poprzysiągł sobie, że zabierze stąd córkę, jeśli tylko Hipolit tego zażąda. Wiadomo przecież było, że to dziecko nie może być księcia, bo zwyczajnie bawił w chwili poczęcia w Moskwie lub w Petersburgu. Wszyscy czekali na choćby jedno słowo Reszki. Ten jednak albo udawał, albo naprawdę nie rozumiał, co lekarz ma mu do przekazania.

– Szanowny księżę, pragnę jako pierwszy panu pogratulować. – Medyk przełożył torbę lekarską w lewą rękę, a prawą wyciągnął do Hipolita. – Zostanie pan ojcem. Pańska żona jest przy nadziei i jeśli mnie moje doświadczenie lekarskie nie zwodzi, to jest dokładnie w trzecim miesiącu.

– Co takiego? – wykrzyknął wreszcie Reszko. – Przecież to niemożliwe!

– A jednak, proszę szanownego pana, będzie pan ojcem – powiedział lekarz już całkiem poważnie.

Hipolit Teofil Reszko poczerwieniał na twarzy, pot wystąpił mu na czoło, a zęby same zaciśnęły się z wściekłości. Wielokrotnie oskarżał Sarę, że jest bezpłodna, tak samo pierwszą żonę, a tu nagle ten konował mu oświadcza, że Sara jest w błogosławnym stanie. Nie ze mną. Na pewno nie ze mną – powiedział do siebie w duchu. Potem jednak przyszło otrzeźwienie. Nie, nie dam sobie przystawić rogów, o nie! Nie będą się śmiać za moimi plecami, że żona zdradzała mnie z kochasiem. O, na pewno nie! Tajemnice niech zostaną w domu. Ludziom nic do tego. A potem odwrócił się do struchlałej rodziny, która czekała na jego słowa jak na objawienie.

– No, kochani, gratulujcie mi. Będę miał dziedzica. Wierzę, że to będzie syn. Chociaż jak córka, to też dobrze. Człowiek już nie aż taki młody, ale jeszcze zdolny, oj, zdolny do tego i tamtego. – Roześmiał się rubasznie.

– Gratuluję, Hipolicie! – Pierwszy z gratulacjami podbiegł Ambroży. – Nareszcie doczekamy się wnuka. – Uśmiechnął się z ulgą, a zięć za ten uśmiech miał ochotę teścia udusić. Każdy z nich grał teatryk, a Reszko wiedział, że oni wszyscy są świadomi tego, iż to nie on jest ojcem dziecka.

Ale ten, kto nim jest, słono za to zapłaci. I ona również – pomyślał mściwie, po czym przywdział na usta szeroki jowialny uśmiech i jął przyjmować gratulacje od bliższej i dalszej rodziny, a także od służby. Skoro Sara była tak naiwna, że zdradzała mnie w moim domu, za moimi plecami, zapewne z tym pożał się Boże literatem, to niech się szykuje, zemsta będzie naprawdę słodka. A ten jej bachor nigdy ode mnie nie otrzyma nic, nawet jednego dobrego słowa.



W karczewskim dworze nastały trudne dni. Służba przemykała bezszelestnie po długich obszernych korytarzach, schodząc z drogi swojemu panu. Jego chmurne spojrzenie i wściekłe pokrzykiwania przejmowały grozą. Nawet Helga nie była w stanie ułaskawić kochanką, w dodatku rozczarowanie nim odebrało jej chęć na amory. Potajemnie liczyła na zwiększenie swoich wpływów, a kto wie, może i na ożenek. Wprawdzie rozwodów prawo nie przewidywało, ale zdarzało się, że arystokraci przechodzili na protestantyzm czy inne wyznanie, by odesłać pierwszą żonę do wszystkich diabłów i wziąć sobie następną. Jednak gdy Hipolit Reszko uznał nie swoje dziecko i zakazał rozmawiać komukolwiek na ten temat, a żonę zamknął w domowym areszcie, Helga straciła wszelką nadzieję na umocnienie swojego związku z księciem. Zrozumiała, że ta niewierna żona, która go nie kochała, nie szanowała, a wręcz nim pogardzała, na zawsze pozostanie żoną, a ona tylko jego nałożnicą. I przez to jakaś część miłości Helgi do księcia się wypaliła.

Piątkowe wieczory odeszły do przeszłości, pozostały po nich tylko piękne wspomnienia. Sara cierpiała. Wprawdzie zapalenie płuc minęło, a ciąża rozwijała się prawidłowo, ale księżna popadła w głęboką melancholię. Płakała, cierpiała, a swoją samotność odczuwała po stokroć, ponieważ nie wolno jej było wychodzić nawet do parku. Taki stan miał trwać jeszcze dziewięć miesięcy, czyli trzy miesiące po porodzie. Reszko bezwzględnie egzekwował swoje zarządzenie, zależało mu na tym, żeby nikt nie śmiał nawet podejrzewać, że dziecko może być z nieprawego łoża. Zakazał mówić o błogosławionym stanie żony. Ta tajemnica, jak i wiele innych, miała pozostać w domu.

Rodzice Sary, a także ciotka Adelajda, zabawili w Karczewie dość długo, ale z początkiem kwietnia wszyscy oprócz Marianny rozjechali się do swoich domów. Marianna postanowiła zostać i wspierać kuzynkę. Nie nosiła już w pamięci żalu, że przez nią rozpadł się jej związek z Nikodemem, choć maleńkie ziarenko goryczy pozostało na dnie jej duszy. Księżna Reszko tolerowała towarzystwo tylko Marty lub Marianny. Okrutnie tęskniła za Brunonem. Przesyłała mu przez Martę tajne liściki i z utęsknieniem czekała na kilka słów skreślonych jego ręką. Powinna palić jego miłosne wyznania tuż po przeczytaniu, ale nie była w stanie tego zrobić. Całowała każde słowo, czytała listy po kilkadziesiąt razy. Znała je na pamięć, wdychała zapach papieru, chcąc wyczuć choć leciutką woń zapachu kochanki. Najchętniej wkładałaby korespondencję pod poduszkę, ale z obawy przed mężem tyranem chowała ją głęboko, na sam spód bieliźniarki. Te listy były jej drogocennym skarbem i jedyną pociechą w trudnych chwilach, namiastką czułości i miłości. Nie napisała Brunonowi o dziecku. W pierwszym odruchu

pragnęła od razu przekazać mu tę wspaniałą wiadomość, ale potem przyszło zastanowienie. Co on zrobi z tą wiedzą? Honor nakazywałby mu walczyć o nią, pojedynkować się z Hipolitem i tym samym wystawić się na zemstę. Zanim wysłała napisany list, przyszło otrzeźwienie. Nie, nie robi tego. Nie postawi go w żalosnej dla mężczyzny sytuacji. Nie narazi go być może na śmierć, a na pewno na nieuniknione przykrości i dyshonor. Bo jakże ma czuć się mężczyzna, który nie może bronić czci swojej ukochanej? – tłumaczyła sobie.

Gdy lekarz oznajmił jej, że jest brzemienna, przeraziła się reakcji Hipolita. Kiedy jednak mąż przyjął wieść o dziecku ze stoickim spokojem, odetchnęła z ulgą, niemniej jednak nie uwierzyła w jego wspaniałomyślność. Wiele razy on i jego rodzina oskarżali ją o bezpłodność. Jego zmarłą żonę również. Być może bał się ujawnienia swojej niepłodności, która byłaby dla niego ujmą, utratą męskości w oczach publiki i swojej własnej. Wolał grać teatr, choć Sara nie miała złudzeń co do tego, że dla niej i dla jej dzieciątka pozostanie tyranem. Porzuciła te rozmyślenia. Jedyną radością i ulgą było dla niej pocieszenie, że nosi w sobie cząsteczkę Brunona. Wyobrażała sobie małego chłopca z ciemnymi włoskami i orzechowymi oczami, kopię swojego taty. Głaskała brzuch, choć nie było na nim najmniejszej bodaj wypukłości. Myśl, że zakiełkowało w niej nowe życie, maleńka istotka, owoc jej największej miłości, dodała jej sił i sprawiła, że znów chciało jej się żyć. Teraz miała dla kogo. Nie przeszkadzał jej ani areszt domowy, ani pogardliwa ignorancja ze strony męża. W każdej wolnej chwili szyła kaftaniki, spodenki, czapeczki, by za kilka miesięcy mieć całą wyprawkę dla niemowlęcia. Sara marzyła o jeszcze jednej rzeczy. Pragnęła ujrzeć własną książkę. Dotknąć, przekartkować, zachwycić się zapachem świeżej farby drukarskiej, usłyszeć słowa pochwały od oddanych czytelników. Gdyby to się spełniło, byłaby szczęśliwsza.

– Marianno, mam do ciebie ogromną prośbę – zwróciła się któregoś dnia do kuzynki. – Jest coś, co przyniosłoby mi pocieszenie w tych trudnych chwilach...

– Oczywiście, co tylko zechcesz, wszak nie odmawia się kobiecie w stanie błogosławnym. Co to za prośba, Saro?

Marianna przysiadła obok kominka i patrzyła, jak Sara rozczesuje swoje jasne, długie do pasa włosy. Musiała w duchu przyznać, że ciąża służyła kuzynce. Sara stała się piękną kobietą, o szlachetnych rysach i nietuzinkowej urodzie. A może wpływ na to miało cierpienie? – zastanawiała się, mrużąc oczy.

– Otóż bardzo pragnęłabym, byś wybrała się w moim imieniu do Warszawy. Spokojnie, nie rób takiej przerażonej miny. Pojedziesz do tego wydawnictwa, w którym kiedyś razem byliśmy, i przekażesz im mój rękopis. Jestem pewna, że tę powieść mi wydadzą. Pojedziesz?

– Saro, a co twój mąż na to powie?

– On nie musi o tym wiedzieć. Przecież ty możesz przemieszczać się swobodnie. Wystarczy, że wręczysz im mój list i powieść. Nie zignorują cię, choćby z uwagi na mój tytuł i konsekwencje. Bardzo mi na tym zależy. – Popatrzyła Podolskiej w oczy. – Łatwiej byłoby mi przeżyć moją samotnię, gdybym mogła mieć nadzieję, że moja powieść posłuży pokrzepieniu serc takim kobietom jak ty czy ja.

– Spróbuję. – Marianna zdawała się nieprzekonana, ale wzięła skórzaną aktówkę, do której Sara włożyła związany sznurkiem stos równo zapisanych, poukładanych kartek i list do

wydawcy. Wiedziała, że to zadanie ryzykowne. Bała się Hipolita. Już raz doświadczyła długich macek jego zemsty. Sara podejrzewała, a i ona także, że to książę zniszczył życie Nikodema i jej również. Co by było, gdyby ją na tym zadaniu przyłapał? Sama też Sarę potępiała. To niepodobna, by kobieta, w dodatku żona księcia, parała się pisarstwem. – Zżymała się w duchu. – Zresztą, żaden wydawca nie wyda dzieła napisanego przez kobietę. Była zła, że kuzynka powierzyła jej tak niebezpieczną misję.

Pożegnała się i w zamyśleniu poszła korytarzem do swojego pokoju. Najchętniej wyrzuciłaby tę przekłętą skórzaną teczkę, ale co wtedy powie Sarze? Jak spojrzy jej w oczy? Westchnęła głośno i mruknęła pod nosem niepochlebne słowo.

– O, Marianna! Nad czym tak rozmyślasz? Coś nie w humorze jesteś – zauważył Hipolit, zjawiając się nie wiadomo skąd. Stał na końcu długiego korytarza i patrzył na dziewczynę, podejrzanie świdrując ją wzrokiem. – No, zdradź mi, proszę, nad czym tak rozmyślasz?

– Właściwie... nic takiego... ja tylko... – jąkała się przejęta. Ścisnęła pod pachą skórzaną aktówkę, w którą Sara włożyła tekst, i w napięciu czekała, kiedy Hipolit sobie pójdzie. On jednak ani myślał odejść.

– Byłaś u księżnej? Jak ona się czuje? – Zmienił temat.

– Ma się trochę lepiej... – bąknęła.

– To dobrze. – Przesunął palcami po brodzie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. – Opowiedz mi, co u niej, ale nie tutaj. – Rozejrzał się po korytarzu. – Tu ściany mają uszy. Chodź do biblioteki, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. – Nie czekając na odpowiedź kobiety, zrobił zapraszający gest ręką, więc Mariannie nie pozostało nic innego, jak pójść za nim.

– Miałem kiedyś takie nieodparte wrażenie, że masz żal do Sary. – Podeszedł do stolika z drewna orzechowego, na którym stały trunki. – Ceniłem twoje towarzystwo. Możesz wierzyć lub nie, ale naprawdę cię lubię. – Zerkał na nią, otwierając butelkę. – Bardzo mi przykro, że twój związek z narzeczonym się rozpadł – powiedział miękko, obserwując reakcję dziewczyny na to niespodziewane wyznanie, a ponieważ milczała, kontynuował: – Domyślałem się, że poróżniłyście się z Sarą, i dlatego do nas nie przyjeżdżałaś. Mam rację? – spytał, nalewając koniak w dwa kryształowe kieliszki.

– Może i tak, cóż z tego? – spytała zaczepnie.

– Nic, tylko cię podziwiam – stwierdził, z uśmiechem podając jej kieliszek. Przyjęła go bez słowa, a gdy książę uniósł swój, a potem upił kilka łyków, ona uczyniła to samo. – Podziwiam cię, że wzniosłaś się na wyżyny wielkiej pokory i wybaczyłaś jej. A teraz, w godzinie próby, gdy ona potrzebuje pomocy, ty się zjawiłaś. Jesteś, wspierasz, pocieszasz, trwasz, a nawet jak się domyślam, spełniasz jej zachcianki. A powiedz, moja droga, gdzie ona była, kiedy ty potrzebowałaś pomocy? Czy odwiedziła cię choć raz? Choć jeden maleńki raz? – Uniósł brwi i uśmiechnął się pod wąsem, a ponieważ nic nie odrzekła, dopowiedział: – A widzisz, mam rację?

Marianna milczała, ale musiała przyznać, że w słowach Hipolita jest sporo prawdy. Sara ani razu nie pofatygowała się, żeby ją odwiedzić. Wprawdzie pisała krzepiące listy, ale to nie to samo, co rozmowa. Dopiero teraz Podolska pomyślała, że wizyta Sary z pewnością podniosłaby ją na duchu.

– Rzeczywiście, w pana słowach jest sporo racji – przyznała niechętnie. Koniak szumiał jej w głowie.

– Proszę cię... nie mów do mnie pan. Wujek również nie – zastrzegł ze śmiechem. – Zwracaj się do mnie po imieniu.

– Masz sporo racji, Hipolicie. – Przyznała po chwili, dumna z tego, że znalazła nić porozumienia z człowiekiem, którego wszyscy wokół się bali. – Sara nie przyjechała do mnie ani razu. – Na nowo odezwał w niej żal do kuzynki. Usiadła wygodniej w fotelu, założyła nogę na nogę i w zapomnieniu położyła skórzaną aktówkę na kolanach.

– A ty do niej nie tylko przyjechałaś, rzuciwszy uprzednio wszystkie swoje sprawy, ale teraz narażasz się, szmuglując miłosną korespondencję dla tego jej kochasia, mam rację? – Spojrzenie mężczyzny stwardniało, a ton głosu smagnął ją jak uderzenie rzemieniem.

– Nie, to nie tak...

– A jak? Jestem bardzo ciekawy jak. Tylko proszę, nie wmawiaj mi nieprawdy. Lepiej od razu się przyznaj, bo i tak sprawdzę. Masz tam listy do niego, tak? – huknął zniechęca.

– Nie. Naprawdę nie. – Wystraszyła się, ale jednocześnie odetchnęła z ulgą, że nie musi kłamać. – Nie mam żadnych listów.

– Więc co tam masz?

– Dobrze, powiem ci, choć nie powinnam. Nie chcę jednak być postawiona w fałszywym świetle ani nie chcę cię zostawiać w niepewności, w poczuciu, że ktoś knuje przeciwko tobie. – A gdy zobaczyła w jego oczach zniecierpliwienie, dorzuciła szybko: – To nie listy, Hipolicie, to powieść. Sara naciska, bym pojechała do Warszawy i udała się do wydawnictwa. Już wcześniej, przed waszym ślubem, tam byliśmy, ale oni nie chcieli wydać dzieł napisanych przez kobiety.

– To ona nadal pisze te bzdury? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Pokaż, co tam masz.

– Hipolicie, przysięgałam Sarze, że oddam do rąk własnych wydawcy. Jeśli jesteś dżentelmenem, to pozwól mi, proszę, tej przysięgi dotrzymać.

– Dobrze, to wyciągnij, co tam masz, i pokaż mi z daleka. – Westchnął, okazując swą dezaprobatę.

– Mam tylko to. – Marianna drżącymi dłońmi wyjęła gruby plik zapisanych ręcznie kart oraz list do wydawcy i spojrzała Reszce w oczy.

– No dobrze, cieszę się, że byłaś ze mną szczerą. – Dolał sobie koniaku, wypił, uzupełnił kieliszek powtórnie i przypomniał sobie o uzupełnieniu kieliszka Podolskiej, a potem przeszedł się po bibliotece z rękoma splecionymi na plecach. – Moja droga, otóż wiedz, że w stosunku do niektórych kobiet jestem dżentelmenem. Dla ciebie w podziękowaniu za uczciwość oraz za to, że nie trzymasz strony tego firyka będę łaskaw nad wyraz i osobiście zawiozę cię do wydawcy. Bądź gotowa jutro rano, choć nie wierzę w powodzenie tej misji, ale znaj moje dobre serce. Przyjmij też do wiadomości, że moja żona ma tendencję do konfabulacji, a nawet do samookaleczenia się. Tak, nawet do tego się posuwa, żeby mnie oczernić. – Posmutniał, gdy opowiadał o podłościach połowicy. – Chcę, żeby ktoś w tym domu pełnym tajemnic w końcu się dowiedział, że mam serce i wiem, co to wielkoduszność.

Marianna tej nocy nie mogła zasnąć. Szumiało jej w głowie od trzech kieliszków koniaku i usłyszanych informacji. Jak to możliwe, że ten okrzyknięty przez wszystkich tyran potrafił być tak wyrozumiały i wielkoduszny? Zwierzył jej się, że Sara potrafi się okaleczyć i postawić małżonka w złym świetle. Czy to możliwe? Czy tamtej pamiętnej nocy, gdy przybiegła do jej sypialni roztrzęsiona z zaschniętą krwią na wardze, rzeczywiście potrzebowała pomocy, czy jedynie chciała ją, Mariannę przyłapać na gorszącym uczynku? Podolska przekreśliła się na drugi bok, ale sen nie nadchodził. Przypomniała sobie gorące usta Nikodema, ciepło jego ramię, jego zapach i miły uśmiech. Dwie łzy popłynęły jej po policzkach i wsiąkły w miękką poduszkę. Jestem w oplakanej sytuacji. Bez męża i bez widoków na zamążpójście. Nikt nie chce panny, która była narzeczoną innego – westchnęła z żalem. Pół nocy przepłakała nad swoim losem, zanim zmorzył ją sen.

Rankiem, tuż po wczesnym śniadaniu, wsiadła z Hipolitem do powozu. Nie dostrzegli ruchu franki w pokoju na poddaszu ani śledzącego ich spojrzenia pary szarych oczu Helgi. Kobieta patrzyła za odjeżdżającym powozem i rozmyślała nad niestałością męskiego zainteresowania. Była zazdrosna o żonę księcia, a tymczasem winna się skupić na jej kuzynce. Przeklęła siarczyście i zagryzła usta, a potem jęła obmyślać plan, jak wykurzyć stąd tę przybłądę.

Hipolit Teofil Reszko okazał się znakomitym towarzyszem podróży. Opowiadał o swoich interesach w Rosji, o podróżach, dowcipkował, a nawet plotkował, co teraz noszą moskiewskie modnisie. Marianna słuchała oczarowana i zachwycona. Znowu pomyślała, że Sara nie docenia własnego męża. Przecież on jest szarmancki i uroczy, a do tego opiekuńczy i wszystko wskazuje na to, że zakochany w żonie. Który mężczyzna zdolny byłby do takich poświęceń, mając świadomość, że żona urodzi dziecko innemu? Wzruszyła ją postawa Hipolita. Tak, Sara przesadza, mówiąc, że książę jest tyranem. Niech czyny za nas mówią, nie słowa – podsumowała w duchu, gdy powóz zatrzymał się przed elegancką siedzibą „Tygodnika Stylu i Literatury”.

Właściciel oficyny Hieronim Gurg przyjął po królewsku tak znamienitego gościa, jakim był książę Hipolit Teofil Reszko. Kazał sekretarzowi zaparzyć młynek kawy i podać koniak i kruche ciasteczka. Panowie porozmawiali o pogodzie, o polityce, o kłopotach, jakie powstały po zmianie administracyjnej z przekształcenia województw na gubernie, i o innych pomniejszych sprawach.

– Panie Hieronimie, moja żona księżna Sara ma dziwaczny kaprys, który w tajemnicy przede mną powierzyła swojej kuzynce.

– Miałem przyjemność, zdaje się, panią poznać – przypomniał sobie Gurg, patrząc na Mariannę.

– Tak, w istocie. Byłyśmy tu z księżną dokładnie dwa lata temu. – Uśmiechnęła się Podolska, miło połączona faktem, że mężczyzna ją pamięta. Poprawiła fałdy granatowej sukni i nieznacznie umościła się w fotelu.

– Podziwiam i szanuję pańską małżonkę. Dzięki jej piątkowym wieczorom zostało odkrytych wiele talentów literackich, których utwory mam zaszczyt drukować.

– Cieszę się. Mniemam, że to mężczyźni. Czy zaczął już pan drukować również kobiecą twórczość? – spytał Hipolit, nie kryjąc ironii.

– Wyłącznie mężczyźni, szanowny panie. Niestety, nie jesteśmy aż tak postępowi, by być pionierami w tej jakże delikatnej materii. Jedynie szanowna pani Klementyna z Tańskich Hofmanowa jest akceptowalna, ale zapewne dlatego, że spisuje zasady moralne i etyczne, jakimi powinna się kierować szlachetnie urodzona panna – wyjaśnił nieco zakłopotany. Przestraszył się nagle, że Reszko zechce go prosić o wydanie twórczości żony. W tej sytuacji z uwagi na prestiż i koneksje księcia raczej nie mógłby mu odmówić.

– No cóż, panie Hieronimie, jestem zdania, że kobieta powinna zajmować się tym, do czego jest stworzona, a na pewno nie jest stworzona do zajęć zarezerwowanych dla mężczyzn. – Westchnął z udawaną troską. – Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy? Wyłóż, Marianno, z czym przysłała cię moja czcigodna małżonka.

– Moja kuzynka, to znaczy księżna Sara Leokadia Reszko, napisała powieść i marzy o tym, by pan zechciał jej tę powieść wydać. – Wyjęła ze skórzanej aktówki związane sznurkiem równo ułożone kartki i wręczyła wydawcy.

– Sara Leokadia Reszko de demo Wolska *Dom pełen tajemnic* – przeczytał na głos stronę tytułową Gurg, a Reszko skrzywił się z niesmakiem. Grymas ten nie umknął uwadze Hieronima, który zapewnił gorliwie: – Wszystko, co przychodzi do redakcji, jest poufną sprawą. – A widząc, że księcia to zapewnienie nie usatysfakcjonowało, odłożył plik kartek, wstał z krzesła i wyciągnął z szuflady lak. Podgrzał go płomieniem świecy, aż skapnęła wystarczająca ilość na wiązanie sznurka, potem przystawił mosiężną referentkę i z zadowoleniem przyjął rozchmurzoną minę Reszki. – O, w ten właśnie sposób odsyłamy twórcom. Czy chce pan osobiście oddać małżonce?

– Ależ skąd. Proszę odesłać pocztą kurierską i skreślić kilka słów w bileciku.

– Oczywiście, będzie, jak pan sobie życzy – zapewnił Gurg. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, zapewniając się wzajemnie o szacunku i pamięci.

Marianna w drodze powrotnej, wymawiając się bólem głowy, przymknęła powieki i udawała senną. Musiała wytłumaczyć sobie, co naprawdę stało się w domu wydawniczym. Czy rzeczywiście o taką misję chodziło Sarze? I czy fakt, że wydawca zalakował wiązanie, oznacza, że w ogóle nie przeczyta dzieła? A jeśli tak, co ona ma w takim razie powiedzieć kuzynce? – rozmyślała skołowana. Hipolit, ukontentowany pomyślnym załatwieniem sprawy, początkowo próbował zabawić Podolską rozmową, ale z braku jej zainteresowania umilkł. Skupił się na obserwowaniu zmieniającego się krajobrazu za szybą. Dopiero kiedy wysiadali z powozu, podając rękę Mariannie, rzekł:

– Nie zwierzaj się Sarze, że towarzyszyłem ci w tej eskapadzie. Niech to pozostanie między nami – stwierdził raczej, niż poprosił. – A, i zapraszam cię wieczorem na lampkę koniaku do biblioteki.

Podolska skinęła głową i ruszyła do swojego pokoju. Głowa faktycznie ją rozboleła, nie wiedziała, czy od wyboistej drogi, czy od gonitwy myśli. Nieco zszokowała ją rozmowa Hipolita z wydawcą. Zastanawiała się, dlaczego tak postąpił, dlaczego fatygował się jechać aż do Warszawy, zamiast zwyczajnie wrzucić rękopis powieści do ognia lub skoro uchodzi za takiego brutala, siłą zabronić żonie zwracać wydawcy głowę. I nagle ją oświeciło: książkę chciał po prostu ratować honor żony, żeby nie była narażona na ludzką krytykę. Tak jak chronił ją,

przyjmując na siebie dziecko z pozamałżeńskiego związku. Odczuła nagłą i niespodziewaną ulgę. W jej wyobraźni Hipolit jawił się teraz niczym rycerz na białym koniu, wybawiający swą damę z opresji, w które ta wpada przez własny brak rozsądku. I znów pomyślała o tym, że Sara przesadza. Mając dobrego i niespotykane wyrozumiałego męża, uganiała się za innym. Mimo zakazu rozmów o ciąży księżnej i tak pokątnie szeptano o jej romansie z młodym literatem i jego domniemanym ojcostwie, a Marianna chętnie nadstawiała uszu. Gdybym ja była na jej miejscu, kochałabym takiego dobrego męża jak Hipolit – pomyślała z westchnieniem. Rozmyślała też, że Sara nigdy nie dała mu szansy na miłość, nie czuł się kochany i dlatego szukał pocieszenia w ramionach kuchty. Tak, Marianna zaczęła usprawiedliwiać Hipolita i darzyć go coraz większym podziwem. A w konsekwencji rosła jej niechęć do Sary. Szybko jednak porzuciła te rozmyślenia, bo, podekscytowana, zaczęła się zastanawiać, jaką suknię włożyć na wieczorne spotkanie z Hipolitem. Schlebiało jej jego zainteresowanie i wyraźny podziw w oczach. Dawno żaden mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi. Potem pomyślała, że to jest grzeszne myślenie, ale w odpowiedzi na swoje teoretyzowanie wzruszyła ramionami. Gdyby nie Sara i jej pamiętny wyskok, dziś byłabym szczęśliwą mężatką, a Nikodem nie musiałby włączyć się po świecie – zawyrokowała.



Marta pędziła do pokoju swojej pani, przeskakując po dwa stopnie. Ciemne pasemka włosów wysunęły jej się spod białego, teraz nieco przekrzywionego czepka, a na policzkach wykwitły rumieńce. Zasapana, wpadła na pierwsze piętro, ale zanim weszła, poprawiła guziki szarej bluzki, przekręciła biały fartuch, który przesunął się w pasie, i wcisnęła włosy pod czepek. Zaczerpnęła tchu, choć nadal szybko oddychała, posapując i z trudem łapiąc powietrze. Trzymała w ręku grubą kopertę z „Tygodnika Stylu i Literatury”. Wiedziała, że jej pani bardzo czeka na tę odpowiedź.

– Oby była pomyślna – zaklinała los, szepcząc do siebie. – Oby była pomyślna. – Przeżegnała się, a potem zapukała i po usłyszeniu krótkiego „proszę” weszła do środka.

– Pani Saro, jaki dziś mamy śliczny, ciepły, wiosenny dzień. Cały park pokrył się zawilcami, słońce świeci aż miło, ptaszki świergołą dobre nowiny. Proszę się uśmiechnąć, bo życie jest piękne.

– Nie dla wszystkich, Marto – odpowiedziała smętnie Sara, która coraz gorzej znosiła areszt domowy. Popadała w głębokie przygnębienie, często płakała i przede wszystkim tęskniła za Brunonem. Wiele by dała, by móc przytulić się do jego męskiego ciała i wdychać zapach jego młodej skóry. Zamiast tego musiała siedzieć zamknięta w czterech ścianach, wolno jej było wyjść jedynie na taras, ale pod żadnym pozorem nie mogła schodzić do parku czy ogrodu. Czuła się upokorzona, była więźniem własnego męża.

– Moja kochana pani Saro, mam dla pani dwie niespodzianki i zapewniam, że to będzie bardzo dobry dzień. – Marta włożyła rękę za fartuszek i z sekretnej kieszeni wyjęła kremową kopertę. Położyła dwie przesyłki na dębowym stoliku przy kominku.

– Aż dwie korespondencje? – Księżnej rozbłysły oczy. Przeszła energicznym krokiem przez obszerną sypialnię, usiadła w fotelu przy kominku i wzięła oba listy. – Od Brunona! – zachwyciła się. Ucałowała kremową kopertę, ale ją odłożyła. Nie chciała czytać listu w obecności Marty, spojrzała na grubą szarą kopertę. – Ach, cóż to? Gruby pakunek przesłany pocztą kurierską? – Od razu domyśliła się, co się w nim kryje. Przymknęła oczy, wzięła głęboki wdech i rozerwała kopertę, wyjęła z niej list i przeczytała na głos: – Wielce szanowna księżno, oddaję niski pokłon za uprzejmość, że wyświadczyła mi pani ten zaszczyt i naszą gazetę wybrała pani, by podzielić się swoją twórczością. Powieść napisana jest gładko i zgrabnie, ale z przykrością informuję, że nie wydaję książek kreślonych ręką niewiast. Może kiedyś nadejdą takie czasy, ale nie dziś. Dziękuję za zaufanie i ślę ukłony. Z szacunkiem Hieronim Gurg. – Ręka z listem opadła na poręcz fotela. Sara posmutniała. Zamknęła oczy i siedziała bez słowa. Pobladała, a po chwili spod jej rzęs spłynęła łza.

– Pani Saro... – zaczęła Marta, ale Sara nie chciała słuchać słów pocieszenia. Pragnęła zostać sama i w samotności przetrwać klęskę.

Po wyjściu służącej wyjęła z koperty plik kartek związanych sznurkiem. Przejechała palcami po laku zapieczętowanym referentką, a potem przyjrzała się wiązaniu. Zamrugła kilka razy. Nie dowierzała temu, co widzi. Sznurek był zawiązany w ozdobne podwójne wiązanie, dokładnie takie, jakie tylko ona potrafiła wiązać. A zatem nie czytał treści – odkryła. Rozgoryczenie zalało jej duszę. Nie miała siły ani możliwości walczyć z przeciwnościami losu. Przygnębiona, przesiedziała cały dzień przy kominku, który zdążył dawno wygasnąć. Myślała nad tragicznym losem kobiet. Nie mamy prawa do miłości, nie mamy prawa do marzeń, nie mamy prawa do życia – podsumowała w myślach. Wzięła do ręki list od Brunona, ale nie chciała czytać go w takim stanie. Zostawiła go sobie na noc, by ukołysał ją do snu. Tuliła go pieszczotliwie. Przykładała do policzków, do piersi i marzyła, by znów znaleźć się w ramionach kochanka. Tak dobrych, tak szczerych, tak kochających. Szarość wieczoru wdarła się do pomieszczenia, a ona wciąż rozmyślała o beznadziejności swojego życia i o okrutności położenia, w jakim się znalazła.

Późnym wieczorem przyszła do niej Marianna.

– Saro, nie zjadłaś ani obiadu, ani kolacji. Tak nie wolno. Zrobisz krzywdę dziecku – skarciła ją. – Rozumiem, że nie schodzisz na dół, ale żeby w ogóle nie jeść, to niepodobna. Marta przynosi ci smakowitości, a ty wybrzydzasz. Znów popadniesz w jakąś chorobę.

– Wydawnictwo nie przyjęło mojej powieści. Nawet jej nie przeczytali. Nadaremnie fatygowałam cię do Warszawy. Nawet nie odwiązali sznurka – wyjawiała z goryczą, ani słowem nie odnosząc się do wyrzutów kuzynki dotyczących niejedzenia.

– Och, tak mi przykro – szepnęła Marianna, rumieniąc się po nasadę miedzianych, kręconych włosów. Wstydziała się, nie chciała mieć tajemnicy przed Sarą, ale jednak nie wyznała jej prawdy. I to nie dlatego, że bardzo bała się Hipolita, bo gdyby naprawdę się go bała, mogłaby jechać do domu, ona po prostu również uważała, że kobiety nie powinny paruć się pisarstwem. Co za dziwactwo! Skąd u Sary wzięła się ta dziwna mania pisania – krzywiła się. Nie chciała przyznać się sama przed sobą, że mimo krytyki trochę Sarze tej jej dziwacznej pasji zazdrościła.

– Pogodziłam się z tym, że nie ujrzę swojej książki. Świat wygrał. Mężczyźni wygrali – poprawiła się. – Nie będę więcej pisała. Już nie chcę. To jest bez sensu. Przyrzekłam kiedyś mojemu ojcu, że nie przestanę pisać, ale prosił mnie o to nie dlatego, że dostrzegł mój talent. On po prostu widział, w jakim jestem beznadziejnym położeniu, i wierzył, iż pisanie odciągnie mnie od złych myśli. Nikt nigdy nie czytał moich powieści, oprócz... – Zamilkła nagle, bo nie chciała opowiadać o swoim uczuciu do Dzikowskiego.

– Oprócz? – Marianna starała się spojrzeć w oczy Sarze, ale ta odwróciła wzrok.

– Och, nieważne. Nie mogę pisać, nie mogę kochać... nie mam po co żyć.

– O nie, moja droga, kochać możesz. Nikt ci kochania z serca nie wyrwie. Nigdy. Ja też kochałam i kochać nie przestałam. Wiem, że to beznadziejne uczucie, ale ja wciąż Kocham Nikodema. Noszę go w sercu i nikt mi tej głupiej miłości nie zabroni.

– Wiesz, co się z nim dzieje? – spytała Sara cicho.

– Eh, nie mówiłam ci dotąd, dotarła do mnie niedawno informacja, że za rzekome oszustwa podatkowe został skazany na kilkanaście lat Sybiru. – W spokoju jej głosu było coś przerażającego. – Nie mogę nawet pojechać tam za nim. Przychodzi do mnie często we śnie, przeprasza i zapewnia o miłości. Nie mam już swojego życia.

– Marianno, tak mi przykro. Czuję się winna tamtej sytuacji. Jestem pewna, że za prześladowaniem Nikodema stoi Hipolit.

– Nie wiem, sama już nie wiem. To wszystko jest takie trudne. Hipolit wydaje się spokojnym człowiekiem – powiedziała kuzynka wymijająco.

– Nie znasz go. To okrutnik. W dodatku mściwy. Nikt, kto wszedł mu raz w drogę, nie może czuć się bezpieczny.

– Przemawia przez ciebie gorycz, a jednak to dziecko... – Marianna umilkła, bo nie wiedziała, jak poruszyć temat dziecka, które przecież pochodziło z nieprawego łoża. Wszyscy o tym wiedzieli, ale ze strachu nabrali wody w usta, ale u licha, zaprzeczać faktom niepodobna – zżymała się w duchu.

– Nie tylko ty kochałaś. Ja też kogoś kochałam. Nadal Kocham, a on mnie. Nie będzie nam dane być razem. Również boję się o niego. Boję się, że Hipolit zemści się na nim okrutnie. Zapewne już szykuje coś potwornego, tylko jeszcze o tym nie wiem. – Pociągnęła nosem, a potem przyłożyła do oczu chusteczkę.

Kobiety umilkły, bo do pokoju weszła Marta wraz z dwiema pomocnicami. Służące zapaliły świece w kandelabrach, rozpały w kominku. Pierwsze dni maja nie należały do najcieplejszych, a wieczorne północne wiatry przynosiły chłód do pomieszczeń, wdzierając się przez nieszczelne okna. Marta przypilnowała, by dziewczęta przygotowały księżnej gorącą kąpiel, a sama zebrała niezjedzone dania, a w ich miejsce poukładała suszone jabłka i śliwki.

– Nie doceniasz własnego męża, Saro – zwróciła się do kuzynki Podolska, gdy na powrót zostały same. – Różne plotki o nim krążą, ale na mnie wywarł bardzo dobre wrażenie. Potrafi uważnie słuchać i udzielić rozsądnej porady.

– Och, Marianno, obyś nie przekonała się na własnej skórze, jaka ta jego serdeczność jest zdradliwa.

– Sama jednak przyznaj, że dziecko spłodzone przez innego może przyjąć tylko ktoś szlachetny o wielkim sercu. A on je przyjął. Powiem więcej, on nie tylko przyjął to dziecko, ale również obronił twoją cześć i godność. Saro, on cię kocha. To ty mu nie dałaś szansy na miłość, choć przysięgałaś przed ołtarzem miłość i posłuszeństwo. – Podolska spojrzała oskarżycielsko.

Sara zapatrzyła się na cienie na ścianie, które rzucały migocące płomienie świec. Była wstrząśnięta surowym sądem przeprowadzonym nad nią przez kuzynkę. Było jej przykro, że jest nierozumiana i potępiana.

Po wyjściu Podolskiej czuła się niepoczyszona i jeszcze bardziej samotna. Korciło ją, by przeczytać list od Brunona natychmiast, ale postanowiła wystawić swoją cierpliwość na jeszcze większą próbę. Najpierw wzięła wonną kąpiel, potem wsmarowała w ciało aromatyczne olejki, rozczesała włosy i dopiero ubrana w peniuar usiadła przy kominku, otworzyła kremową kopertę i zanurzyła się w najbardziej wyczekiwanych i wytęsknionych zgłoskach. Och, jakże bardzo pragnęła, by Bruno dowiedział się o dziecku. Wyobraziła sobie siebie, jego i to maleństwo w wiejskiej chacie wypełnionej szczęściem. Oczyma wyobraźni ujrzała jego radość na wieść o dziecku. W liście opowiadał jej o nowym wierszu, o tęsknocie, współczuł położenia, w jakim się znalazła, i... pogratulował ciąży.

Ach, więc już wie, że jestem w błogosławionym stanie. Ale czy domyśla się, że to dziecko jest jego, czy może myśli, że... – Zatrwożyła się, przyszło jej bowiem na myśl, że Bruno być może myśli, że spółkowała z mężem. Zerwała się z fotela i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Muszę wyjawic mu prawdę. On musi się dowiedzieć, że nie spałam z Hipolitem. Nie mogłabym po naszych cudownych, wypełnionych miłością nocach iść w ramiona tego padalca, choćby nawet mnie chciał wziąć siłą, już prędzej zabiłabym albo siebie, albo jego. Wzdrygnęła się z odrazą. Jeszcze raz przeczytała list, ale nie cieszył jej już tak bardzo, jak na początku. Brakowało w nim ciepła i zapewnienia o miłości. Muszę, koniecznie muszę się stąd wyrwać, by mu powiedzieć prawdę. Przygryzła wargi, bo sprawa wydała jej się beznadziejna. Hipolit ma przecież wszędzie swoich szpiegów. Nawet po trosze zastanawiała się, czy Marianna już do nich nie należy. Zganiła się jednak za tę myśl. Nie, kto jak kto, ale Marianna by jej tego nie zrobiła.

Od jakiegoś czasu utarło się, że Marianna i Hipolit spotykali się wieczorami w bibliotece. On podpytywał ją o zdanie w różnych kwestiach, a ona chętnie dzieliła się z nim swoją opinią. Czuła się wyróżniona i doceniona. Nie raz, nie dwa przesiedzieli przy winie czy koniaku aż do północy. Tego wieczoru również tak było. Marianna, niezadowolona z kierunku, jaki obrała rozmowa z kuzynką, siedziała osowiała, zapatrzona w bursztynowy płyn. Z jednej strony żałowała, że poruszyła temat nieślubnego dziecka, a przy okazji wspaniałomyślności Hipolita, ale z drugiej czuła satysfakcję, że w końcu wypomniała jej, że to w wielkiej mierze przez oziębłość Sary małżeństwo Reszków jest nieudane.

– Co cię gnębi, Marianno? – zagadnął Hipolit, uśmiechając się dobrodusznie. – Na świecie tak pięknie wszystko rozkwita, aż chce się żyć, a w sercu młodej dziewczyny smutek? Toż to aż grzech. – Zdobył się na żart.

– To moja dwudziesta czwarta wiosna – stwierdziła ponuro. Westchnęła głęboko i podniosła do ust kryształowy kielich z koniakiem. Alkohol wprawiał ją w stan lekkiego zamroczenia, dzięki czemu trudy dnia, zmartwienia i tęsknoty nieco się rozmywały.

– Wciąż jesteś bardzo młoda. Wyjdiesz za męża, zobaczysz, bo pewnie tego się obawiasz, prawda? Ale nie masz powodów. Ani się obejrzysz, a zakręci się przy tobie jakiś młody, przystojny kawaler i oddasz mu swoje serce. Tak zbudowany jest ten świat. Więc nie smuć się i uśmiechnij do mnie. Lubię, gdy się uśmiechasz.

– Już kiedyś oddałam komuś swoje serce – oświadczyła smętnie. – Nie jestem błahą kocietką, która zmienia zdanie w zależności od podmuchu wiatru.

– Nigdy bym cię o błahość nie posądzała. Przecież wiem, że kochałaś tego swojego Nikodema. I do dziś łzy po nim wylewasz. A on już zapewne szykuje się do dalekiej wędrówki. Mało kto tę pieszą włóczęgę przeżywa. Powstańcy, jak im się uda albo jak który bogatszy, jadą kibitkami, ale pospolici przestępcy są pędzeni pieszo... Tym nikt mnie współczuje.

– Nikodem nie jest przestępcą. To uczciwy człowiek. Najuczciwszy, jakiego znam.

– Tego nie wiem, ale zaręczyny zerwał. Raz dane słowo złamał, a ciebie porzucił i naraził na ludzką obmowę.

– Nie, to nie tak! – zaprzeczyła gwałtownie. – Nikodem zwrócił mi wolność, bo jest porządnym i uczciwym człowiekiem. Pragnął oszczędzić mi kłopotów. Jest człowiekiem wielce honorowym. Niedawno domyśliłam się prawdy, nie ze swojej winy mnie porzucił.

– Eh, kobiety, jesteście bardzo łatwowierne – prychnął pogardliwie Reszko. – No dobrze, założmy, że zerwał zaręczyny z racji czekających go kłopotów. Czy sądzisz, że gdyby przypadkiem jego kłopoty nagle się skończyły, wróciłby do ciebie i ci się ponownie oświadczył? – Podkręcił wąsa i świdrował ją małymi, chytrymi oczkami.

Mariannie nie podobało się to spojrzenie ani sposób, w jaki ksiązę do niej przemawiał. Miał w sobie coś oślizgłego, coś uwłaczającego, choć Marianna nie potrafiła tego sprecyzować.

– Jestem tego pewna – powiedziała, dumnie unosząc podbródek.

– Tak się składa, że mam wpływowych przyjaciół. Jeśli jeszcze nie doszło do zsyłki, jest możliwość odbicia go, nie zbrojnie, rzecz jasna, a zwyczajnie, przekupstwem. Rosjanie to ludzie słabego charakteru i łasi na ruble. Mógłbym podpytać tego czy owego, czy wie coś o sprawie twojego narzeczonego.

Podolska wpatrywała się w Hipolita jak urzeczona. Szczęście, nadzieja, a zaraz potem trwoga miały jej duszę. Zbladła, bo przyszło jej na myśl, że ten mężczyzna jeszcze w sile wieku zażąda od niej za uwolnienie Nikodema rzeczy niemożliwej. Nie chciała się mu oddawać. Jednak zaraz przez myśl jej przeszło, że życie Nikodema jest więcej warte niż jej cnota. Stoczyła ze sobą krótką walkę. Jeszcze nigdy nie spółkowała z mężczyzną. Nie miała pojęcia, jak to jest, ale tamtej nocy, gdy leżała wtulona w ukochanego, czuła się najszcześniejsza na świecie. W dole brzucha rozchodziło jej się wtedy przyjemne ciepło. Tuliła w myślach wspomnienia, gdy Nikodem ją całował i pieścił jej piersi. Jeszcze teraz spłonęła szkarłatnym rumieńcem, kiedy przypominała sobie tamte emocje. Z pewnością, gdy Hipolit weźmie ją w ramiona, emocje będą inne, ale trudno, poświęcę się – postanowiła.

– Zrobię wszystko, byleby tylko uratować Nikodema z opresji. Jestem gotowa ponieść wszelkie możliwe trudy i upokorzenia, jeśli będę miała gwarancję, że mój ukochany wróci – powiedziała powoli, ale stanowczo i z niezłomną dumą.

– Nie chcę cię upokarzać, ale rzeczywiście, możemy sobie wzajemnie pomóc – mruknął.

– Co miałabym zrobić? – Otarła łzę, jeszcze wciąż nie wierząc w taki obrót sprawy.

– To w sumie błahostka. Namówisz moją żonę, żeby wydała tę swoją głupiotką powieść pod nazwiskiem Brunona Dzikowskiego – odpowiedział z nieprzeniknioną miną.

– Co takiego?! – Marianna zerwała się z fotela. Dłońmi zaczęła rozmasowywać skronie. – Ale po co ta cała mistyfikacja?

– To już moja sprawa – fuknął nieprzyjemnie, zaraz jednak uśmiechnął się fałszywie i rzekł zdecydowanie innym tonem: – Matka mojego dziecka zapewne popadła w przygnębienie. Chcę ją wyrwać z tego stanu. Wiem, że mój pomysł może i budzi kontrowersje, ale chyba lepiej, żeby zobaczyła swoją książkę pod pseudonimem niż wcale – zakomunikował zszokowanej kobiecie.

– Ale jak Sara ma go do tego przekonać? Przecież nie wychodzi z domu?

– Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu na trzy dni. Dobrze byłoby, gdybyś w tym czasie zrealizowała mój pomysł. – Stuknął fajką o stół, żeby lepiej ubić tytoń.

– No nie wiem, czy mi się uda... – Wahała się, nie zastanawiając, jakie nieczne plany kryją się za tym na pozór niegłupim pomysłem. Przecież byli w wydawnictwie i książkę wyraźnie dawał znaki, że nie życzy sobie, by powieść żony została wydana.

– Twoja w tym głowa, żeby się udało – powiedział z naciskiem.

– Postaram się, zrobię, co w mojej mocy – zapewniła.

– No, ja myślę. W twoim interesie jest, byś ją przekonała, bo twojego biednego Nikodema już zakuwają w łańcuchy katorżnicze i zaraz pogonią pieszo na Sybir. Takie chuchro, czy on jest w stanie przejść te sześć tysięcy kilometrów, popychany, bity... – wymieniał z chorą mściwością.

– Nie kończ, Hipolicie. Przekonam Sarę. Rzeczywiście lepiej niech wyda książkę pod innym nazwiskiem niż wcale.

– No właśnie, nareszcie zaczęłaś mówić do rzeczy.

– Tylko czy wydawca zechce wydać Dzikowskiemu? – zastanawiała się głośno.

– O to niech cię twoja śliczna główka nie boli. Wyda – syknął. – I to jeszcze jak wyda. Tylko tytuł zmieni. Z takim tytułem niech lepiej świata nie ogląda. Jest zbyt idiotyczny i dziecinny.

– Czy masz na myśli jakiś konkretny tytuł? – spytała usłużnie.

– Nie, chyba nie. Może do jutra się zastanowię – orzekł, rozwlekając słowa. Nie myślał wcześniej o tytule, ale wyłącznie o zemście. Teraz został zaskoczony. – O, już wiem: *Niespełnione marzenia utracjusza* czy jakoś podobnie. – Chodził po pokoju, mamrocząc pod nosem, a w końcu machnął ręką i stwierdził: – Wydawca mu tytuł zasugeruje. Ty masz tylko przekonać tę zdzir... księżną, żeby podsunęła pisaninę temu pożałuj Boże literatowi. Poddaj jej ten pomysł mimochodem. Niech myśli, że to jej własny i najlepszy na świecie. Jeśli się postarasz, może uda się wydać, zanim zostanie matką. – Zgrzytnął zębami nieprzyjemnie przy ostatnim

słowie, ale powstrzymał wściekłość. Czuł jednak, że musi się na kimś wyładować, bo inaczej furia w nim eksploduje.

– Hm... przekonanie Sary nie będzie łatwą sprawą, ale się postaram – obiecała.

Coś na kształt wyrzutów sumienia targnęło jej duszę. Czuła się, jakby wchodziła w układ z samym diabłem. Dopiero teraz dostrzegła, że w całej postawie Hipolita, w sposobie mówienia i w spojrzeniu było coś na wskroś nieprzyjemnego. Szósty zmysł podpowiadał jej, żeby natychmiast wycofać się z tej diabolicznej obietnicy, ale zaraz przywołała przed oczy obraz niešťczęśnika zakutego w łańcuchy i w lichych łachmanach podążającego do kraju, o którym mówiło się, że idzie się tam na pewną śmierć. Zaciśnęła dłonie w pięści i przymknęła powieki. Nie będę teraz myślała o konsekwencjach tego niecnego planu. To i tak mała kara za to, co Sara mi zrobiła – uznała Podolska. Nachmurzyła się, ale po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech, bo wyobraziła sobie siebie i Nikodema szczęśliwych, zakochanych i połączonych na zawsze węzłem małżeńskim.

– No, widzę, żeś się zdecydowała – zakpił Hipolit, który obserwował na jej twarzy tę wewnętrzną walkę. – Zuch dziewczyna. A teraz zapraszam za mną. – Kiwnął palcem.

– To znaczy? – spytała spłoszona.

– Do mnie. Chyba należy mi się suta zapłata za wręczenie łapówki za twojego kochasia? Trochę mnie to będzie kosztowało.

Zagryzła dolną wargę, aż poczuła metaliczny posmak krwi. Westchnęła głęboko i poszła za Hipolitem do jego sypialni. Bała się. Przypomniała sobie zmasakrowaną twarz Sary i dopadło ją przerażenie. Jeszcze nie tak dawno rozmyślała o tym, że kuzynka przesadza, ale teraz nagle zdjął ją potworny strach. Najchętniej uciekłaby do swojego pokoju, a rano wyjechała do domu, ale wtedy pomyślała o Nikodemie. Zniosę to, zniosę dużo więcej, byleby odzyskał wolność – pomyślała zrezygnowana.

Sarę w nocy obudził kobiecy krzyk i głośny rechot jej męża. Nasłuchiwała chwilę, ale gdy uzmysłowiła sobie, że ten zabawia się z kolejną kochanką, nakryła głowę poduszką, by nie słyszeć tego, co dzieje się za ścianą. Kobieta zdławionym głosem wzywała pomocy. Sarze wydawało się, że słyszy Mariannę, ale zaraz uzmysłowiła sobie, że to niemożliwe. Zatkąła uszy, nie chciała słuchać jego kochanek ani jego. Nienawidziła tego domu pełnego tajemnic. Domu pełnego przemocy. Płakała roztrzęsiona, ale gdy zabrakło jej tchu, odłożyła poduszkę i leżała w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami. Po półgodzinie drzwi męzowskiej sypialni zaskrzypiały, a potem po korytarzu rozległ się tupot kobiecych kroków i głośny szloch. Księżna pomyślała z przerażeniem, że mąż zapewne zmusił do cielesnego obcowania którąś ze służących. Zatrzęsła się z bezsilności. Mieszały się w niej strach, gniew, przerażenie i rezygnacja.



Gdy w południe Marianna przyszła do pokoju księżnej, Sara przeraziła się zmianą, jaka zaszła w kuzynce. Przygaszone, nieobecne spojrzenie, zwieszzone ramiona i smutek ziejący z całej postury nie pasowały do Podolskiej. Nawet w tamtym strasznym czasie, gdy Nikodem

zerwał zaręczyny, dziewczyna starała się zachować pozory. Owszem, targała nią rozpacz, ale nie tak jawna rezygnacja. Księżna Reszko odłożyła czytaną książkę i zerwała się z fotela.

– Och, Marianno, czy ty się dobrze czujesz? Dostałaś jakąś złą wiadomość z domu czy może ktoś z bliskich zachorował? – dopytywała Sara. Podeszła do kuzynki i objęła ją ramieniem.

– Wszystko dobrze – wyjąkała Podolska głosem pozbawionym życiowej energii. – Naprawdę – zapewniła, czym wzbudziła w Sarze jeszcze większy niepokój.

– Czy spotkała cię może jakaś krzywda? – Nie dawała za wygraną kuzynka.

– Może rzeczywiście trochę gorzej się czuję, ale to dlatego, że doszły mnie słuchy, że Nikodem... – Rozpłakała się nagle. Usiadła na łóżku i zakryła twarz dłońmi.

– Och, powiedz, co z Nikodemem. Czy żyje? – Sara tuliła zrozpaczoną kobietę.

– Żyje, jeszcze żyje. Przed nim straszna piesza wędrówka na Sybir. On tego nie przeżyje. – Rozszlochała się na dobre.

– Kochana moja, nie płacz. To silny mężczyzna. Cóż ty możesz na to poradzić? Nasz los jest tak chwiejny i niezależny od nas. – Sara westchnęła, głaszcząc Mariannę po dłoni.

– W pewnym sensie zależny. Jeśli naprawdę chcemy, możemy walczyć o miłość, pytanie tylko, jaką cenę przyjdzie nam za to zapłacić. Czasami ta cena jest zbyt wysoka. – Otarła łzy wierzchem dłoni, a potem spojrzała Sarze prosto w oczy. – Saro, wiem, że kochasz Brunona. Wszyscy to wiedzą. Walcz o wasze uczucie. Nie poddawaj się.

– Łatwo ci mówić, ale jak mam walczyć? Jestem pilnowana dzień i noc. Nie wychodzę z tego pokoju, chyba że na taras.

– Masz dwie miłości, Brunona i pisanie. Połącz to w jedno. Skoro wydawca nie chce wydać ci książki, bo jesteś kobietą, namów ukochanego, by wziął książkę na swoje nazwisko. – Podolska nie odwróciła wzroku ani nawet się nie zająknęła, gdy powierzała Sarze tę propozycję. Przyglądała się, jak księżna w zdumieniu szeroko otwiera oczy, jak patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Ależ... to niepodobna... ta powieść jest jak moje dziecko... – wyjąkała niepewnie księżna.

– Nie możesz dzielić dziecka z Brunonem, nie on je będzie wychowywał, nie on je będzie pieścił i kołysał do snu, niech wobec tego zajmie się twoim drugim dzieckiem. Życie jest krótkie, czy nie chciałabyś zobaczyć, jak twoja powieść zostanie przyjęta przez czytelników? Przecież ufasz Brunonowi, jest ojcem twojego dziecka... – Zamilkła raptownie, bo bała się, czy nie posunęła się za daleko.

– Masz rację, Bruno jest ojcem mojego dziecka, ale nie dane mu będzie ukołysać do snu nasze maleństwo. To jest tak bolesne, że napawa mnie rozpaczą. Chciałabym uciec z tego domu albo... zasnąć i nigdy się nie obudzić. – Znów przytuliła się do Marianny, a ta pogłaskała jej jasne, splecione w warkocz włosy.

– Saro, tak nie musi być. Masz światu tak wiele do zaoferowania. Masz talent, kiedyś twoje dziecko będzie z ciebie dumne, gdy dowie się, że książka, którą tak kochają czytelnicy, została napisana przez jego mamę. Wierzę, że ludzie pokochają twoją książkę, bo kochają ciebie. Oddałaś zapewne tej powieści bardzo dużo swojego serca. Będiesz z Brunonem związana jesz-

cze bardziej, a jeśli powieść odniesie sukces, on stanie się bogatym człowiekiem i być może wtedy będzie miał możliwość wyrwać cię z tego przeklętego miejsca – zachęcała ją, ale już nie miała odwagi spojrzeć Sarze w oczy. Jednak tak długo i żarliwie przemawiała, że sama rozczuliła się swoimi słowami i zapłakała nad swoim losem, nad losem kuzynki i nad losem wszystkich skrzywdzonych, bezsilnych kobiet.

– Marianno, dziękuję ci. Jesteś wspaniałą przyjaciółką, najczulszą siostrą i oddaną powierniczką moich sekretów. Twój pomysł jest genialny. Choć w pierwszej chwili żał przeze mnie przemówił, to teraz, gdy odsunęłam emocje, widzę, że to będzie jedyne wyjście. Ja będę miała jedno nasze dzieciątko, a Bruno drugie. Namiastkę dzieciątka, bo czymże jest książka w porównaniu z żywą istotką. – Uśmiechnęła się – Jeszcze dziś napiszę do niego list.

– Nie musisz pisać. Możesz mu to powiedzieć osobiście.

– Jak? – Sara zarumieniła się z emocji. Sama myślała, że mogłaby spotkać się z Brunonem, sprawiła, że wstąpiła w nią nieokiełznana radość.

– Wiem z pewnego źródła, że książkę wyjeżdża w interesach i nie będzie go kilka dni. Zorganizuję wasze spotkanie. Ty się o nic nie martw. Czekaj na mój znak, ja się wszystkim zajmę – obiecała, a potem cicho sapnęła z ulgą, że udało się przekonać kuzynkę, by swoje dzieło oddała w ręce kochanka.

Po wyjściu Marianny Sara myślała już tylko o tym, że wkrótce zobaczy ukochanego. Wtuli się w jego ramiona, poczuje jego zapach, usłyszy krzepiące słowa, a przede wszystkim zapewni go, że małeństwo, które rozwija się w jej łonie, należy tylko do nich. Podeszła do toaletki i przyjrzała się sobie. Cięża ewidentnie jej służyła. Policzki się zaokrągliły, piersi uwypukliły, cera zrobiła się zdrowsza i bardziej aksamitna. Oczy jej błyszczały, a usta rozchyłały się w uśmiechu. Mała iskierka szczęścia w tych długich mrocznych samotnych dniach podzielała na nią niczym kojący plaster na jątrzącą się ranę. Och, jak bardzo pragnęła dotyku warg ukochanego, jego uśmiechu i słów pokrzepienia.

Późnym wieczorem wyciągnęła rękopis, z wielkim żalem, ale już pogodzona z losem, porzuciła stronę tytułową, a resztę kartek owiązała sznurkiem. Pogłaskała swoje dzieło, nad którym tak ciężko pracowała przez ostatni rok. Ta powieść przyniosła jej dużo dobrego. To właśnie o niej dyskutowała z Brunonem, wymieniając się listami i rozprawiając o każdym rozdziale. To dzięki tej powieści ich miłość rozkwitła. Ach, że też sama nie wpadłam na to, by Bruno stał się autorem mojej książki – zamyśliła się. Już prawie nie żałowała, że to nie jej nazwisko będzie na okładce. Ufała kochankowi, wierzyła w niego i w jego miłość.

Sara od miesięcy nie wychodziła z domu, ba, nie wychodziła z własnego pokoju, więc kiedy nocą przemykała się tonącym w mroku korytarzem, serce waliło jej z emocji. Do spotkania kochanków miało dojść w lesie na trasie między Karczewem a Warszawą dokładnie o północy. Jechała pod osłoną nocy powozem zaprzęgniętym w cztery gniade konie i trzęsła się, nie mogąc uspokoić nerwów. Wypukły brzuch ukryła pod wiśniowym szalem. Chciała, żeby ukochany zobaczył w niej kobiecość i piękno, a cięża zdążyła już zniekształcić jej figurę. Tak długo czekała, by zobaczyć Brunona, bała się, że nigdy już nie będzie im to dane. Błogosławiła kuzynkę za to, co dla niej zrobiła. Domyślała się, że przygotowanie tej eskapady okupionej ogromnym ryzykiem przyplaciła strachem i zapewne rozstrojem nerwów. Gdyby Hipolit się

dowiedział, że pomogła mi w spotkaniu z ukochanym, z pewnością by się na niej zemścił – rozmyślała smutno.

Gdy powóz stanął w umówionym miejscu, Bruno już na nią czekał. Stangret pomógł Sarze wysiąść i oddalił się taktownie, by młodzi mogli spokojnie porozmawiać. Koń Dzikowskiego przywiązany do drzewa rżał niespokojnie, a echo roznosiło końskie skargi po ciemnym lesie. Wydawało jej się, że Dzikowski schudł. Twarz mu zmizerniała, a z oczu uszedł blask. Podbiegł do niej i chwycił ją w ramiona.

– Saro, moja jedyna, najdroższa, kochana. – Ucałował jej obie dłonie – Miłości moja jedyna. Nie było dnia i nocy, bym o tobie nie myślał, bym nie zasypiał, mając twój obraz pod powiekami. – Całował jej włosy, twarz, szyję, dekolt, a ona przyjmowała te pocałunki bezwolna. Nie była w stanie zapanować nad drżeniem dłoni, przyspieszonym oddechem, szeptaniem czułości, które ginęły wśród jego miłosnych zaklęć. Wstąpiły w nią namiętność i pożądanie.

– Bruno... – jęknęła. – Nie potrafię bez ciebie żyć. Nie chcę bez ciebie żyć. Jestem więźniem mojego męża. Ja już tak dłużej nie mogę – poskarżyła się, choć wcześniej obiecała sobie, że nie będzie narzekała.

– Tak mi trudno z tym żyć. Tak okropnie. – Westchnął w rozpacz.

– To nic, kochanie, dam radę. Nie zamartwiaj się tym. To drobiazg. Mam wszystko, czego mi trzeba do życia, a nawet więcej, bo dzięki Marcie dochodzą do mnie twoje listy. One pozwalają mi przeżyć.

– Jesteś piękna, taka szlachetna, taka dobra. Moja, jedyna. Tęsknota jest nie do zniesienia, marzyłem codziennie, by zobaczyć cię chociaż z daleka. – Tulił ją mocno w ramionach, a ona czuła się szczęśliwa. – Chodź, Saro, wsiądźmy do środka, bo cała drżysz. – Poprowadził ją do powozu, a potem upadł do jej stóp, złożył głowę na jej kolanach i załkał jak skrzywdzony chłopczyk.

Od dawna tak się nie czuła. Dziękowała opatrności za tę szczęśliwą chwilę. Mogła teraz znów siedzieć zamknięta w odosobnieniu, bo ta magiczna chwila dała jej siłę. Jakże brakowało jej jego zapewnień o miłości. Wprawdzie przychodziły listy, ale to nie to samo, co dotyk, bliskość i szeptem wypowiedane słowa. Jakże pragnęła zostać na zawsze w tych drogich jej ramionach, wtulić się w nie i zasnąć na wieki.

– Eh, ten łotr nie pozwala mi wychodzić nawet do ogrodu. Trzyma mnie w zamknięciu w areszcie domowym aż do dnia rozwiązania.

– Jeszcze ci nie pogratulowałem, to znaczy wam. – Zmarkotniał, gdy temat rozmowy zszedł na ciężę.

– Ależ Bruno, pogratuluj sobie. Jak mogłeś zwątpić w moją uczciwość? To twoje dziecko. Nasze – poprawiła się.

– Nasze? Naprawdę? Jesteś pewna? – Poblądł i jakby się skurczył.

– Jestem pewna, najdroższy. I nie martw się księciem. – Od razu odgadła jego obawy. – Książę wydaje się pogodzony z faktem, że ty jesteś ojcem. Jest szczęśliwy, że w ogóle urodzę dziecko, bo wszystko na to wskazuje, że on jest bezpłodny. My jednak dobrze wiemy, Bruno, że ta mała istotka, która się we mnie rozwija, jest nasza, jest dla mnie najcenniejszym skarbem w tych okropnych tygodniach. To częśćka ciebie, która na zawsze przy mnie będzie, w dobrych

i złych chwilach, i którą już pokochałam nad życie, choć kiedyś mówiłam, że nie chcę mieć dzieci. Ale wtedy nie wiedziałam, co to jest miłość. Kobieta chce mieć dzieci z kimś, kogo kocha, a nie kogo wybiorą jej na męża. Dobrze, że on zaakceptował to dziecko, bo strach mnie oblatuje na myśl, gdyby tego nie uczynił. Choć nigdy nie przyszedł do mojego pokoju spytać chociażby, jak się czuję. Od momentu kiedy lekarz poinformował mnie o błogosławionym stanie, mój mąż nie zamienił ze mną ani jednego słowa.

– Nie wiem, Saro, czy nie jest to z jego strony okrutna gra, o której wkrótce boleśnie się przekonamy. Oby nasze dzieciątko na tym nie ucierpiało. Ani trochę nie wierzę we wspaniałość Reszki.

– Też mam pewne podejrzenia. Pocieszam się jednak, że on sam nie może mieć dzieci i stąd ta gra pozorów. Nie miał ich ani z pierwszą żoną, ani ze mną. Przed wyjazdem do Rosji sztychował ze mnie, że jestem wydmuszką kobiety, niezdolną do zajścia w ciążę. Teraz gorzko przekonał się na własnej skórze, że to on jest wydmuszką mężczyzny.

– Kochana moja, nie mówmy już o nim, jestem taki szczęśliwy. Nasze maleństwo. Szkoda tylko, że nie będzie mi dane być ojcem. Przecież ja nie mam i nigdy nie będę miał możliwości opiekowania się naszą kruszynką. W dodatku niczego nie posiadam, jestem ubogim nauczycielem i niczego nie będę mógł dać naszej dzidzi. – Zmartwiony, odwrócił wzrok. Czuł się podle. Był mężczyzną, a nie mógł załatwić swojej sprawy honorowo, po męsku. Powinien porwać Sarę, wprowadzić choćby za granicę i zacząć nowe życie pod zmienionym nazwiskiem. Świat był wielki, ale on zwyczajnie bał się zemsty. Bał się tak bardzo, że początkowo, kiedy Marianna nalegała na spotkanie z Sarą, wietrzył jakiś podstęp. Dopiero kiedy ukochana potwierdziła chęć spotkania w przesłanym mu liściku, dał się przekonać, choć strach wciąż go nie opuszczał.

– Bruno, mam dla ciebie propozycję, jeśli wszystko się powiedzie, twoje życie, nasze – poprawiła się – wkrótce ma szansę się odmienić. Kto wie, może uda nam się zamieszkać razem w jakimś skromnym, ubogim domku pod lasem, gdzieś na końcu świata. Marzę o tym. – Uśmiechnęła się i z melancholią zajrzała mu w oczy.

– Ależ kochanie, jesteś księżną! – Oburzył się. – Nie przystoi, by księżna zaszyła się w ubogim domu. Nigdy na to nie pozwolę. Jesteś bogata, nie wiesz, co to proste życie. Szybko przestałabyś mnie kochać...

– Tak nisko mnie cenisz? – spytała zawiedziona. On natychmiast się zerwał z kolan, objął ją i zatopił usta w jej ustach. Całował ją żarliwie, gwałtownie, do utraty tchu. Zjechał dłonią do jej piersi, a gdy jego ręka omsknęła się niżej i wyczuł wypukły brzuch, odsunął dłoń speszony. Jeszcze nie docierało do niego, że zostanie ojcem. Czuł się oszołomiony i lekko skrępowany. Dotknęła jego dłoni, pogładziła uspokajająco, a potem przyłożyła ją do swojego brzucha. – Czasami czuję, jak nasza dziecinka się rusza. – Uśmiechnęła się czarująco i westchnęła upojona niepowtarzalną chwilą szczęścia.

– Nasze dziecko, a jednak twoje i jego – zasępił się.

– Bruno, przyjechałam tu, bo mam do ciebie wielką prośbę – zmieniła temat, by wybić go z nieprzyjemnych myśli.

– Wszystko, co tylko zechcesz – zapewnił nieco na wyrost. Bał się. Już dawno, ku swojemu zawstydzeniu, odkrył, że jest człowiekiem strachliwym, że bardzo boi się gniewu Reszki. Ale jak miał się nie bać? Ze swojej skromnej nauczycielskiej pensji utrzymywał schorowaną matkę i swoją skromną stancję. Za publikowane wiersze rzadko kiedy wpadał jakiś grosz, częściej wydawcy drukowali je bez wynagrodzenia. – Jakie masz życzenie? Zrobię dla ciebie wszystko.

– Nie chcę wszystkiego, kochanie. Chcę tylko twojej miłości, twoich listów, które są dla mnie wielkim pocieszeniem i wsparciem, czuję w nich twoją siłę i sama jestem silniejsza. Jednak oprócz tego, bardzo bym pragnęła, byś wziął na swoje nazwisko moją powieść...

– Co takiego? Cóż to za pomysł? – Odsunął się na długość wyciągniętych ramion i patrzył na kobietę oszołomiony.

– Wydawca odesłał mi ją bez czytania. Napisał, wprawdzie, że przeczytał, ale wiem, że tego nie uczynił. Nie odwiązał nawet sznurka. Dostałam od niego list, że nigdy nie wyda niczego, co jest skreślone kobiecą ręką – wyznała.

– Tak mi przykro. Bardzo ci współczuję, wiem, jak ważna jest dla ciebie ta książka. To twoje literackie dziecko.

– Dlatego bardzo cię proszę, byś to dziecko do siebie przytulił. – Odwróciła się i wzięła zza pleców kartki związane sznurkiem.

– Saro, to... to... niepodobna... Kochanie, nie rób tego, czasy się zmieniają i sama wydasz. Twoje nazwisko wyryje się złotymi zgłoskami na okładce.

– Nie. Nie dożyję takich czasów. Boję się, że nie przeżyję porodu, a jeśli tak by się stało, nasza kruszynka nigdy się nie dowie, że jej mama pisała powieści. Chyba że nie chcesz przyjąć na siebie takiego zobowiązania. – Popatrzyła mu smutno w oczy.

– Nie zrozum mnie źle. Ja zwyczajnie nie chcę pozbawiać cię owoców twojej żmudnej pracy. Nie poddawaj się. Zobaczysz, świat szybko się zmienia, idzie do przodu, ani się obejrzyysz, jak zaczną drukować poezję i prozę kobiet.

– Nie sądzę, nawet we Francji jeszcze do tego nie dorośli, a cóż dopiero tutaj. W Paryżu niejaka Amantine Dupin publikuje swoje powieści pod męskim pseudonimem George Sand i słyszałam nawet, że nosi się po męsku. Odważna jest. Mnie jednak nie stać na taki krok.

– Ale jakże ja ci mogę zabrać to twoje wypieszczone literackie dziecko?

– Ja będę wychowywała i troszczyła się o dziecko, którego ty przez podły los tulić nie będziesz mógł, za to ty będziesz troszczył się o nasze drugie dziecko, literackie, którego mi tulić nie będzie dane – wyjaśniła przygnębiona.

– Saro, proszę, nie zmuszaj mnie do tego... – jęknął. – Przecież wiem, jak pisanie tej powieści cię cieszyło, jak to bardzo przeżywałaś, jak się cieszyłaś i jak wielkie miałaś nadzieje związane z książką.

– To prawda. Miałam wielkie nadzieje i wierz mi, nadal je mam. Wierzę bowiem, że jeśli uda ci się ją wydać, może zdarzy się cud, powieść stanie się na tyle popularna, że stać cię będzie na kupno domku gdzieś na końcu świata. A wtedy posadzimy pod oknem malwy i słoneczniki, wierzby będą szumiały nam do snu piękne kołysanki, przed domem postawimy huśtawkę, przystroję ją kwiatami i wieczorami będziemy siadać na niej we trójkę, świerszcze za-

grają nam koncert... – Rozmarzyła się. Zaraz jednak szybko przymknęła powieki, bo zdradziecka łza zawisła na długich, wywiniętych rzęsach.

– Kochanie moje, jak pięknie opowiadasz o nas. Jak bardzo pragnąłbym rzucić ci świat do stóp, całować ziemię, po której stąpasz, boję się jednak odebrać ci twoją jedyną radość. Twoje pisanie, z którego jesteś taka dumna.

– Bruno, powiedz mi prawdę. – Otarła łzę koniuszkiem palca i spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

– Oczywiście kochana, co tylko chcesz...

– Wstydzisz się tej powieści, prawda? – Kąciki ust jej zadrgały i byłaby się rozpląkała, ale on scałował z policzków jej łzy, pocałował ją w usta i złożył kilka pocałunków na jej dłoniach spoczywających na kolanach.

– Chcę, byś wiedziała, że nigdy, ale to nigdy nie czytałem niczego lepszego niż twoja powieść. Dlatego nie chcę cię z niej okradać.

– Nie okradasz mnie. Jak możesz w ogóle tak myśleć? Jesteś mi najbliższym człowiekiem na świecie. Uczynisz mnie szczęśliwą, jeśli weźmiesz na siebie to trudne zadanie. Udźwigniesz je, bo jesteś silny, a ja z radością będę podglądała emocje czytelników, dysputy o książce. Przecież ty i ja to jedność – przekonywała go.

– Dobrze, Saro. Zgadzam się, jeśli ma cię to uszczęśliwić, to się zgadzam. Pojadę do wydawnictwa najszybciej, jak się da, i przekonam właściciela, by powieść ujrzała światło dzienne. Jest tego warta.

– Dziękuję, kochany. Sukces powieści będzie naszym wspólnym sukcesem. – Uśmiechnęła się łagodnie.

– Honorarium oddam tobie. Nie wezmę z tego ani rubla. Odkładaj sobie, może ono da ci niezależność od tego łotra.

– Kochany, ty odkładaj. Ja nie narzekam na brak pieniędzy, tylko na brak wolności. Teraz wierzę, że za życia zobaczę powieść. Zmień tytuł. Nazwij ją *Tajemnica*.

– Dlaczego? *Dom pełen tajemnic* bardzo mi się podoba.

– Mnie też, ale wydawca widział kartę tytułową. Może sobie przypomnieć, że to moja powieść, i jej nawet nie przeczytać. – Oparła się o poręcz kanapy. Przekonywanie Brunona wyczerpało ją. W ogóle szybciej się męczyła. Kładła to na karb ciągłego przebywania w pomieszczeniu.

– Masz rację – przyznał. – Jesteś bardzo mądrą kobietą, mądrzejszą od wszystkich mężczyzn, których znam.

– Przytul mnie, Bruno. Kto wie, kiedy teraz dane nam będzie się spotkać. Zobacz, już świta. Za chwilę będę musiała wracać, nim służba się obudzi. W domu pełno szpiegów na usługach Hipolita. – Przetarła dłonią zaparowaną szybę i spojrzała przed siebie. Woźnica tarł ręce z zimna i stukał nogami o ziemię. Sara westchnęła i odwróciła się do Brunona. – Jedyny mój, kocham cię. Nigdy nie przestanę. Wstąpiła we mnie nadzieja, choć wiem, że marzenia o małym, skromnym domku to mrzonki, ale te mrzonki pozwolą mi przetrwać długie, samotne godziny w zamknięciu.

– Kocham cię, Saro. Moja jedyna, najwspanialsza miłości.

– Nie przestawaj do mnie pisać – poprosiła jeszcze, zanim wysiadł. Obserwowała, jak odwiązuje konia, a potem wskakuje na grzbiet wierzchowca i się oddala.

– Wszystko w porządku, księżno? – spytał stangret z pokerową miną. – Możemy ruszać?

– Tak, ruszajmy – zezwoliła.

A kiedy woźnica zatrzasnął drzwi powozu, wyczerpana, opadła na oparcie kanapy i dopiero teraz pozwoliła sobie na łzy. Kto wie, kiedy dane nam będzie się spotkać – pomyślała zdruzgotana. Nie widzieli się przecież niemal pół roku. Nagle spadła na nią wielka samotność. Wyobraziła sobie poród i dziecko, na które nikt oprócz niej nie czeka. Przecież Bruno nie będzie znał daty rozwiązania, dowie się o tym po kilku dniach z listu przekazanego mu przez Martę, a Hipolit? Jego to dziecko w ogóle nie obchodziło. Nie chciał go. Sara dopiero teraz zaczęła się na poważnie zastanawiać, dlaczego właściwie okłamał świat, że jest ojcem. Nierówności wyboistej drogi bardzo jej dokuczały. Chciało jej się pić, a nie zaopatrzyła się nawet w wodę. Przelknęła ślinę i znużona, obolała i zziębnięta skuliła się na kanapie. Poczuli się tak, jakby była samiutka na świecie.



W bibliotece panował półmrok. Większość świec zdążyła się wypalić, ale Hipolit przegonił służbę, bo nie lubił, gdy mu przeszkadzano w myśleniu. A miał o czym rozmyślać. Lubił bawić się ludźmi, ustawiać wszystkich jak pionki na szachownicy. Czuł się jak arcymistrz. Upajał się skrajnymi emocjami tych, których dosięgła jego zemsta. Nikomu nie odpuścił, a zemstę lubił smakować na zimno. Do niszczenia swoich wrogów wykorzystywał swoją pozycję towarzyską, majątek i dobre stosunki z zaborcą. Nie odpuszczał nikomu. „Wolę, żeby się mnie bali, niż poklepywali dobrodusznie po ramieniu. Dobrocią się szacunku nie zdobywa” – zwykł mawiać. Tak, karmił się przerażeniem w oczach tych, których dosięgła jego ręka sprawiedliwości. Obserwował, do czego zdolne są kobiety ratujące z opresji swoich mężów, narzeczonych, kochanków. Oddawały mu się i te biedne, i te dystyngowane, zamożne. Lubił, gdy stały przed nim nagie, bezbronne, czekające na łaskę, a on litości nie okazywał. Wchodziły do jego sypialni dumne, nieposkromione, a on je poskramiał. Wychodziły od niego złamane, bojaźliwe i jeszcze bardziej skłonne do ustępstw. A wówczas już go nie interesowały. Owszem, brał je jeszcze do sypialni, ale tylko do czasu, aż znalazł nową ofiarę. Jediną kobietą, do której żywił nieco głębsze uczucie, była Helga. Do niej wracał po każdej cielesnej przygodzie z tą czy inną. Helga go rozumiała, pocieszała, wspierała i nie liczyła na nic więcej. A przynajmniej tak myślał. To też zdziwił się, gdy weszła do biblioteki, usiadła w fotelu i założyła nogę na nogę. Jej długa ciemnoniebieska suknia z dość odważnym dekoltem odsłaniała sporą część ponętnego biustu, a długie, czarne włosy spływały falami na plecy i ramiona. Uśmiechała się, choć oczy pozostały poważne.

– Dawno u mnie nie byłeś, Hipolicie. Nie zabrałeś mnie w ostatnią podróż. Było mi przykro – poskarżyła się. Z jej ust nie schodził uśmiech, ale z tonu jej głosu jak i z całej postaci wycierał smutek.

– Ostatnia podróż była krótka. Tylko do Warszawy. Nudziłabyś się. Całe dni załatwiałem interesy. – Machnął ręką i podszedł do stolika, na którym stały najprzedniejsze trunki. Odkorkował wino i nalał do kryształowego pękatego kieliszka, wypił duszkiem, dopiero wtedy nalał również Heldze.

– A noce? Kiedyś zabierałeś mnie z sobą nawet w jednodniowe podróże.

– Myślałem, że jest ci ze mną dobrze. – Zmarszczył brwi i skrzywił usta w grymasie. Po kim jak po kim, ale po osobie najbliższej sercu nie spodziewał się wyrzutów.

– Jest mi dobrze, choć ostatnio brakuje mi naszych figlarnych nocy. Twojego śmiechu i rozmów do rana. – Popatrzyła na świecę, której płomień się zachybotał i zgasł. I ja tak zgasną jak ta świeca... Zamyśliła się. Ostatnio nachodziły ją dziwne myśli. Czasami żałowała, że w ogóle zadała się z księciem. Teraz nie pasowała do żadnego świata, ani do służących, ani do jaśnie państwa. Nie miała wykształcenia, a jedynie obycie w świecie, które nabyła w licznych podróżach. Nosila piękne stroje, ale nie dysponowała żadnym zabezpieczeniem na przyszłość. Nawet biżuterią czy futrami, które w razie czego mogłaby spieniężyć. Żyła z dnia na dzień. Wprawdzie pracując w kuchni, nie zobaczyłaby tylu wspaniałych rzeczy, ale miałyby zapewnić byt i jako taką stabilizację. Odrzuciła te rozmyślenia i spojrzała na Hipolita. – Brakuje mi ciebie. Czasami czuję się odtrącona...

– Nie mów tak. Nie lubię jęczących kobiet – przerwał jej naburmuszony. Nie po to miał stałą kochankę, żeby teraz mu marudziła. – Powiedz lepiej, co działo się we dworze, kiedy mnie nie było. – Podniósł jeden kącik ust i zmrużył oczy. Spodziewał się rzetelnej relacji i się nie pomylił.

– Różne plotki krążą po korytarzach – zaczęła niepewnie. – Mówią, że księżna wymknęła się nocą. Kazała zaprząć konie i wróciła dopiero nad ranem. Pomagała jej ta... – Zaciśnęła zęby, z trudem powstrzymując się od wyzwania Marianny od ładacznicy. Wyjątkowo jej nienawidziła. Inne kobiety, szczególnie te na jedną noc, przyjmowała spokojniej, ale Podolską najchętniej złapałaby za te rude kudły i wywaliła z pałacu. To ona przywłaszczyła sobie Hipolita. Przesiadowała z nim wieczorami w bibliotece, przez co Reszko odsunął od siebie kochankę i zburzył łączącą ich intymną relację. To przez tę wstrętą kuzynkę Sary Helgę coraz częściej nachodziły myśli o ponurej egzystencji, jaka niechybnie ją czeka, gdy tylko książę się nią znudzi.

– Masz na myśli Mariannę?

– Tak, właśnie ją. Tę wścibską, wredną, rudą paniusią. – Nie powstrzymała się od wyjawienia swoich prawdziwych emocji.

– Ha, ha, ha! Nieźle żeś ją podsumowała. – Śmiał się donośnie, grubiańsko.

– Nienawidzę jej! Nie cierpię! – Zerwała się z fotela. Czowała, jak opanowuje ją wściekłość i frustracja.

– No, już, już, Helga, uspokój się. Nie lubię, jak jesteś zazdrosna – rzucił, wybuchając jeszcze co chwila tubalnym rechotem.

– Nie jestem zazdrosna – skłamała.

– Jesteś. A każda zazdrosna kobieta traci na swej atrakcyjności. Zresztą, nie masz powodu być zazdrosna o tę głupią dziewuchę. Była mi tylko potrzebna do jednej rzeczy. Już to zresztą

załatwiłem.

– Powiesz mi, o co chodzi? – Uśmiechnęła się z przymusem. – Zachodzę w głowę, co ciekawego wymyśliłeś tym razem. Tylko ty wiesz, gdzie nacisnąć, żeby ruszyła lawina. Pamiętasz, jak jeszcze niedawno zdradzałeś mi, na kim się zemścisz i kto będzie skamleć u twych stóp jak piesek? Teraz też chciałabym wiedzieć, co nacisnąłeś i kto padnie na kolana. – Zaśmiała się beztrząsco, choć wcale jej do śmiechu nie było.

– Moja żona. – Odstawił szkło zbyt gwałtownie i kryształ rozsypał się w jego dłoni w drobny mak. – Ki diabeł? – Zmarszczył brwi, otrzepał dłonie i wyjął nowy kieliszek.

– Twoja żona? To jest coś! Wreszcie! – Nie skomentowała rozbitego szkła, bo zasłyszane wieści zbyt ją zaintrygowały. Kiedyś wprawdzie bardziej ucieszyłaby ją ta wiadomość. Teraz przyjęła ją z mieszanymi uczuciami. Niby się cieszyła, ale nie aż tak bardzo, jak się tego spodziewała. Dawno temu naiwnie wierzyła, że gdyby Sarze coś się stało, ona zajęłaby jej miejsce, ale po zaakceptowaniu przez księcia dziecka spłodzonego z kochankiem nie miała już złudzeń, że Hipolit pozbędzie się żony. Nie rozumiała jego postępowania. Zapewniał stale, że jego połowica jest mu obojętna i że zaledwie toleruje jej obecność w swoim domu, a gdy w końcu nadarzyła się okazja, by ją pogonić, zachował się jak zakochany mąż. W dodatku liczyła się też z tym, że wkrótce jakaś inna kobieta może zagościć w sercu Reszki, a dla niej nie będzie już miejsca. Mimo paskudnego charakteru nie narzekał na brak zainteresowania kobiet. Nawet dużo młodszych od siebie.

– Tak. Moja żona. Wybiła godzina zemsty. Należy jej się to, na co zasłużyła. Właśnie w tej sprawie bawiłem w Warszawie. Powiem ci, że wymyśliłem przednią zabawę. Przekupiłem wydawcę, żeby wydał jej powieść, ale pod nazwiskiem kochanka. Autorem został Bruno Dzikowski. Ba, nawet zapłaciłem za wydanie, bo wydawca początkowo kręcił nosem. – Podchmielony, rozgadał się, nie kryjąc chępliwości z tak perfekcyjnie zbudowanej intrygi.

– Och, jaki jesteś przebiegły. – Zachichotała, zachodząc w głowę, jaki interes miał w tym, by z kochanka zrobić autora powieści.

– A tak, mój plan jest genialny. Idealny. Najlepszy. Zobaczysz, co się będzie działo. – Rechotał, poklepując się po udach.

– Zdradź, proszę, coś więcej. – Przymiląca się, a potem wstała z gracją i karykaturalnie kołysząc biodrami, przeszła po bibliotece i usiadła Reszce na kolanach.

– Opłaciłem wydawcę i to hojnie. Już w przyszłym miesiącu ukaże się drukiem powieść pana Dzikowskiego.

– Ależ przecież on się na pewno z tego ucieszy. Chciałeś zrobić przyjemność kochankowi żony? – Zaintrygowana, przestała kontrolować słowa. Szybko jednak się zorientowała i zaczęła nadrabiać wpadkę jeszcze intensywniejszymi umizgami: – No, kochany mój, geniuszu, najlepszy arcyministrzu, zdradź swojej Helci, o co w tym chodzi, bo mój mały rozumek nie jest w stanie nadażyć za twoją mistrzowską strategią. – Otarła się piersiami o jego tors i musnęła go koniuszkiem języka w policzek.

– Ty kokietko. – Pogroził jej palcem i zanurzył twarz w jej dekolcie. Przejechał oślizgłymi mięsistymi wargami po aksamitnej skórze kochanki, wdychał jej pizmowy zapach, a ona śmiała się perliście z jego zalotów.

– Nooo, zdradź, kochany, to będę wiedziała, że to, co się wydarzy, to twoja piękna gra mistrzowska, a tak pomyślę, że przypadek. – Ułożyła usta w leciutko naburmuszony dziubek. Wiedziała, że tym go rozśmieszysz, i nie pomyliła się. Śmiał się z jej rozkosznej minki, a potem zatopił usta w jej ponętnych wargach.

– Nie ma przypadków – oświadczył, ocierając dłonią oślinione usta. – Przekupiłem nie tylko wydawcę. Przekupiłem wszystkich dziennikarzy, jakich dało się przekupić. Mają o książkę napisać tak podle rzeczy, że jego nazwisko zostanie na zawsze ośmieszone. Na zawsze – powtórzył mściwie.

– A ona będzie cierpiała, że naraziła literata od siedmiu boleści na taką śmieszność. – Zaśmiała się, ubawiona doskonałym planem swojego kochanka. W końcu zaczynał być w jej oczach mężczyzną. Kiedy uznał dziecko swojej niewiernej żony, sromotnie się na nim zawiodła. Wydał jej się miękki i jakaś część jej duszy przestała go kochać i podziwiać. Teraz znów jawił jej się jako uosobienie męskości.

– Ona będzie po stokroć upokorzona. Po pierwsze, nie zazna spokoju, że wplątała kochania w babską twórczość i na zawsze wykluczyła go z grona szanowanych poetów. Po drugie, ugodzę jej miłość własną. Ona myśli, że pozjadała wszystkie rozumy i że to, co pisze, jest coś warte. Ale dziennikarze dosadnie napiszą, że ta książka niewarta jest funta kłaków. Po takim ciosie już się nie podniesie i zapewniam cię, że niczego więcej już nigdy nie napisze. – Znowu zarechotał. – Myślę, że ten nędzny poeta ją znienawidzi, że naraziła go na taki afront i wykluczenie z elity artystycznej. Ze wstydu zapewne gdzieś wyjedzie, żeby porządnym literatom w oczy nie patrzeć.

– Jesteś wspaniałym strategiem. Geniusz, po prostu geniusz! Jestem z ciebie dumna, jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam – zachwycała się, ale nagle w jej oczach pojawiły się iskry gniewu.

– Co cię gryzie? – Książę zauważył ten niespodziewany zwrot emocji. – Mów szczerze, bo i tak rozgryzę, sama wiesz, że jestem w tym bezbłędny.

– Doszły mnie słuchy, że chcesz pomóc tej całej Mariannie uwolnić narzeczonego. Przekupić kogoś, żeby on odzyskał wolność. Czy ona naprawdę jest tego warta? Czy nie szkoda ci pieniędzy? Przecież taka operacja będzie cię kosztowała fortunę. – Skrzyżowała ręce na piersiach i zagryzła wargę, nie wiedziała, jak Hipolit zareaguje na jej jawną bezczelność. Ale on się roześmiał i poklepał ją po dłoni.

– Oj, Helcia, nie znasz mnie jeszcze. – Zgrzytnął nieprzyjemnie zębami i spoważniał. – Nie mam i ani przez chwilę nie miałem zamiaru go uwalniać. Zasłużył na Sybir i niech tam gnije albo i zdechnie. Niepotrzebnie wszedł mi w drogę.



Jedno się zmieniło od tamtego pamiętnego spotkania Sary z Brunonem. Nabrała odwagi i nie bacząc na konsekwencje, przestała w końcu się ukrywać w czterech ścianach swojej sypialni. Gdy tylko pogoda pozwalała, spacerowała po parku i ogrodzie, zaczęła schodzić również na posiłki do jadalni, czego nie robiła od bardzo dawna. Rzadko kiedy spotykała w sali ja-

dalnej Hipolita, a gdy już tak się zdarzyło, on ignorował jej obecność, traktując małżonkę jak powietrze. Dwa razy natrafiła nieopatrznie podczas śniadania na księcia i jego kochankę, wówczas wychodziła i kazała sobie podać posiłek w pokoju. Przestała się bać męża. Czuła się silniejsza, mimo coraz częstszej słabości ciała. Czerwiec ze względu na upały dawał się we znaki i w siódmym miesiącu błogosławionego stanu, Sara miała wrażenie, że pęknie. Przez ostatnie dwa miesiące brzuch urósł do sporych rozmiarów i jej drobna sylwetka ledwo go dźwigała. Bolały ją nogi i plecy. Wszystko to jednak znosiła dzielnie. W listach od Dzikowskiego, które teraz przychodziły niemal codziennie, otrzymywała wsparcie i zapewnienia o miłości. Wierzyła, że Bruno ją kocha. Z jego listów przebijały radość, szczęście, jakaś niedookreślona nadzieja na lepsze życie. Ona również nabrała nadziei, że mogą i będą razem.

Któregoś ciepłego, słonecznego dnia, gdy w zwiewnej szerokiej sukni oraz z szalem zarzuconym na ramiona siedziała pod rozłożystą jabłonią, przybiegła do niej Marta. Sara od razu domyśliła się, że musiało się stać coś niezwykłego, inaczej służąca nie biegłaby na przelaj, depcząc przy okazji piękną soczystą trawę, posianą wiosną.

– Pani Saro, przyszedł list do pani. Przywieźli go dziś pocztą kurierską. Z samej Warszawy – zapiszczała dumnie. – Gruba koperta. – Ekscytowała się, przekonana, że w kopercie jest książka. Wyczuła to, obmacując list. – Może przyjąć za chwilę? Jeśli chce pani zostać sama, proszę powiedzieć.

– Zostań, Marto, chcę mieć przy sobie kogoś zaufanego. – Sara uśmiechnęła się w roztar-gnieniu.

– To może pobiegnę po pannę Mariannę?

– Nie, tobie jednej ufam najbardziej. Zostań ze mną, proszę, jeśli w kopercie jest to, co my-szę, to zaraz będziemy skakały z radości. – Roześmiała się, szarpiąc kremowy gruby papier. W końcu udało jej się go rozerwać i oczom obu kobiet ukazał się piękny bordowy wolumin ozdobiony złotymi literami składającymi się na tytuł i nazwisko autora Brunona Dzikowskiego. – Och, moja książka! – Sara chwyciła się za serce. Buzowały w niej skrajne emocje. Szczęście przeplatało się z lekkim zawodem. Od młodości marzyła o chwili, w której ujrzy własną książkę wydaną drukiem. Dokładnie tak wyobraziła sobie pierwsze wydanie. Piękna, gruba oprawa, bogate złocenia i ciemnokremowe karty z dużą czcionką. Ale nigdy w swoich marzeniach nie wyobraziła sobie obcego nazwiska wytłoczonego na okładce. Trzymała w ręku swoje spełnione marzenie, ale czuła się dziwnie, jakby ktoś je wykoślawił. Nieważne, czy moje, czy jego. Ważne, że książka jest wydana, że można ją czytać, cieszyć się nią, polecać innym. Przecież to nasze wspólne dziecko, a ja zachowuję się jak egoistka – zga-niła się w myślach.

– Gratuluję, pani Saro. Dopięła pani swego. Taka książka to wielka rzecz – zachwalała słu-żąca, ale w jej głosie również dało się słyszeć wahanie.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę, oczywiście, że się cieszę, pani Saro, ale... trochę mi żal. Tyle nocy pani przesie-działa przy biurku, tyle niedopranych sukien po atramencie musiałam doczyścić, tyle szoro-wania biurka, że aż szkoda, że to nie nasza książka. – Westchnęła smętnie. – Pan Bruno na-

wet pewnie pojęcia nie ma, ile to wyrzeczeń trzeba, by napisać tyle stron. Po prostu dostał to wszystko w prezencie.

– Ta książka jest nasza, Marto – zapewniła ją Sara, śmiejąc się, że służąca utożsamia się z powieścią. Tak ją te słowa rozczuliły, że położyła swoją miękką dłoń na spracowanej dłoni Marty. Kobiety spojrzały na siebie, a w ich spojrzeniach były i radość, i smutek, i jakiś niedookreślony żal.

– Szkoda, że my, kobiety, tak mało możemy na tym świecie – podsumowała Marta. – Pan Dzikowski na pewno jest szczęśliwy, zapewne podzielił się z panią swoją radością. Ma przy sobie pani cząstkę, coś, w co włożyła pani całe swoje serce – stwierdziła służąca, westchnęła raz jeszcze i poszła do swoich zajęć.

Sara się zamyśliła. W słowach Marty było sporo racji. Bruno ma przy sobie cząstkę mnie, a ja cząstkę jego. Uśmiechnęła się i dotknęła brzucha. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że Bruno nie wysłał jej listu ani nawet bileciku. Nie wpisał też dedykacji do książki. Niewątpliwie bał się, że korespondencję przechwyci ktoś inny i jego słowa wpadną w niepowołane ręce – tłumaczyła sobie. Ale gdy pierwsza fala radości opadła, księżnę dopadła melancholia. Bruno zapewne przyjmuje teraz gratulacje, może nawet udziela wywiadu do czasopism, rozdaje autografy, a ja zostałam gdzieś poza nawiasem życia. Nie mogę się z nim cieszyć, nie mogę się do niego przytulić, nie widzę jego reakcji, czy jest dumny ze mnie, czy godnie znosi to, co przyniósł mu los. Pociągnęła nosem raz i drugi, a potem nagle roześmiała się ze swoich smutków. Co się ze mną dzieje? To pewnie przez błogosławiony stan. Popadam w skrajne nastroje. Eh, beksa ze mnie, okropna beksa – zganiała się w myślach.

Wróciła do swojej sypialni i jeszcze raz przyjrzała się książce z zachwytem. Wąchała strony, kartkowała, oglądała elegancką oprawę. A potem zatopiła się w lekturze, która pochłonięła ją bez reszty.

Wieczorem Marta z wypiekami na twarzy przyniosła list od Brunona.

– Pani Saro, wiem, że już późno, ale nie chciałam czekać do rana. Dopiero woźnica wrócił z miasta ze sprawunkami, bo dyszel im pękł na drodze i cały dzień zeszło naprawianie koła. – Wręczyła Sarze kremową kopertę. Uśmiechnęła się szczęśliwa, a potem zostawiła swoją panią sam na sam ze słowami ukochanego.

Księżna delikatnie srebrnym nożykiem do listów przecięła zamknięcie i wyjęła upragniony list. Przed przeczytaniem złożoną na czworo kartkę przycisnęła do ust, a potem do piersi.

– Napisałeś do mnie, kochany – szepnęła. – Pamiętałeś o mnie. Czuła się winna za swoje poranne przygnębienie z powodu braku kartki czy choćby bileciku od Brunona. Myślała nawet, że już jej nie kocha, a on rano dostarczył woźnicy list, żeby otrzymała go w tym samym momencie, w którym weźmie do ręki książkę nadesłaną oficjalną pocztą. Rozpostarła kopertę i zaczęła czytać na głos:

Moja kochana, jedyna, najmilsza Saro. Nie mogę wprost uwierzyć, że wszystko odbyło się tak szybko. Wydawca nie może się nachwalić powieści, jest nią zachwycony i oczarowany, a mnie przejmuje duma, bo wiem, że to z Twoich myśli się zrodziło i z Twego serca. Gdy otrzymałem pierwsze egzemplarze, czułem się troszkę jak mistyfikator, który uzurpuje sobie prawo do cudzego dzieła. Żal mi, kochana moja, bo wiem, że Twoje nazwisko powinno tu figurować. Ach, jakie smutne czasy, że tylko mężczyźni mogą odnosić sukcesy. Wiem, że chciałaś za

życia zobaczyć swą twórczość, dlatego się na to wszystko zgodziłem. Pisz, Saro, masz ogromny talent, może dożyjemy czasów, gdy kobiety będą równe mężczyznom. Kocham Cię, nieustannie myślę o Tobie i o naszym małżeństwie. Ach, jak bardzo chciałbym móc trzymać Cię w ramionach, tulić, całować, pieścić Twoje usta. Mam nadzieję, że znajdziemy możliwość, by się wkrótce spotkać, bo ta tęsknota mnie zabije. Och, byłbym zapomniiał, dostałem już pierwszą zaliczkę i tak jak obiecywałem sobie, odłożyłem ją dla nas, na budowanie naszej przyszłości. Twoje marzenie o małym skromnym domku pod lasem stało się i moim marzeniem. Kiedyś tam razem zamieszkamy, zobaczysz. Gdy będzie Ci bardzo źle, przenieś się tam myślami, a już tam będę. Kocham Cię, Saro, Twój na zawsze Bruno.

Sara odetchnęła z ulgą. Te wszystkie poranne obawy, te wstrętne myśli i majaki, były niepotrzebne, to tylko wytwór mojej bujnej wyobraźni. Przytuliła książkę i list i siedziała, dotykając i głaszcząc okładkę, dopóki nie zapadła noc.



Tego dnia wszystko szło źle. Najpierw lokaj przewrócił się, niosąc tacę ze śniadaniem, potem Marta wypuściła z rąk ozdobną wazę, która rozbiła się na kilka skorup, stangret pokłócił się ze stajennym, że konie źle wyczyszczone i powóz nieprzewietrzony, a na koniec niespodziewanie przyjechali państwo Wolscy i trzeba było szybko szykować pokoje. Służba popadła w lekką panikę, bo też przez ostatnie miesiące trochę się rozleniwili. Pan Hipolit nie miał w zwyczaju wtrącać się do spraw domowych, a i księżna nie miała ostatnio do tego głowy. Każdy więc robił, co chciał, stwarzając pozory, że wszystko idzie, jak należy. Niestety, nie szło. Pracowali po łebkach, niedokładnie, a często udawali, że coś robią, byleby zleciał dzień i byleby zejść z oczu jaśnie państwa. Pokoi dla gości od dawna nikt nie sprzątał ani nawet nie wietrzył i teraz był kłopot.

– Och, cóż za zaszczyt nas spotkał. – Hipolit klasnął w dłonie na widok teścia i teściowej. – Taka niespodzianka! Wspaniale, że nas odwiedziliście, ostatnimi czasy żyjemy jak w grobowcu. Moja małżonka zamknęła się w swoim pokoju i rzadko raczy wychodzić. Od jej choroby zawiesiliśmy też piątkowe wieczory w Karczewie, no i czasami czujemy się odizolowani od świata – kłamał jak z nut.

Na schody akurat wbiegała młoda, niedawno zatrudniona dziewczyna Józefka, niosąc do pokoju przeznaczonego dla Wolskich naręcze pościeli na zmianę.

– Biegnij uprzedzić księżną, że przyjechali jej rodzice – rozkazał dziewczynie Hipolit.

– Dobrze, proszę pana. – Józefka dygnęła i wbiegła na schody, kołysząc kształtnymi biodrami i przeskakując po dwa stopnie.

Hipolit zapatrzył się na młode zgrabne ciało panny służącej, aż poczuł na sobie karcący wzrok Klementyny, wówczas roześmiał się sztucznie i zaprosił Wolskich do salonu.

– Idź, zanieś tę pościel, gdzie trzeba, ja powiadomię księżną – mruknęła Marta, która zawsze znajdowała się we właściwym miejscu i dzięki temu nigdy nic nie umykało jej uwadze.

Zaufana służąca Sary zastanawiała się, czy Wolscy zostaną aż do porodu. Wiedziała, że jej pani i Klementyna Wolska rozstały się w gniewie krótko po ślubie pani Sary i od tego czasu ich stosunki bardzo się ochłodziły. To dobrze, że przyjechali. Czas pogodzić się z córką – pomyślała Marta.

– Moi rodzice przyjechali? – Sara zdziwiła się, nakładając jedwabny szeroki szal na ramiona, by w ten sposób zasłonić ciążowy brzuch. – Nie rozumiem, tak bez zapowiedzi? – Kręciła głową.

– Ano przyjechali. I zdaje się, że na dłużej, bo bagaży tyle, jakby na zawsze chcieli zostać. Dobrze, pani Saro, że w końcu zaczęła pani wychodzić z tej swojej samotni, bo co by sobie nasi państwo Wolscy pomyśleli – perorowała Marta, ścieląc łóżko.

– Może zrozumieliby, że fatalnie wybrali mi męża – skwitowała księżna. – Moja matka w tym względzie jest nieprzejednana, nigdy nie przyzna się do błędu, że jej latami aranżowany mariaż zwyczajnie nie wyszedł. Szkoda mi tylko ojca. Zapewne domyśla się, że życie z Hipolitem nie należy do najśłodszych. Zastanawiam się, dlaczego się nie sprzeciwił mojemu zamążpójściu, znał przecież Hipolita. Byli przyjaciółmi, a przynajmniej dobrymi znajomymi. Papcio musiał wiedzieć, jaki z niego podły typ. – Usiadła na krześle i wysunęła spuchnięte stopy, by Marta pomogła jej wcisnąć pantofle. Nie miała już siły się schylać. Brzuch w ostatnich dniach jeszcze urósł i miała wrażenie, że lada moment, nie będzie go w stanie dźwigać.

– Eh, proszę pani, ja też kiedyś cieszyłam się, że pani wychodzi za mąż za pana Hipolita Teofila Reszkę. Odmieniałam jego tytuł i nazwisko na wszystkie sposoby. Wyobrażałam sobie panią w pięknym pałacu, otoczoną zbytkiem. Wierzyłam, że pan Hipolit pokocha panią całym sercem, bo jakże pani nie kochać? – spytała retorycznie, uśmiechając się przy tym rzewnie. – Ale jednak się przeliczyłam. A co jak co, ale na ludziach to się trochę znam, a na nim się nie poznałam. Co pani Klementyna winna, że on się okazał takim draniem? Ona chciała tylko pani szczęścia. Teraz na pewno też cierpi. Przecież docierają do niej informacje, że jej córka jest nieszczęśliwa – mówiła przejęta, zapominając, że rozmawia z samą księżną i swoją paplaliną może jej sprawiać przykrość. – Niechże pani teraz będzie miła dla pani matki. Toż nie wolno chować urazy, choćby i słusznej. Ona wkrótce babcią zostanie i to dzieciątko pokocha całym sercem.

– Masz rację, Marto. – Sara odwróciła się w stronę lustra, a Marta wzięła szczotkę i rozczesła jej piękne, jasne jak pszenica włosy, a potem splotła je w warkocz, by na koniec upiąć go w wygodny kok. – Jesteś bardzo mądrą życiowo kobietą – pochwaliła ją Sara. Twoje uwagi niemal zawsze są trafne i wyważone.

– Ja młoda jestem, ale życie znam, bo dużo obserwuję i słyszę. Nie znaczy, że podsłuchuję – zastrzegła szybko, bo niektórzy ze służby śmiali się z jej gumowego ucha, co Martę wprowadzało z równowagi. – Niektórym ufać nie warto ani im się zwierzać nie można. – Popatrzyła na swoją panią wymownie, nie zdradzając, kogo ma na myśli, ale księżna Reszko nie odwzajemniła spojrzenia, tylko pośpiesznie wstała od toaletki, poprawiła szal, by jako tako zasłonił brzuch, i wyszła z pokoju.

Pomna na słowa służącej, przywitała się z rodzicami serdeczniej, niż mogliby tego oczekiwać. Ta wylewność wzruszyła szczególnie Ambrożego. Przytulił córkę, roniąc łzę. Sara wyglądała pięknie, mimo wyraźnie zniekształconej sylwetki, którą zasłaniała jedwabnym granatowym szalem, przetykanym suto złotą nicią. Maskowała ciążę, ale i tak nie dało się ukryć, że to już ostatnie tygodnie.

Po obiedzie i spacerze po parku, usiedli we czwórkę w salonie wypoczynkowym, by przy kawie i deserze porozmawiać o ważnych i błahych sprawach. Mówił głównie Hipolit. Chełpił się powodzeniem w interesach, a także chwalił siernięzną politykę zaborcy, bo jak twierdził, niektórych trzeba za mordy trzymać, żeby nauczyć posłuszeństwa. Rodzice taktownie nie komentowali jego wywodów, opowiadali o tegorocznych bardzo dobrze zapowiadających się zbiorach, o inwentarzu, o sąsiedzkich plotkach, a także wypytywali córkę o samopoczucie.

Książę był w doskonałym humorze, dowcipkował, nawet żonie, do której nie odzywał się od miesiący, rzucił wyświechtany komplement, który skwitowała wzruszeniem ramion. Natychmiast poczuła na sobie gorszący wzrok matki. Wróciła myślami do słów Marty i pomyślała, że służąca jednak myliła się co do jej matki. Ta nigdy nie przyzna się do błędu i niczego bardziej nie pragnie jak zachowania pozorów. Sara doznała przykrego wrażenia, że żyje w wyimaginowanym świecie. Każdy tu odgrywa rolę, jak w marnym przedstawieniu, i nikt nie ma odwagi zawołać, że cesarz jest nagi.

Po kilkunastu minutach niemal bezszelestnie wszedł lokaj i jak zawsze w porze popołudniowej rozłożył na stoliku czasopisma. Hipolit z na pozór obojętną miną sięgnął po pierwszą z brzegu gazetę. Przekartkował ją, ale nagle wydał z siebie nieartykułowany jęk udawanego zachwyty.

– Och, no proszę, nasz znajomy literat pan Dzikowski wydał powieść – zawołał z teatralnym zdziwieniem. – *Tajemnica*. Ha! Zmyślny tytuł. Cóż to za tajemnice może mieć pan artysta? Pewnie jakieś miłostki opisał. No ale trzeba będzie przeczytać, wszakże cenimy i wspieramy przyjaciół, prawda, moja droga żono? – Spojrzał na Sarę z ironią, ale ona przymknęła oczy, by nie zdradzić kotłujących się w niej emocji.

– Oczywiście, trzeba będzie mu pogratulować – stwierdziła po chwili ze spokojem, na jaki tylko było ją stać. – W jakiej prasie o tym donoszą?

– W „Gazecie Warszawskiej”. Chcecie posłuchać? – zwrócił się do teściów.

– Oczywiście, chętnie posłuchamy. – Teściowa przenosiła skonsternowany wzrok to na zięcia, to na córkę. Zdawała sobie sprawę, kim dla Sary jest Bruno Dzikowski. Patrząc na bez trosko uśmiechniętego Hipolita, zadawała sobie pytanie, czy on jest tego świadom. Po chwili doszła do wniosku, że jednak nie. Inaczej nie cieszyłyby go sukcesy rywala.

– Jeśli musisz, to czytaj – skwitowała Sara. Najchętniej wzięłaby gazetę i zaszyła się w swojej sypialni, gdzie w ciszy i w intymności, rozkoszowałaby się każdym słowem. Poza tym krępowano ją, gdy Reszko tak swobodnie grał przedstawienie przed jej rodzicami. Znow pomyślała, że ich dom jest pełen tajemnic. Pełen tematów, których nie wypada lub nie można poruszać. Była tym zmęczona, nie pozostawało jej jednak nic innego, jak również grać w tym przedstawieniu.

– A zatem, moi kochani, posłuchajcie, co piszą o naszym kochanym literacie. Zaraz, zaraz, tylko otworzę na dziale „Literatura i Sztuki Piękne”. O, mam. Cóż tu piszą o książce? Nie dalej jak dwa dni temu wyszła drukiem powieść młodego literata Brunona Dzikowskiego. Pan Dzikowski dotąd pisał poezję i może dobrze byłoby, gdyby na poezji poprzestał. Wziął się jednak do pisania romansów. Od pierwszej strony historia jest nudna, a do tego wulgarna. Są w niej opisy cielesnych uciech i oszustwa wobec bliskich. Miejmy tylko nadzieję, że ta historia, nie-

godna czytania, nie wpadnie w ręce młodych, dopiero co wkraczających w świat panienek z porządnymi domów. Jest to literatura niskich lotów w dodatku pozbawiona moralności. – Hipolit zaśmiał się chrapliwie, odłożył gazetę i nabił tytoń do fajki. – No, no, cóż ten nasz pan literat nawypisywał na kartach swojej powieści, że tak go besztają? Może warto przeczytać? Zobaczmy lepiej, co w innej prasie, może coś o gospodarce będzie – powiedział niewinnie.

Sara skubała nitki z długiego granatowo-złotego szala. Policzki jej płonęły, a w oczach stały się łyzy. Klementyna wierciła się niespokojnie, a Ambroży zacisnął dłonie na poręczach fotela. Tymczasem Hipolit sięgnął po „Kurier Warszawski” i z radością zawołał:

– O, kochani, co tam gospodarka, tu też piszą o książce naszego zacnego pana literata...

– Dość już, Hipolicie. Głowa mnie rozboleła od tych czasopism. Zostawmy temat książki pana Dzikowskiego. Sam niech pije piwo, którego nawarzył. Z taką bezlitosną krytyką nie wróżę mu pisarskiej kariery, niech się zajmie czym innym, ale to nie nasza sprawa – obwieściła stanowczo Klementyna. – Saro, co tobie? Źle się czujesz? – Spojrzała z niepokojem na córkę. Twarz Sary, jeszcze niedawno rumiana, teraz pobleadła, zrobiła się niemal przeźroczysta.

– Nic mi nie jest – ucięła krótko. – Podasz mi te gazety? – zwróciła się do męża.

– Oczywiście, ale proszę. W końcu jesteś poniekąd odpowiedzialna za jego książkę. – Wbił w żonę bezlitośnie surowe spojrzenie, od którego zrobiło jej się słabo.

– Co masz na myśli? – spytała strwożona, zastanawiając się w panice, jak to możliwe, że jej tajemnica wyszła na jaw. W głowie jej pulsowało i nie potrafiła pozbierać myśli. Ach, więc on wie o mojej i Brunona mistyfikacji. Albo domyślił się, że to moja książka, albo ktoś mu powiedział. Ale kto? – analizowała gorączkowo. – Marianna? Niemożliwe. – W końcu zdobyła się na odpowiedź, która kosztowała ją wiele wysiłku: – Nie pojmuję, w jakim stopniu mogłabym być odpowiedzialna za powieść pana Dzikowskiego.

– Och, Saro, nie bądź taką skromnisią. Przecież nie gdzie indziej, a właśnie u nas w Karczewie rozkwitał jego talent, na twoich szumnych piątkowych wieczorach. W całej Warszawie o nich głośno. Jak byłem ostatnio w interesach, to wielu ludzi mnie o nie dopytywało. – Chętnie się fałszywie sukcesami żony, jakby nigdy nic. – Można powiedzieć, że go wychowałeś. Powołałeś do życia jego talent. Byłaś jego muzą...

– Dobrze, daj mi te gazety – przerwała mu. – Sama chcę przeczytać, co piszą o moim wychowanku – zadrwiła. Kątem oka dostrzegła zdumione spojrzenia rodziców, ale spuściła wzrok, bo nie wiedziała, jak inaczej może zareagować.

Czytając, oddychała coraz szybciej, serce waliło jej jak młot, bała się, że za chwilę zemdleje. Robiło jej się na przemian to zimno, to gorąco. Dziecko w brzuchu też szamotało się niespokojnie. We wszystkich gazetach pisano o jej powieści, mieszając z błotem twórczość Brunona Dzikowskiego, a i często samego autora. Wytykano mu, że jest to literatura \grająca na płytkich emocjach. Wyśmiewano, szydzono, karcono, wytykano wyimaginowane błędy i wróżono rychły koniec kariery. Zdruzgotana Sara z trudem łapała powietrze.

– Och, dziecko, żeby aż tak przeżywać nieudany debiut jakiegoś marnego literata? – Matka skrzywiła się z niesmakiem, odstawiając filiżankę. – I cóż z tego, że jego pozał się Boże

talent rozkwitał tutaj, pod twoim dachem. Nie masz z tym nic wspólnego, nie wolno ci aż tak się przejmować głupim pismakiem.

– Prawda, mamusiu? – zachichotał Hipolit. – Nie wolno, skarbie, aż tak przejmować się krytyką literacką, która przecież ciebie nie dotyczy. Uspokój się, kochanie, bo zaszkodziś sobie i dziecku – mówił z przejęciem, ale w każdym słowie Sara odczuwała okrutną drwinę.

– Kochanie, naprawdę możesz zaszkodzić sobie i dziecku. – Ojciec popatrzył na nią z troską. Wydawało się, że domyśla się, że coś jest nie tak. – Może chcesz się położyć, za dużo emocji, jak na jeden raz.

Sara nie zdążyła odpowiedzieć, bo do pokoju wbiegła Marianna. Prezentowała się jak półtora nieszczęścia. Miała czerwone oczy i wyraźne cienie pod nimi. Wyglądała, jakby przeplakała kilka dni z rzędu. Zebrani w salonie zamarli. Hipolitowi uśmiezek zgasł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmarszczył brwi z niesmakiem i spojrzął na dziewczynę.

– Marianno, co się stało? – Sara podniosła głowę i zrobiła ruch, jakby chciała zerwać się z fotela, ale pod wpływem nagłego szoku nie mogła udźwignąć masy własnego ciała.

– Och, Marianno, dziecko, jak ty wyglądasz? – Klementyna załamała ręce. – Czy wszystko u ciebie dobrze? Wyglądasz, jakby ci ktoś umarł. Co się wydarzyło?

– Chodź, usiądź i opowiedz, co się stało. – Ambroży podszedł do dziewczyny i chciał ją podprowadzić do fotela, ale mu się wyrwała. Wolski odsunął się więc dwa kroki, ale nadal pozostał w pobliżu, żeby służyć pomocą w razie nieszczęścia.

– Nie, nigdy nie usiądę z tym potworem w jednym pomieszczeniu! – krzyknęła rozdygotana.

– No, no, nie zapominaj się. Grzeczniej, proszę – mruknął Hipolit. – Nie podoba się w Karczewie, to nikt cię na siłę tu nie trzyma. Sama powinnaś się domyślić, że czas twojej wizyty znacznie się przedłużył – oświadczył i jak gdyby nigdy nic nałożył sobie na talerzyk kawałek świeżo upieczonego ciasta drożdżowego ze śliwkami.

– Hipolicie... nie przesadzaj... Nie widzisz, że dziewczyna cierpi? – Wolska upomniała zięcia. – Codziennie dziękuję niebiosom, że Marianna towarzyszy Sarze i mieszka z wami przynajmniej do rozwiązania. Kobiety potrzebują wzajemnego wsparcia – zakończyła przemowę i zwróciła się do siostrzenicy: – Marianno, powiesz nam co się stało? Jesteś roztrzęsiona, usiądź, ktoś ci zaraz zaparzy melisy. Nie wolno się tak denerwować ani tym bardziej nikomu ubliżać – pouczyła ją jak nauczycielka niesforną uczennicę.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła Podolska do Hipolita. – Nienawidzę! Oczy jej płonęły nienawiścią. Z prawego kącika ust ciekła strużka śliny, miedziane włosy rozsypały się w nieładzie. Wszyscy w salonie zastygli wstrząśnięci. – Nienawidzę cię, ty kanalio! Jesteś podły, najpodlejszy, wstrętny, okrutny!

– Zamknij się i wynocha stąd, czarownico! – rzucił Reszko z pełnymi ustami, okruszki przeżuwanej przez niego drożdżówki rozprysły się po dębowej podłodze. – Wynoś się stąd! – krzyknął, gdy zdołał przełknąć zlepek z ciasta. – Bądź łaskawa wyjść stąd natychmiast, jeszcze dziś każe zaprzęgać powóz i wracaj, skąd przyjechałaś.

– Nie – oświadczyła spokojnie Sara, mierząc męża stanowczym wzrokiem. – Marianna nigdzie nie pojedzie. Jest moim gościem. – A potem zwróciła się bezpośrednio do kuzynki: –

Opowiedz, proszę, co się stało. Dość już tego domu pełnego tajemnic. – Księżna wygramoliła się z fotela, podeszła do Marianny i objęła ją czule.

– Twój mąż... na jego rozkaz... to on... – Podolska szlochała, nie mogąc wydobyć głosu. – To on... stoi za tym... że Nikodem... jest teraz prowadzony... na Sybir. – Trzęsła się, wyrzucając z siebie oskarżenia. – Zakuli go w kajdany... i wyprowadzili z miasta... – Rozdarła się histerycznie jak zarzynane zwierzę.

– Nie mam z tym nic wspólnego. – Reszko odchrząknął i sięgnął po cygaro. – Ten człowiek, ten twój cały Nikodem, chciał uniknąć kontrybucji i naraził się władzom. No i o czym tu dłużej deliberować? – Wzruszył ramionami, uznając temat za skończony. – Owszem, chciałem dać łapówkę komu trzeba, ale nie miałem ku temu sposobności, więc musi odpokutować winy.

– Ty podły chamie, ty bandyto! Zwodziłeś mnie, okłamywałeś! – Szlochała się w ramionach Sary.

– Cichutko, już dobrze, kochanie. – Księżna przemawiała do niej jak do dziecka, starając się ją uspokoić, choć sama trzęsła się z emocji.

– Twój mąż, twój mąż... on mnie strasznie skrzywdził, on mnie... – Pragnęła wyjawic Sarsze, że jej mąż ją wykorzystał, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło, szlochała więc tylko, a spazmy rozpaczy szarpały jej ciałem.

– Marianno, proszę się natychmiast uspokoić. – Głos Klementyny smagnął młode kobiety niczym uderzenie batem. – Jesteś w domu mojego zięcia, jeśli spotkała cię tu jakaś przykrość, proszę się uspokoić i opowiedzieć nam o tym, ale bez hysterii. Kto to widział, żeby młoda dama popadała w takie egzaltacje. Wstyd mi za ciebie. Widzę, że Adelajda nie potrafiła cię wychować. – Westchnęła.

– Ależ Klementyno – obruszył się Ambroży. – Trochę więcej taktu.

Hipolit odłożył fajkę i podniósł się z fotela. Poczzerwieniał na twarzy, na czoło wystąpił mu pot. Przetarł go dłonią tak niefortunnie, że przekrzywił perukę, która teraz karykaturalnie zasłaniała mu połowę twarzy. Początkowo próbował ją poprawić, ale w końcu odrzucił ją na fotel, z którego wstał, mnąc pod nosem przekleństwa. Oczom zebranych ukazała się łysa, blada, niekształtna głowa księcia. Klementyna przyłożyła chusteczkę do ust, a jej oczy zrobiły się wielkie jak srebrne trzydzieści kopiejek lub dwa polskie złote wybite w warszawskiej mennicy. Z jej ust dobył się jęk, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, bo Reszko podszedł energicznie do przytulonych młodych kobiet.

– Widzę, że muszę załatwić sprawę po męsku. – Brutalnie odciągnął ramię żony, aż ta się zatoczyła i upadła na kanapę. Klementyna i Ambroży patrzyli przerażeni na tę scenę. – No już, wynocha stąd! Spakuj swoje rzeczy i jeszcze dziś masz opuścić mój dom. Nie chcę cię więcej widzieć. – Złapał Podolską za ramię i ściskając niczym żelazną obręczą, pociągnął za sobą, by wyprowadzić dziewczynę z salonu.

Ambroży zerwał się z miejsca, ale nie miał pojęcia, co ma zrobić. Bić się z własnym zięciem, dawnym przyjacielem przecież nie mógł.

– Hipolicie, ty też się uspokój – poprosił nieśmiało. – Puść ramię panny Podolskiej. To nie przystoi szlachcicowi, arystokracie – poprawił się.

– On mnie zgwałcił! – krzyknęła Marianna. – Brutalnie wykorzystał! Pobił! Saro, twój mąż jest potworem! – krzyknęła, ale jej głos zginął gdzieś na schodach, bo Hipolit, nie bacząc na prośby teścia, siłą wyprowadził Mariannę.

W salonie zapanowała martwa cisza. Stłumione krzyki Podolskiej w końcu ucichły, a oni patrzyli po sobie oszołomieni i zdruzgotani. Żadne z nich się nie odezwało. Nagle Sara z przerażeniem spojrzała na brzuch. Poczowała wilgoć na nogach, a spod jej spódnicy wypłynęła strużka wody.

– Och, ja... ja... zaczyna się – jęknęła.

– Co się zaczyna? – Błada jak upiór matka patrzyła na córkę nieprzytomnym wzrokiem. Ręka z białą chusteczką, którą się wachlowała, zatrzymała się na wysokości twarzy.

– Dziecko idzie na świat – wyszeptała pobladytymi wargami.

– Przecież to jeszcze dwa miesiące. – Wolska uniosła brwi w zdziwieniu.

– I cóż z tego, kiedy ja rodzę...

Ambroży podbiegł do córki i posadził ją na kanapie, a potem wybiegł i polecił stangretowi Reszków jechać natychmiast po lekarza. Stojąca w drzwiach kuchennych Marta, wstrząśnięta awanturą sprzed chwili, teraz na wieść o rozpoczynającym się porodzie kazała przygotować kucharce gar gorącej wody i zanieść do sypialni pani, nowej służce poleciła przynieść czyste ręczniki i prześcieradła, a Ambrożemu przy pomocy lokaja nakazała zaprowadzić panią Sarę do sypialni. Klementyna powoli podniosła się z fotela i ruszyła za dziwnym orszakiem.

Na schodach minęli Hipolita. Chciał chwycić żonę pod rękę, ale ta się wyszarpnęła.

– Zostaw, bandyto! Nie dotykaj mnie!

– A niech was diabli wezmą! – ryknął Reszko czerwony ze złości. Zbiegł po schodach, klnąc i wyzywając wszystkich dookoła. Wszedł do salonu, chwycił perukę, energicznymi ruchami nałożył ją sobie na łysą głowę i wybiegł z budynku.

– Córeczko, trzymaj się dzielnie, kochana moja. – Ambrożemu łzy płynęły po twarzy. Nie miał możliwości ich wytrzeć, więc pociągał nosem od czasu do czasu, nie panując nad emocjami.

– Tatku, idź do Marianny i poproś ją, by nie wyjeżdżała. Proszę cię – szepnęła Sara słabym głosem.

– Oczywiście, córeczko, choć to wszystko teraz jest nieważne, liczy się tylko to, byście ty i dziecko byli zdrowi – szepnął ojciec przy jej pokoju. A gdy za kobietami zamknęły się drzwi, zszedł do parku i zaczął płakać. Wiele by dał, by móc cofnąć czas. Jego jedyna córka trafiła w ręce sadysty. Skąd mogłem przypuszczać, że to taki łachmyta? – pytał sam siebie, ale wtedy odpowiadało mu sumienie, że momentami podejrzewał, że to małżeństwo nie będzie szczęśliwe, a jednak posłuchał żony i oddał córkę mężczyźnie starszemu od niej aż o dwadzieścia dziewięć lat. Wierzył jedynie, że Hipolit pokocha swoją żonę, ale już wtedy podejrzewał, że Sara nie pokocha męża nigdy. – Tak, skazaliśmy ją świadomie na nieszczęśliwe życie, a teraz zbieramy tego owoce – powiedział do siebie i zakrył twarz dłońmi. Modlił się, by Sara mimo tak strasznych przeżyć, jakie były dziś jej udziałem, szczęśliwie urodziła. Uświadomił sobie, że to dopiero koniec siódmego miesiąca, i pobladł z niepokoju o to niewinne maleństwo. Później przypomniał sobie o prośbie córki, wstał z ławki i powlókł się z powrotem do tego prze-

klętego domu, którego szczerze nienawidził. Musiał porozmawiać z Marianną i prosić ją, by została, dopóki Sara nie wydobrzeje.



Kiedy stangret Reszków poinformował lekarza, że jaśnie pani rodzi, medyk bardzo się tym przejął. Wszak datę porodu przewidywał na koniec sierpnia, a dopiero była końcówka czerwca. Pomyślał, że czeka go trudna noc. Pierworódka zawsze oznaczała kłopoty, a cóż dopiero przedwczesny poród. W jego lekarskiej karierze tylko raz udało mu się uratować dziecko, które przyszło na świat miesiąc przed czasem, choć i z tym były kłopoty. Gdy powóz zatrzymał się przed okazałym pałacem Reszków, chwycił torbę i niezatrzymywany przez nikogo, wbiegł po schodach wprost do pokoju księżnej.

Sara, blada jak płócienne prześcieradło, którym była przykryta, wydawała z siebie ciche jęki, Klementyna siedziała z łokciami opartymi o toaletkę i ze spuszczoną głową mamrotała pod nosem słowa modlitwy, Marta miękką ściereczką ocierała księżnej pot z czoła, a przy okazji rąbkiem fartuszka swoje łzy.

– Och, jest pan wreszcie, panie doktorze! – Klementyna zerwała się z miejsca i podbiegła do doktora, jakby miała zamiar rzucić mu się na szyję. – Długo kazał pan na siebie czekać – zganiała go.

– Witam, drogie panie. Przybyłem najszybciej, jak się dało, szanowna pani. – Postawił torbę medyczną na stoliku przy kominku i popatrzył na rodzącą. Wyglądała mizernie. Nieprzytomny wzrok, blade, niemal sine usta, zapadła klatka piersiowa i rozdęty brzuch.

– Minęła cała wieczność, zanim pan tu dotarł – biadolili Wolska, nie dając za wygraną. – Dwie godziny, a może i dłużej, och, co za straszny dzień. – Rozpląkała się, nie potrafiąc już dłużej utrzymać emocji na wodzy.

– Proszę się uspokoić. Płacz nie pomoże, a wręcz przeciwnie, utrudni. Oskarżenia również nie. Drogi, jakie są, każdy wie. Do Karczewa mam spory kawał. Powtarzam, przyjechałem najszybciej, jak się dało. – Lekarz wyciągnął z torby słuchawkę na drewnianej, lejkowatej nóżce i zabrał się do osłuchiwania pacjentki.

– Niech mi pan powie, będzie dobrze z moją córką? – Klementyna podeszła do niego i uczepliła się ramienia medyka.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale teraz proszę panią, by nas zostawiła. – Podniósł głowę i tylko lekkim westchnieniem okazał zniecierpliwienie. – Muszę osłuchać księżną. Proszę zejść do salonu, wypić melisę, jak tylko będzie coś wiadomo, od razu panią poinformuję. – Lekarz przemawiał łagodnie, ale stanowczo. A ponieważ matka Sary nadal stała uczeplona jego ramienia, podniósł się i podprowadził ją do drzwi. Podniósł kąciuki ust w wymuszonym uśmiechu i rzucił jakieś pokrzepiające, nic nieznaczące słowa, ale kiedy drzwi za Wolską się zamknęły, uśmiech zgasł mu natychmiast jak zdmuchnięta wiatrem świeca. – Jak długo jest nieprzytomna? – Spojrzał na Martę, kobieta wyglądała na przybitą. Z trudem przełykała ślinę.

– Jeszcze niedawno była przytomna, panie doktorze. Teraz chyba straciła świadomość. Jeszcze niedawno powtarzała jego imię, ale teraz przestała, nawet już nie pojękuje, biedac-

two. – Służąca otarła oczy rąbkiem białego fartucha.

– Dobrze, proszę się uspokoić. Paniką ani płaczem nie pomożemy – powiedział miękko. – Jak pani ma na imię?

– Marta, panie doktorze. Proszę mnie nie odsyłać, chcę być pomocna. Moja pani Sara... ona jest taka drobna, taka... – Marta z całej siły zacisnęła powieki, by żadna łza się nie wyknęła. Westchnęła głośno, ale zaraz zaczerpnęła tchu jak przed skokiem do głębokiej wody i spytała: – Jak mogę panu pomóc?

– Będzie pani wykonywała moje polecenia. Najpierw proszę podstawić mi miskę i polać dłonie tym roztworem, a ja za chwilę poleję pani dłonie. I zaczniemy działać. Musimy ocucić księżną. Powinna przeć. Proszę pociąć prześcieradło i powiązać tak, żeby rodząca miała się czego chwycić. Dziecko inaczej nie wyjdzie – instruował ją, a ona starała się chłonąć każde słowo. Siłą woli odsunęła od siebie emocje, byleby tylko pomóc ukochanej pani.

Lekarz odchylił prześcieradło i rozstawił nogi księżnej, by móc ocenić sytuację. Zmarszczył czoło, a Marta od razu domyśliła się, że nie wygląda to najlepiej. Potem podsunął pod nos młodej kobiety sole trzeźwiące. Za pierwszym razem nie było reakcji, dopiero za trzecim, gdy dłużej przytrzymał, powieki rodzącej podniosły się leniwie i potoczyła nieprzytomnym wzrokiem po sypialni.

– Bru... no... prze... pra... szam... – wyjąkała cicho.

Medyk i Marta spojrzeli po sobie, a potem służąca podała mu związane prześcieradła. Poprawił węzły i przymocował do poręczy łóżka przy nogach, po czym wcisnął ten dziwaczny sznur w ręce rodzącej.

– Księżno, za każdym razem, gdy poczuje pani skurcz, proszę zaprzeć się i naciskać z całej siły – przemawiał do wólpriyatomnej podniesionym głosem. – Rozumie pani? Proszę przeć z całych sił, inaczej dziecko umrze – powiedział twardo.

Do rodzącej najwyraźniej dotarły słowa lekarza, bo skinęła głową i starała się wykonywać to, co jej kazano. Każda fala skurczów okupiona była rozdzierającym bólem i cichymi jękami. Potem kobieta opadała na łóżko bez sił, aż do następnej fali.

Marcie za każdym jęknięciem jej pani kroilo się serce. Nawilżała usta księżnej wilgotną ściereczką i przecierała jej czoło. Nagle Sara padła kompletnie wyczerpana. Leżała na wznak z zamkniętymi oczyma, z trudem łapiąc oddech, jak rybka wyrzucona na brzeg. Dłonie jej opadły i lewa zwisała poza łóżko. Wyglądała, jakby właśnie uszło z niej życie. Lekarz znów podstawił jej pod nos sole trzeźwiące, a gdy to nie poskutkowało, przyłożył ucho do ust rodzącej. Najwidoczniej usłyszał oddech, bo znów podsunął jej pod nos słoik z medykamentem, aż w końcu chlorek amonu i węglan sodu zrobiły swoje i Sara na powrót otworzyła oczy.

– Och, jak wiele kobieta musi przechodzić w tym podłym życiu – rzuciła Marta, ale lekarz nie podjął dyskusji. Dawno nie miał tak koszmarne go przypadku. Wiedział, że dziecko jest nie do uratowania, bał się jednak, że straci też jego matkę. Po jego minie i zatroskanych oczach Marta wyczytała, że nie jest dobrze. Przerażona kobieta upadła na kolana i zaczęła wznosić prośby do nieba o uratowanie jej ukochanej pani.



Hipolit zrobił chłopcu stajennemu awanturę z piekła rodem, że ten nie podstawił mu konia natychmiast, gdy tylko wszedł do stajni. Jego krzyk wystraszył wierzchowce. Zwierzęta rżały, wierzgały wypielęgowanymi grzywami, stawały dęba i kręciły się niespokojnie. Panika jednych nakręcała pozostałe, a hałas z pomieszczeń stajennych niósł się na całą posiadłość. Reszko, klnąc na czym świat stoi, odepchnął stajennego, po czym sam odryglował boks i szamocząc się, wyprowadził pięknego gniadego ogiera. Chłopak przybiegł z siodłem i pomógł panu dosiąść konia. Hipolit uderzył obcasami w wypielęgowaną gniadą sierść i pognął przed siebie, gdzie oczy poniosą.

Był z siebie zadowolony, choć nie w pełni usatysfakcjonowany. Dokonał zemsty i nic go tu już nie trzymało. Nienawidził swojej żony, brzydził się nią. Kiedyś była mu obojętna, ale kiedy dowiedział się o ciąży, zaczął ją pogardzać. Nie wyobrażał sobie wspólnej egzystencji z nie swoim dzieckiem pod jednym dachem. Póki Sara była w ciąży, nie miał takich dylematów, po prostu się nad tym nie zastanawiał, ale teraz to co innego. Wtedy chciał zamknąć gęby tym, którzy twierdzili, że on, Hipolit Teofil Reszko, nie może mieć dzieci. Teraz, gdy udowodnił, że z jego męskością wszystko jest w jak najlepszym porządku, najchętniej pozbyłby się tego bachora. Za nic nie chciał dopuścić, by dziecko kochanka dorastało w jego domu. Nie znajdował rozwiązania i gryzł się tym. Najchętniej pozbyłby się niewiernej żony i jej bachora, ale bał się pręgierza opinii publicznej. Prowadził rozliczne interesy, niektóre wymagały wielkiej dyplomacji, nie chciał zostać uznany za tyrana, który znęca się nad żoną. Wiedział, że i tak nie uchodzi za idealnego małżonka, ale nikt od niego idealności nie wymagał. Pokazywał się często z kochanką, ale wielu arystokratów miało osobiste metresy, nikt się temu nie dziwił ani nie negował. Wręcz przeciwnie, wielu zachwalało męską fantazję. Jednak porzucenie żony na stałe nie wchodziło w grę. Bywał na salonach, gdzie tylko z żoną wypadało się pokazać. W niektórych kręgach byłby spalony za porzucenie rodziny i ten fakt na pewno odbiłby się na jego interesach.

Zgrzytnął zębami i znów uderzył strzemionami w boki konia. Ogier z kłusu przeszedł do galopu, a po kolejnym uderzeniu do cwału. Wiatr smagał policzki księcia, zatykał mu nozdrza, utrudniał oddychanie, ale pęd rozładował emocje. Po godzinnej jeździe dyszał i jeździec, i koń. Przejazdka poprawiła mu nastrój, pomyślał, że nic się właściwie takiego nie stało. Wprawdzie awantura urządzona przez Mariannę stała mu ością w gardle, ale postanowił wyprzeć się wszystkiego przed teściami. Ostatecznie siłą jej do swojej sypialni nie zagonił. Sama weszła mu do łóżka. A czy mógł uwolnić Nikodema? Mógł. Po prostu nie chciał, ale z tego faktu nie zamierzał się przed nikim tłumaczyć. Uwierzą lub nie, to ich sprawa. Wzruszył ramionami, wychylił się do przodu i poklepał kark wierzchowca. Zwierzę zarżało i wyrównało krok. Hipolit Teofil Reszko chłonał podmuchy ciepłego wiatru i cieszył wzrok zielenią traw oraz bezkresem pól, aż w końcu emocje w nim całkiem opadły i wtedy pomyślał o ciepłych udach i jędrnych piersiach Helgi. Postanowił, że wyjedzie gdzieś z nią. Zabierze ją z Karczewa na kilka tygodni, może nawet miesięcy, dopóki sytuacja w domu się nie wyciszy. Coraz bar-

dziej nakręcał się tym pomysłem. W sumie nie mam na co czekać – powiedział do siebie. Mogę jechać nawet jutro. Zastanawiał się dokąd. Początkowo przychodził mu do głowy Paryż, ale szybko odrzucił tę myśl. Nie chciał narażać swoich interesów w Rosji, bo od upadku powstania, które wybuchło przecież nie tak dawno, bo zaledwie kilka lat wcześniej w listopadzie tysiąc osiemset trzydziestego roku i trwało przez prawie rok, szlachta przeciwna carowi emigrowała właśnie do Francji. Nie chciał być posądzany o współpracę z patriotami. Jego interesy były tu, w Królestwie Kongresowym, i w Rosji. No to może Odessa? Nigdy tam nie byłem, a słyszałem wiele wspaniałych słów o tym pięknym zakątku – rozczulał się nad terenami imperatora.

Te myśli sprawiły, że zapomniał o porannych sprzeczkach. Poczul się odprężony. Wreszcie znów był panem sytuacji. Koń szedł stępa, a Reszko medytował. Całkowicie uspokojony, dojechał do stajen i oddał ogiera w ręce stajennego, zdjął z głowy dżokejkę i rzucił chłopakowi pod nogi, poprawił perukę, a potem przeszedł żwirową alejką w stronę domu.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, była Helga. Szła, zamyślona, aleją róż, które w tym roku kwitły wyjątkowo pięknie. Ucieszył się na jej widok. Przywołał ją do siebie, bo zdawała się go nie dostrzegać. Nawet pomyślał, że Helga celowo chce skrócić w boczną ścieżkę, prowadzącą do kapliczki. Potem jednak doszedł do wniosku, że mu się przywidziało. Kto jak kto, ale Helga zawsze cieszyła się z jego towarzystwa. Złapał rękoma za pasek i podciągnął spodnie, brzuch, który ostatnimi czasy mocno się uwypuklił i zaczął mu przeszkadzać. Starał się go wciągać, ale skutkowało tylko na ułamki sekund. Sapnął ciężko i wyprostował dumnie ramiona, zapominając o mankamentach swojej urody.

– Co za niespodzianka. Myślałem o tobie – oświadczył, całując kochankę w policzek.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się, a oczy jej lekko rozblęły, choć cała postura zdawała się przygaszona. – W jaki sposób o mnie myślałeś? – spytała figlarnie.

– Widziałem cię w wyobraźni rozebraną, w świetle świec, namiętą i chętną do figli. – Roześmiał się rubasznie. Ona również się zaśmiała. Widział jednak wyraźnie, że coś jej dolega. Była jakby nieobecna. Przestał się śmiać i wyznał prawdę. – Myślałem o tym, żeby pokazać ci kawałek świata. Byliśmy w Moskwie, w Petersburgu, ale nigdy nie byliśmy w Odessie, a tam ponoć jest przepięknie. Kto wie, może i byłbym w stanie się tam przeprowadzić na stałe. Kupić jakiś obszerny, wygodny dwór, oczywiście pod warunkiem, że będziesz mi towarzyszyć. – Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Co ty na to?

– Byłoby cudownie. Od dawna marzę o stabilizacji. Kiedyś myślałam, że... – Zawahała się, westchnęła i umilkła. Nie wiedziała, czy może zwierzyć mu się z dawnych marzeń. Potrafił się ucieszyć, ale również unieść się gniewem, a nawet ją uderzyć. Wprawdzie przeproszał, gdy się opamiętał, ale nie raz, nie dwa musiała zakrywać pod woalką podbite oko czy rozciętą wargę. Kiedyś podniecał ją jego męski, gwałtowny temperament, ostatnio coś się w niej zmieniło. Sama nie wiedziała, czy jeszcze go kocha, od jakiegoś czasu dostrzegała wyłącznie jego wady, a tych miał bez liku.

– Że co? No, dokończ, proszę – zażądał, zaciskając zęby. Sam się zdziwił, że tak łatwo zbudził się w nim gniew. To przez te infantylne gierki. Nienawidził gierek, półsłówek, domysłów, niedopowiedzeń. Drażniły go, od razu tracił humor.

– Nie wiem, czy wypada teraz o tym mówić...
– Nie rozumiem, wytłumacz mi jaśniej, o co chodzi. – Popatrzył chmurnie na kochankę.
– Nie wypada o tym mówić, kiedy twoja żona...
– Nie chcę o niej słyszeć, czy to jasne? Mów. Mam prawo wiedzieć, o czym kiedyś myślałaś. Co było dla ciebie takie ważne, a ja tego ci nie dałem. – Nie podniósł głosu, ale zmarszczył brwi i to wystarczyło, by kobieta przybrała służalczy, potulny głos.

– Myślałam, że zostawisz dla mnie żonę. Marzyłam, że zamieszkamy razem, wyjedziemy daleko stąd, gdzie będę mogła być panią – wyjawiała w końcu pod jego beczelnie nachalnym spojrzeniem. Rzeczywiście, kiedyś marzyła o wspólnym życiu, ale teraz tamto marzenie wydało jej się odległe i wcale nie tak chciane. Od pewnego czasu zaczęła bać się kochanka, przestała mu ufać, a ostatecznym gwoździem do trumny jej wielkiej miłości i oddania była zazdrość o Mariannę. Po tym, jak podsłuchiwała ich w bibliotece, jak obgryzała paznokcie do krwi i bała się odtrącenia, coś w niej się wypaliło. Rozmyślała o tym, czy nie wrócić do służby. Zastanawiała się tylko, czy gdzieś znajdzie posadę. Przecież w księżeczce służby każdy chlebowodawca wystawiał opinię, a kto niby jej ma wystawić opinię? Księżna jej dobrej opinii nie wystawi na pewno, a księżę... Nie, wolała nie sprawdzać, co pomyślałby na taką dziwną prośbę. Mściłby się na mnie jak nic – pomyślała gorzko.

– No... to nadarza się okazja. Spełnię to twoje babskie marzenie. Kupię jakiś odpowiedni dom i zamieszkamy tam razem. Ożenić się z tobą nie ożenię. Wiem, że niektórzy zmieniają wiarę, by zostawić swoje połowice i połączyć się z nową żoną w innym obrządku, ale mnie się nie chce w to bawić. No i zresztą gdzież tam ci do żony. Jesteś prostą chłopką. Tylko śmiech by z tego wyszedł. W każdym razie nie zostaniesz moją żoną, ale będziesz się cieszyła względami żony. No i moją miłością – dodał łaskawie. – Kupię ci, co tam będziesz chciała. Ptasiego mleka ci nie zabraknie.

– Brzmi wspaniale. – Roześmiała się machinalnie. Nie wiedziała, co sądzić o tej propozycji. Kusilo ją, by przyjąć to dostatnie życie, które jej proponował. Tylko że... No właśnie, sama nie wiedziała, dlaczego im bardziej ją przekonywał, tym bardziej nie chciała z nim jechać.

– Nie mogę patrzeć na ten dom. Od kiedy zamieszkała tu moja żona – wydał groteskowo mięsiste wargi przy ostatnim słowie – ten dom wydaje mi się obcy. Możemy jechać choćby jutro. Czas, by trochę zmienić klimat i otoczenie. Jutro wyjeżdżamy. Nie martw się o suknie, całą garderobę skompletujemy tam, na miejscu. – Uśmiechnął się do swoich planów. – Fatałaszki wychodzą z mody, a w Odessie modnisie pewnie inaczej się noszą niż tutaj. Tam i klimat cieplejszy, i lato dłużej trwa.

– Tylko nie wiem, czy powinniśmy jechać teraz. – Znów się zawahała, jakby zastanawiając się, co może mu powiedzieć, a co lepiej przemilczeć.

– Dlaczego niby mam nie jechać jutro? – Zdenerwował się. – Jak chcę, to pojedę nawet i dziś. Co mi stanie na przeszkodzie? – zapytał zaczepnie.

– Twoja żona właśnie... – Znów usłyszał to dziwaczne wahanie w jej głosie. Czuł, że zaraz wpadnie w furję, a bardzo tego nie chciał.

– Rodzi? Nic mnie to nie obchodzi. Nienawidzę tego bachora. I proszę, nie mów przy mnie o nim. – Splunął z wściekłością. Nie podobało mu się, że z kobiety, z którą się tak dobrze

zabawiał, figlował i brał na różne sposoby, teraz się robi prawie święta. Żeby ją zszokować, wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu i wycedził: – Dla mnie ona i ten jej bachor mogą zdechnąć, gównu mnie to obchodzi. – Spojrzał w bok, bo od strony stajni doszło do ich uszu głośnie rżenie. Trwało kilka sekund i było przerażające. Nie zauważył więc spojrzenia Helgi, w którym zawarła smutek, przerażenie, ale i bezdenną litość. Nim na powrót spojrzał na kochankę, na jej twarzy malowały się smutek i wzgarda. – Tak, mogę to powtórzyć, dla mnie ten bachor może zdechnąć. I nie patrz tak na mnie, bo doprowadzisz mnie do wściekłości. – Zdenerwował go jej wzgardliwy wzrok. Członki mu zadrżały w hamowanej wściekłości, spiorunował wzrokiem kochankę i już wiedział, że za to pełne pogardy spojrzenie przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Jego plany co do niej właśnie legły w gruzach. Nigdzie jej nie zabierze, nie pokaże jej wielkiego świata ani nie kupi dla niej domu, tylko wygoni, gdzie ją oczy poniosą. Zanim jednak wykrzyczał swój gniew, usłyszał ciche, spokojne słowa.

– Twoja żona właśnie powiła martwe dziecko – powiedziała Helga i zakryła twarz dłońmi.

Zatkało go. Trochę przeraził się swoich wcześniejszych złowróżbnych słów, które okazały się prorocze. Dla dodania sobie animuszu roześmiał się, ale śmiech zabarwiony strachem zabrzmiał pokracznie i fałszywie. Zaraz jednak wytłumaczył sobie, że nie będzie zawracał sobie głowy żoną, jej kochankiem i ich bachorem, którego dopadła sprawiedliwość.

– I bardzo dobrze. Należało jej się. Zemsta okazała się skuteczniejsza, niż planowałem. Teraz czas na odpoczynek. Jutro jadę do Odessy, ale bez ciebie. Ty jeszcze dziś spakujesz manatki. Do wieczora ma cię tu nie być – rzucił mściwie, wyminął kobietę i sadząc zamaszyste kroki, udał się wprost do kuchni poszukać nowej płóchej dziewczyny z krągłymi biodrami, którą rano spotkał na schodach. Z niej zrobię panią – pomyślał. Nie wiedział tylko, dlaczego zamiast się cieszyć perspektywą spędzenia beztróskiego lata z ponętą młodką, ogarnia go coraz większa wściekłość.

Helga patrzyła za Hipolitem, a z oczu ciekły jej łzy. Potem otarła je wierzchem dłoni i powlekła się do kapliczki. Długo prosiła Najświętszą Panią o wybaczenie, a potem powierzyła swój los w jej ręce i cały strach minął. Jeszcze tego samego dnia spakowała swoje rzeczy i pieszo z niewielkim tobołkiem wyruszyła szukać spokojniejszego życia.



Słońce chyliło się ku zachodowi, nagrzana ziemia z ulgą przyjmowała delikatny, wilgotny chłód wieczoru. Nad polami zawisły mgły, a przy leśnych ścieżkach zakwitły złote kwiaty nawłoci. Nadciągała jesień. Po wyjeździe Hipolita i jego nowej zabawki domownicy i służba odczuli z ulgą. Wkrótce pałac całkiem opustoszał, bo i Wolscy pod koniec lata wrócili do siebie. Klementyna przywdziała czarną żałobną suknię i od pogrzebu wnuczki prawie się nie odzywała. W końcu i do niej dotarło, że mariaż, którego tak pragnęła, okazał się dla jej córki więzieniem. Ta twardo stąpająca po ziemi kobieta, targana wyrzutami sumienia, popadła w apatię. Przez całe lato co wieczór zachodziła do sypialni córki, by jej poczytać na głos lub po prostu posiedzieć obok i potrzymać za rękę. Pilnowały Sary we trzy, Klementyna, Marta i Marianna, którą Wolscy przekonali do pozostania w Karczewie. Początkowo nie chciała o tym

słyszeć, ale kiedy Hipolit oświadczył, że wyjeżdża i nie wróci przez następnych kilka miesięcy, Podolska została.

Do Sary wciąż nie docierało, że jej córeczka nie żyje. Tym bardziej że sama była zbyt słaba, by uczestniczyć w pogrzebie, więc został jej oszczędzony obraz białej trumienki wkładanej do ziemi. Długo trwała w głębokiej depresji, bez kontaktu z otoczeniem, gdy jednak odzyskiwała świadomość, od razu łapała się za brzuch i pytała przerażona, gdzie jest jej dziecko. Rozpaczła, wołając co chwilę imię ukochanego. Lekarz odwiedzał ich początkowo dwa razy dziennie, potem raz, a teraz przychodził co kilka dni. Twierdził, że bezpośrednie zagrożenie życia minęło, tyle tylko, że księżna żyć nie chce, a na to on już poradzić nie może. Trzeba czasu – mówił i bezradnie rozkładał ręce.

Liście w parku zmieniły barwę na złotą, a potem na purpurową, w końcu zeschły i pofruwały niesione wiatrem. Służba uszczelniała okna przed nadchodzącą zimą, w kominkach trzaśkał ogień, a długie wieczory przy blasku świec upływały na głośnym czytaniu i rozmowach. Sara powolutku dochodziła do siebie, była jednak jeszcze zbyt słaba, by wstawać z łóżka. Pomagały jej listy od ukochanego, które na głos po kilka razy czytała jej Marianna. Bruno ubolewał nad stratą dziecka i zapewniał Sarę o swojej miłości. Gdyby nie jego pokrzepiające słowa, być może i ona podzieliłaby los swojej córeczki. Była wdzięczna ukochanemu, że pisał i ją wspierał, tym bardziej że mógł czuć do niej żal. Wrobiła go w wydanie powieści, niszcząc przy tym jego karierę. Sara obwiniła się, że prasa zmieszała jej ukochanego z błotem, ośmieszyła go i odebrała prestiż. Cierpiała. Przepraszała go niemal w każdym liście, ale z czasem listy od Brunona przychodziły coraz rzadziej. Kiedy zdarzał się dłuższy okres bez wiadomości od niego, zadრęczała się wyrzutami sumienia, że zniszczyła jego karierę literacką i odebrała szacunek krytyków.

Zima przełomu lat tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego i czterdziestego pokazała swoje srogie oblicze. Śnieg, który spadł w listopadzie, nie odpuszczał aż do końca marca. Nieodśnieżone drogi zatrzymały ludzi w domach. Hulające wiatry tworzyły kilkumetrowe zasy i niejedyn nierozważny śmiałek przypłacił życiem dalekie wyprawy do miasta. W karczewskim dworze, obficie zaopatrzonym w zapasy mąki, cukru, miodu, suszonego i peklowanego mięsa, nie martwiono się srogą zimą, choć Marta, pełniąc od niedawna funkcję ochmistrzyni, załamywała ręce, obawiając się, że jeśli nic się nie zmieni, to i dwór w Karczewie dotknie widmo głodu. Skrupulatnie wydzielala więc z dworskiej spiżarni wiktuały na poszczególne dni. Od kiedy przejęła całkowitą odpowiedzialność i kontrolę nad służbą, pałac był lepiej zarządzany i wszystko znów zaczęło działać należycie, jak za czasów sprzed aresztu domowego Sary, gdy osobiście doglądała domu.

Księżna nabierała sił i powoli wracała do życia. Gdy pierwszy raz po chorobie postanowiła wyjść przed dom, lokaj ze stajennym odśnieżyli część parkowych ścieżek, a także tę najważniejszą alejkę, prowadzącą do kapliczki, na której końcu jej rodzice i Marianna pochowali w ślicznej białej trumience zmarłą kruszynkę. Najpiękniejszy owoc miłości, którego Sarze nie dane było przytulić. Nie widziała córeczki, bo sama wtenczas zawisa na granicy życia i śmierci. Teraz, ubrana w gruby kożuch i w futrzaną czapę, pierwszy raz szła odwiedzić swoje maleństwo. Bliscy nadali jej imiona Anna Maria i takie figurowały na drewnianym krzyżu zbi-

tym z brzozy. Sara usiadła na drewnianej ławeczce i w milczącej zadumie spoglądała w niebo. Może wypatrywała aniołka, a może rozmawiała ze swoją córeczką, sama nie wiedziała. To miejsce przyniosło spokój jej duszy i koilo skołatanę nerwy.

– Jestem teraz inna – opowiadała wieczorem Mariannie. – Moja choroba i śmierć Anny Marii otworzyły mnie na jeszcze większą wrażliwość. Czuję, że doświadczenia, przez które przeszłam, pokazały mi inny wymiar życia. Więcej rozumiem i mam ogromną ochotę to opisać. Zdarza się, że nocami siadam przy biurku, biorę do ręki pióro i spisuję myśli i emocje, ale gdy zapiszę kartkę lub dwie, przypomina mi się, że przecież poprzysięgłam sobie nigdy więcej nie pisać, i wtedy drę kartkę w drobne skrawki i wrzucam do ognia.

– Saro, nie pal tych zapisków. Przecież lubisz pisać. Pisziesz, właściwie odkąd pamiętam. Chyba od dziecka – rzuciła z łagodnym śmiechem kuzynka.

– To prawda. Pisanie sprawia mi ogromną przyjemność – odparła Reszko i zamyśliła się dłuższą chwilę.

– Powiedz, co czujesz, kiedy piszesz? – poprosiła Podolska. Siedziały w bibliotece na fotelach obok siebie zwróconych w stronę kominka. Szczapy dREW trzaskały przyjemnie, a ciepło działało na kobiety kojąco.

– Co czuję? – Sara przymknęła powieki, ale zaraz spojrzała na Mariannę roziskrzonym wzrokiem. – Czuję się wolna, przenoszę się do wymyślonego świata i zapominam o smutkach, o zmartwieniach, o nieudanym życiu. Nie pamiętam złych rzeczy. Dopiero kiedy odkładam pióro i wstaję od biurka, przypominam sobie, gdzie jestem, co się wydarzyło i ból znów zaczyna kąsać moją duszę – dokończyła, a blask w jej oczach zgasł.

Marianna przyglądała się Sarze, jakby ją pierwszy raz zobaczyła. Myślała, że wie o niej wszystko. Były rówieśnicami, dorastały, spędzając ze sobą wiele czasu. Czuły się jak siostry, a jednak teraz zrozumiała, że kuzynka ma swój zamknięty świat, który przynosi jej radość i zapomnienie.

– Nie przestawiaj pisać, proszę cię. Wprawdzie nigdy nie przeczytałam ani jednej kartki z tego, co napisałaś, ale wierzę, ba, jestem pewna, że masz wielki talent. Gdy mówisz o swojej pasji, oczy ci błyszczą, usta rozciągają się w uśmiechu i mogłabym przysiąc, że twoja dusza siada obok ciebie i szepcze ci do ucha odpowiednie słowa.

– Pięknie to ujęłaś. – Księżna roześmiała się, ale nagle zamilkła, speszona swoją wesołością. Nie powinna się śmiać. Przecież jej mała córeczka leży w grobie, a ukochany jest na zawsze zhańbiony nieuzasadnioną i w żadnym stopniu niezawinioną krytyką literacką. Tylko dlatego, że wziął na siebie jej marzenia.

– Och, co ja słyszę! Wszelki duch Pana Boga chwali! Moja ukochana pani się śmieje – zawołała Marta, która zawsze znajdowała się w odpowiednim miejscu i czasie. – Gdy tylko śniegi stopnieją, pieszo pójde dać na mszę. Toż to prawdziwy cud. – Złożyła ręce jak do modlitwy i spojrzała w sufit. Należę moim paniom winka, a i sama chętnie się napiję przed udaniem się na spoczynek. Takie wydarzenie warte jest najlepszego wina. – Podeszła do stolika z drewna orzechowego, na którym stały wszelkiej maści trunki, przygotowała trzy kieliszki i rozlała wonny napój w kolorze dojrzałej wiśni. Swój wypiła duszkiem.

Młode kobiety parsknęły śmiechem, Marta również się przyłączyła. Śmiech kobiet rozszedł się po domu. Lokaj zajęty czyszczeniem sreber w pokoju jadalnym upuścił wypolerowany widelec, kucharka, która kończyła pracę i szła na poddasze na spoczynek, zatrzymała się w połowie schodów i nasłuchiwała. Śmiech wprowadził za chwilę umilkł, ale był czymś tak egzotycznym, że starsza kobieta jeszcze długo stała, nasłuchując. Dopiero wychodząca z biblioteki Marta obrzuciła ją karcącym spojrzeniem i pogroziła palcem za podsłuchiwanie.

– Niegdyś prosił cię twój ojciec, a dziś proszę cię ja, nie przestawaj pisać. Nie patrz na nic, tylko pisz. Może kiedyś czasy się zmienią i staną się dla kobiet łaskawsze. Może już wkrótce i tobie dane będzie wziąć do ręki książkę z pięknie wytłoczonym twoim nazwiskiem – przekonywała Marianna.

– Nie zniosłabym takiej krytyki, jaką musiał przejść Bruno. Nie mogłam spokojnie czytać tych czasopism. Tyle złych słów. Bałam się otworzyć kolejną gazetę, bo wszędzie pisano o *Tajemnicy*. Nie zostawiono na niej suchej nitki. Czuję się splugawiona, zatruta, a jeszcze mam na sumieniu i to, że Bruno w imię naszej miłości wziął na siebie niezasłużoną krzywdę. To ja jestem wszystkiemu winna. – Podniosła kieliszek do ust i upiła spory łyk wina. Nie chciała płakać, ale czuła, że za chwilę łzy same popłyną.

– Saro, już dawno chciałam ci coś wyznać, ale nie miałam odwagi. Może znienawidzisz mnie za to, co ci powiem, ale... ja już nie chcę mieć przed tobą tajemnic. To nie była twoja wina wtedy, gdy nocą przybiegłaś do mnie po ratunek. – Podolska dla dodania sobie odwagi wypiła spory łyk alkoholu. Wyznanie prawdy przychodziło jej z trudem.

– Kochanie, to niemożliwe, żebym cię znienawidziła. Byłaś przy mnie, kiedy cię potrzebo wałam. Opiekowałaś się mną i zostałam, choć ten podły człowiek, mój mąż, tak bardzo cię upokorzył. Nie mogłabym cię znienawidzić – zapewniła ją. Wyciągnęła rękę i położyła na dłoni Marianny spoczywającej na poręczy fotela. A kiedy poczuła uścisk, rozciągnęła usta w kojącym uśmiechu. – Cokolwiek mi powiesz, zrozumie.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Marianna znów podniosła kieliszek do ust. Wino zaczęło szumieć jej w głowie, ale dzięki temu łatwiej było jej się otworzyć na tamte traumatyczne przeżycia, które ciążyły jej na sumieniu.

– Po prostu wyrzuć to z siebie, będzie ci lżej – powiedziała łagodnie Sara.

– Długo oskarżałam cię w duchu o zniszczenie mojej miłości. Miałam potworny żal. Nie wierzyłam, że Hipolit jest aż tak zły. Myślałam, że celowo... no wiesz... – Zawahała się, ale po chwili mówiła dalej: – Myślałam sobie, że nie zaznałaś miłości małżeńskiej, więc może... i mnie jej żałujesz – wyjawiała oględnie. – Kochałam Nikodema pierwszą szaloną miłością, taką samą jak ty Brunona. – Urwała i zapatrzyła się w ogień.

– Obie kochamy nieszczęśliwie – szepnęła Sara, również zapatrzona w tańczące płomyki w kominku.

– Przyjechałam do Karczewa, bo namówiła mnie matka. Opowiadała, że robisz spotkania, na których można zawrzeć jakieś znajomości czy znaleźć miłość. A ja po zerwaniu zaręczyn przez Nikodema tak bardzo chciałam być kochana. Czułam się samotna, porzucona, ośmieszona i... stara. Jeszcze wtedy nie domyślałam się, że Nikodem zerwał zaręczyny, by uchronić

mnie przed poważnymi kłopotami. Ja naprawdę go kocham. On jest miłością mojego życia – wyznała z westchnieniem.

– On też musi cię bardzo kochać, skarbie – wtrąciła cicho Sara. Współczuła kuzynce i Nikodemowi feralnego położenia, w jakim się znaleźli. Jej sytuacja miłosna również nie przedstawiała się różowo, ale chociaż mogli z Brunonem pisać do siebie. Wprawdzie teraz z uwagi na śniegi listy nie dochodziły, ale jeszcze tydzień, dwa i wiosenne słońce roztopi przeszkodę.

– Kocha mnie, czuję to – zapewniła żarliwie Podolska. – Ale wtedy tego nie czułam, pałam chęcią zemsty. Dziś wiem, że sprawcą zsyłki Nikodema jest Hipolit. On ma koneksje. On przeniósł swoje firmy do Moskwy i Petersburga, żeby przypodobać się imperatorowi i pewnie żeby nie płacić nałożonego na przedsiębiorców cła zaporowego.

– I ja tak myślę. Hipolit jest zdolny do najgorszych rzeczy. Wyjechał do Odessy z młodzieńką dziewczyną. Przecież to dziecko ma zaledwie szesnaście lat. Tłumaczyłam jej, żeby została, ale ona uważała, że robię jej krzywdę i pozbawiam szansy na karierę. – Sara zaśmiała się, ale w jej śmiechu wybrzmiały tylko gorycz i smutek, że nie udało jej się uchronić młodzieńkiej niewinnej dziewczyny przed brutalnością jej męża.

– Nie obwiniaj się o to. Nic nie mogłaś zrobić. Każdy sam na własnej skórze musi przyjąć określoną liczbę batów od życia. Miała wybór, nie skorzystała. Zresztą, nie żałuj jej, nas również życie nie oszczędzało.

– To prawda. Nie oszczędziło żadnej z nas – przytaknęła Sara. – A jeśli chodzi o to, że nie mogłaś mi wybaczyć i oskarżałaś mnie o zniszczenie twojej miłości, to nie mam do ciebie żalu. Rozumiem cię i nie wiem, jak sama zachowałabym się w takiej sytuacji. Nie zadręczaj się tym. Wybaczmy sobie nawzajem – poprosiła. Kąciki ust jej się uniosły, a w oczach rozbłysło światelko zrozumienia i miłości do swojej jedynej ciotecznej siostry.

– Saro, gdyby to tylko o to chodziło... – Marianna zamilkła, a Sara wlepiła w nią zdziwiony wzrok.

– Co jeszcze się wydarzyło, kochanie? Powiedz mi, wyrzuć to z siebie i oczyść sumienie. Zobaczysz, jak będzie ci lekko na duszy.

– Nie sądzę. – Przez Podolską przemówiło zwątpienie, odczuła paniczny strach przed dalszymi zwierzeniami, ale Sara nie pozwoliła jej skończyć i tak długo nakłaniała do zwierzeń, aż w końcu Marianna zaczęła mówić: – Kiedy przyjechałam do Karczewa i okazało się, że spodziewasz się dziecka, a plotki powtarzane z ust do ust wyraźnie wskazywały, kto jest jego ojcem, twój mąż szukał we mnie pocieszenia. Nie, proszę, nie patrz tak na mnie, nie miałam z nim romansu – zastrzegła szybko, bo Sara wbiła w nią zdumione spojrzenie.

– Uf, odczułam ulgę. Nie posądzałabym cię o romans z tym potworem. – Księżna Reszko sięgnęła po leżący na stoliku wachlarz, rozpostarła go, machnęła nim kilka razy, bo na twarzy poczuła wypieki od wina i od bliskości ognia.

– Zrobiłam coś znacznie gorszego, Saro, niż romans z nim. – Marianna przygryzła wargę tak mocno, że poczuła posmak krwi. – Ja spiskowałam z nim przeciwko tobie – wyrzuciła z siebie w końcu zwierzenia, które od wielu miesięcy obciążały jej sumienie.

– Jak to: spiskowałaś? Czyli właściwie co, bo nie rozumiem. – Sara miała mętlik w głowie. Przeanalizowała ostatnie wydarzenia z jej życia i nie przychodziło jej do głowy, w jaki spisek

mogła być wciągnięta Marianna. Przecież nie zabiła jej córeczki, nie wpędziła jej w chorobę, nie spowodowała, że mąż jej nie kochał, no więc co takiego zrobiła, że boi się wyznać. – Księżna przełknęła ślinę, bała się, że za chwilę usłyszy coś tak potwornego, że mimo obietnicy nie będzie w stanie wybaczyć kuzynce. Zaciśnęła ręce na poręczach fotela i nakazała sobie spokój.

– Hipolit powiedział mi, że Nikodem może uniknąć kary, że on da łapówkę komu trzeba, bo niby nie może patrzeć na mój smutek. Uwierzyłam mu, albo chciałam wierzyć, bo roztoczył przede mną koszmar potwornej wędrówki na Sybir i uświadomił mnie, że Nikodem już stamtąd nie wróci, a nawet tam nie dojdzie, bo takich jak on traktują bardzo źle. Zresztą, mówił prawdę. Dowiadywałam się. Został osądzony i skazany na katorgę. Wtedy uczepliłam się tej myśli, że twój mąż ma pieniądze i z Ruskimi żyje bardzo dobrze, ma dojścia i wpływy, więc na pewno mu pomoże. Gotowa byłam oddać mu za to moje ciało. Proszę, nie patrz tak na mnie, Saro, ty dla Brunona również zrobiłabyś wszystko.

– Może i tak – bąknęła niepewnie Sara. Nie wiedziała, jak by postąpiła. Ale nie mogła osądzać kuzynki. Walczyła przecież w imię miłości, chciała chronić ukochanego i siebie. – Dobrze postąpiłaś, Marianno – powiedziała cicho. – Każda z nas postąpiłaby tak samo.

– Ale on nie chciał tylko mojego ciała. On zażądał ode mnie czegoś jeszcze. – Rozpląkała się przed wyjawieniem Sarze ostatecznego upokorzenia. Bała się, że za chwilę księżna wyrzuci ją z domu, odepchnie od siebie i zerwie łączącą ich przyjaźń.

– Czego jeszcze zażądał ten padalec? Nie bój się, nie potępię cię, przysięgam.

– On kazał mi, żebym namówiła cię, żeby Bruno... – Podolska chwyciła kieliszek i wypiła wino do dna, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem: – On zażądał, żebym przekonała cię, żeby Bruno wydał twoją powieść pod swoim nazwiskiem.

– A to łajdak! – krzyknęła nieopatrznie Marta przysłuchująca się całej rozmowie z uchem przytkniętym do drzwi biblioteki.

Obie kobiety aż podskoczyły na ten niespodziewany okrzyk.

– Marto, chodź tu! – zawołała Sara. – Skoro i tak słyszałaś, to siadaj z nami. Marianno, masz coś przeciwko?

– Nie, skąd. – Podolska machnęła ręką. Wiedziała, że dla Sary Marta Skowronek to nie tylko służąca, ale powierniczka jej trosk i pocieszycielka. Widać było, że młoda kobieta jest oddana swojej pani. Zresztą, i tak wszystko słyszała. – Niech z nami usiądzie, w końcu też jest kobietą. Może usłyszemy jakąś dobrą radę na nasze troski.

– Proszę jaśnie pani, ja bardzo panie przepraszam. Naprawdę, ja tylko przechodziłam... – Marta z wypiekami na twarzy i ze spuszczoną głową tłumaczyła się gęsto.

– Nalej nam i sobie wina – zadysponowała Sara, a gdy służąca wykonała polecenie, dokończyła: – A teraz przysuń sobie fotel i siadaj z nami przy kominku.

– Ależ to nie wypada, bratanie się ze służbą jest w najgorszym tonie, jaśnie pani Saro, to niepodobna. Gdyby to doszło do pana Hipolita, oj, gniewałby się na panią, a mnie popędził na cztery wiatry.

– Siadaj, Marto. Chyba wygodniej tu niż na schodach, prawda? – zakpiła Sara. – A co do mojego męża, to on zawsze jest niezadowolony. Zatem spokojnie usiądź z nami.

Służąca nie odpowiedziała, tylko posłusznie przysunęła fotel, ale zanim usiadła, dorzuciła jedno polano, zamknęła drzwiczki kominka i już nieco mniej skrzępowana napiła się wina.

– Saro, nie gniewasz się na mnie? – Marianna przez całą krzątanicę Marty milczała, analizując, jakie wrażenie jej słowa wywarły na kuzynce i jak bardzo jej teraz nienawidzi.

– Jestem zdumiona podstępem Hipolita. Co on chciał przez to osiągnąć? – Sara pokręciła głową w zdumieniu nad mężowskim rozumowaniem.

– Nie wiem, co mógł osiągnąć ani po co to zrobił. Chciał cię upokorzyć, to pewne.

– Czego tu nie rozumieć? – zachnęła się Marta, ale raptem zamilkła spłoszona swoją bezczelnością.

– Co masz na myśli? – Marianna popatrzyła na Martę zdumiona.

Sara uniosła kąciki ust, ona już dawno odkryła, że Marta jest niezwykle bystrą kobietą. Potrafi jak nikt kojarzyć fakty, może dlatego, że żadna rzecz w tym pełnym tajemnic domu nie umyka jej uwadze.

– Śmiało, Marto, powiedz, co twoim zdaniem kierowało Hipolitem – zachęciła księżna.

– Przede wszystkim chciał ośmieszyć pana Brunona. Jestem pewna, że to on stoi za tymi paskudnymi pomówieniami w gazetach. To niemożliwe, by wszystkie gazety pisały o tej książce tak same z siebie jednego dnia.

– Masz rację, Marto. – Marianna wybuchnęła śmiechem. – Że też sama na to nie wpadłam. – Pacnęła się ręką w czoło.

– Bo ja, za przeproszeniem pańienek, to przyznam, że jestem mądra inaczej. – Ochmi-strzyni uśmiechnęła się, dumna ze swej przebiegłości. – Ja jestem mądra życiowo. Ja tam żadnych szkół nie kończyłam. Ot, jedynie, co mnie pani Sara potajemnie kiedyś nauczyła czytać i pisać. Przeczytać umiem, a nawet i dodawać tyle, ile trzeba, potrafię, ale panie to co innego, do szkół chodziły, edukowały się, ale kojarzyć życiowych spraw nie potrafią.

– Co prawda, to prawda. W każdym doszukujemy się tylko dobrego – przyznała Sara.

– Bo tak nas wychowano, a kiedy odkrywamy, że ludzie i świat wcale nie są tacy piękni, cierpimy – orzekła filozoficznie Marianna.

– A świat wcale piękny do końca nie jest. A przynajmniej my, nieurodzeni w pałacach, od razu cięgi od życia otrzymujemy. No i rozumu już za dzieciaka dostajemy.

Wszystkie trzy się roześmiały i znów ubyło im w kieliszkach.

– Marto, powinnaś być nasza nauczycielką – obwieściła Marianna, rozradowana, że dzięki Marcie i jej spektakularnemu wejściu do Sary nie dotarła jeszcze cała paskudna krzywda, jaką jej wyrządziła.

– Ja to pańienkom powiem co innego. Według mojego rozumowania to gdyby plan jaśnie pana do końca został zrealizowany, narobiłby za przeproszeniem niezłego gów... zamieszania. No bo tak: książkę pana Brunona ośmieszył, odpłacając pismaków, panią Sarę od pisania odciągnął, bo pewno wbiła sobie do głowy, że głupio pisze, skoro wszyscy jadą po książce jak po marnej kasztance, no i chciał skłócić panie między sobą. No bo jakby przypadkiem wyszło to, co teraz wyszło, toby panie zapewne ze sobą gadać nie chciały. Tyle że to wszystko wyszło po winie, więc i złość w człowieku nie taka, i myślenie spowolnione. Na trzeźwo to by znowuż różne galimatiasy się między paniami zrodziły – stwierdziła ze znanstwem.

Sara i Marianna wybuchły tak gromkim śmiechem, że rozniósł się po całym domu, budząc i wprawiając w osłupienie większość służby.

– Nawet jak wino wywietrzeje mi z głowy, to i tak nie pogniewam się na ciebie, Marianno. – Sara w końcu spoważniała, choć szarpały nią jeszcze ostatnie wesołe spazmy. Podziwiam Hipolita, że tak to wszystko ukartował. Na szczęście nie wszystko mu się udało.

– Najgorsze dla niego jest to, co się z Helgą stało. To mu bardzo nie wyszło i ostatnie plany popsuło.

– A co się wydarzyło? – spytały jednocześnie obie młode kobiety.

– On jej proponował dom gdzieś tam w głębi Rosji i dostatki wszelkie. Stajenny słyszał i opowiadał nam, że nawet coś o ślubie gadali, a ona nagle stanęła okoniem. On przeklinał i wyzywał panią Sarę i jej dziecko, a ona nad tym pani Sary dzieciątkiem łzy wylewała i modlić się o jego duszę poszła do kapliczki. To się wszystko w ten straszny dzień wydarzyło, no wtedy, pamiętacie panie. On ją strasznie nawyzywał i precz wygonił. No to poszła pieszo w noc. Myśmy wszyscy myśleli ze służby, że ona na zatracenie idzie. Trochę nawet zaczęliśmy jej żałować, choć wcześniej była niedobra dla nas, no ale człowiek litościwy jest i serce miękkie ma. A ona po rowach spała i wodę z kałuży ponoć piła, ale doszła do wielkiego miasta. Przyjęły ją do siebie siostry szarytki z Prowincji Warszawskiej. One tam prowadzą szpital dla sierot i ona teraz z nimi tam pracuje. Została jedną z nich. Nie chciała z panem Hipolitem w świat jechać i w luksusach opływać, wołała Najświętszej Paniencie i chorym dzieciom służyć.

– Dzielna kobieta – stwierdziła poruszona Sara. Wyobraziła sobie, jak kochanka Hipolita płacze nad jej zmarłym dzieciątkiem, i wzruszenie odebrało jej mowę. Dwie łzy zawisły jej na rzęsach, a potem spłynęły po policzkach.

– Bardzo dzielna. Wyruszyła samotnie, pieszo, bez szans na dach nad głową. – Marianna dopiła resztę wina i pomyślała, że jej brakuje takiej życiowej odwagi. Użala się nad sobą, zamiast przejąć odpowiedzialność za życie. – Wiesz, Marto, podobało mi się to, co wcześniej mówiłaś, że was, niżej urodzonych, życie od razu stawia do pionu, a z nami się cacka, rozpieszcza, a potem nagle brutalnie wydaje się nas, młode niewinne dziewczęta, za męża za kogoś, kto nam z życia czyni piekło, i nikt nam już pomóc nie może.

– Ale to by oznaczało, że skoro Hipolit, jak twierdzisz, Marto, celowo opłacił pismaków, żeby sponiewierali powieść, to znaczy, że trzeba to natychmiast przekazać Brunonowi. Podnieść go i wesprzeć na duchu. Jak tylko śnieg stopnieje, natychmiast do niego napiszę – powiedziała Sara w zamyśleniu.

– Po co pisać? Pojedźmy do niego. Czy to pierwszy raz urządzimy tajną eskapadę do Warszawy? – zarządziła Marianna, podekscytowana swoim pomysłem. – Zrobimy mu niespodziankę, a i same zobaczymy trochę wielkiego świata. Tak dawno nie wyjeżdżałyśmy z Karczewa.

– Tak, pojedźmy tam! – Sara klasnęła w dłonie. Od wina mocno kręciło jej się w głowie, policzki paliły, a serce wypełniała radość na rychłe spotkanie z ukochanym. Tęskniła za nim okrutnie. Ostatni okres był dla niej pasmem nieszczęść i smutków. Czas odmienić zły los – pomyślała z nadzieją.

Nie zauważyły nawet, że Marta się z nimi nie cieszy, wręcz przeciwnie, posmutniała. Ona jedna domyślała się jeszcze jednej rzeczy, która przez intrygę księcia Hipolita Teofila Reszki mogła, choć nie musiała, dosięgnąć Brunona Dzikowskiego.



Żeby zrealizować plan wyjazdu do Warszawy, Sara i Marianna musiały poczekać jeszcze kilka tygodni, aż stopnieją śniegi, a ziemia wchłonie nadmiar wody po wiosennych roztopach. Dopiero gdy kwietniowe słońce mocno zagrzało, a z dróg zniknęły błotniste breje, kobiety wyruszyły w drogę. W Warszawie zatrzymały się w Hotelu Rzymskim przy ulicy Trębackiej, który po zmianie właściciela i przebudowie został właśnie oddany do użytku. Piękny, nowoczesny, bardzo wytworny, był dumą warszawiaków. Zatrzymywała się w nim arystokracja, bogaci kupcy i przemysłowcy. Pokoje urządzone z gustem, a także dyskretna wykwalifikowana obsługa przyciągały najznamienitszych gości. Pokojówka zajęła się rozpakowywaniem bagaży i przygotowywaniem garderób, a młode kobiety udały się na spacer, by nacieszyć oczy widokiem dawno nieodwiedzanego miasta. Po miesiącach odosobnienia Warszawa jawiła im się niczym ziemia obiecana.

Na skwerach ulic zakwitły krokusy, hiacynty i tulipany, ludzie spragnieni wiosny pozdejmowali kożuchy i futra i nałożyli lżejsze wełniane płaszcze. Długa zima dała się wszystkim we znaki, więc pierwszy prawdziwie słoneczny dzień sprawił, że cała Warszawa ruszyła na spacer. Tuż obok ulicy Trębackiej mieściła się modna kawiarnia U Brzezińskiej, którą założyła żona prezesa Wydziału Administracyjnego w Towarzystwie Dobroczyńności Katarzyna Brzezińska. W przytulnych pomieszczeniach pili tu kawę sędziwi, ale także młodzi literaci, artyści oraz co zamożniejsi studenci pretendujący do elit. Gościom usługiwały młodziutki dziewczątka, które właścicielka przygarniała, swoich dzieci mieć nie mogąc, a potem gdy dochodziły wieku panieńskiego, wydawała za mąż i zapewniała za dobrą służbę niezgorszy posag, by świat był dla nich łaskawszy.

– Marianno, to jest ta słynna kawiarnia, o której piszą w gazetach, że bywa tu cały artystyczny świat. Chodź, wejdziemy, napijemy się kawy, a przy okazji może usłyszymy, jakąś dobrą opinię o książce Brunona. Z pewnością on też tu zachodzi. – Sara wzięła kuzynkę pod rękę i weszły do narożnego trzyizbowego, przytulnego lokalu.

Od progu przywitała je uśmiechnięta, na oko dwunastoletnia dziewczynka, dygnęła zgrabnie i poprowadziła do okrągłego stolika nakrytego białym obrusem.

– To najlepsze miejsca, można przyjrzeć się spacerującym po ulicy, przejeżdżającym dożkom i zakochanym parom – zachwalała wskazany stół, uśmiechając się łobuzersko, a w jej policzkach ukazały się dwa miękkie dołeczki. Kobiety odwzajemniły uśmiech, któremu nie można było się oprzeć. – Czego panie sobie życzą? – zapytała.

– A co serwujecie najlepszego? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Marianna.

– Naszą specjalnością jest poncz i kawa w różnych smakach. Ja polecam tę po wiedeńsku. Jest przepyszna. I do tego niech panie zamówią tort czekoladowy, to już będą panie bardzo ukontentowane. Ten czekoladowy tort jadł kiedyś u nas sam pan Fryderyk Chopin.

– Dobrze, więc nie będziemy gorsze od pana pianisty, poprosimy dwa razy kawę po wiedeńsku, dwa razy poncz i dwa razy tort czekoladowy. – Sara z uśmiechem przyglądała się wesołej dziewczynie. Na młodziutkiej twarzyczce wyraźnie malowało się zadowolenie. Musi jej być dobrze w życiu – pomyślała księżna, a potem jej myśli odpłynęły do wspomnień o własnej córce. Nie dane jej było zobaczyć Anny Marii ani się z nią pożegnać. Kiedyś myślała o tym, że nie chce mieć dzieci, ale teraz coraz częściej przyłapywała się na tym, że myśli o swoim utraconym dziecku. W jej marzeniach Anna Maria też miała malutkie rozkoszne dołeczki w policzkach i jasne, kręcone włosy. Na jaką kobietę wyrosłaby Anna Maria, gdyby dane jej było przeżyć? – Zasepiła się, a potem spojrzała za okno.

– O czym tak myślisz, Saro? Posmutniałaś, zamiast się cieszyć Warszawą. Kto wie, kiedy następnym razem dane nam będzie tu przyjechać. – Marianna pogładziła krzepiąco dłoń kuzynki.

– To prawda. Od ostatniego naszego tutaj pobytu tak wiele się zmieniło. – Sara westchnęła. – Wtedy byłyśmy w Wiejskiej Kawie, a w naszych sercach królowała nadzieja i wiara, że wszystko, co najlepsze, przed nami.

– Tam było bardziej gwarno, tu spokojniej. Wierzę, kochana, że wszystko, co najgorsze, już jest za nami. Teraz może być tylko lepiej. Ileż może trwać ta życiowa zawierucha? – stwierdziła buńczucznie Marianna. Chciała przykryć tym nieco sztucznym entuzjazmem nagłą myśl, że wtedy myślała o swoim rychłym ślubie z Nikodemem. Chwaliła się Sarze pierścieniem i marzyła, by wesele odbyło się właśnie w Wiejskiej Kawie.

– Tak, masz rację. Trzeba myśleć optymistycznie. A co do kawiarni, ta mi się podoba bardziej niż Wiejska Kawa. Tam jest zbyt duży zgiełk i pisk papug. Tu jest spokojniej i nie ma dymu tytoniowego. I przy każdym stole leżą czasopisma. Można przeczytać o aktualnym stanie świata. – Sara sięgnęła po gazetę, ale nie zdążyła jej rozłożyć, bo młodziutka kelnerczka już stawiała przed nią pękaty kielich ponczu, fikuśną filiżankę z miśnieńskiej porcelany i czekoladowy deser.

– Wygląda smakowicie – pochwaliła Marianna. Odsunęła wspomnienia. Oczy jej błyszczały, a na twarz przywdziała uśmiech. Wszystko ją ciekawiło, ukradkiem zerkając na gości przy sąsiednich stolikach i zastanawiała się, kim są.

– Czy dobrze usłyszałam, że odbywają się tu spotkania literatów? – zagadnęła księżna kelnerkę.

– O tak, codziennie. Fascynaci pióra lubią naszą kawiarnię. – Dziewczyna się rozpromieniła. – Zresztą nie tylko literaci. Wszyscy artyści, malarze, literaci, pianiści. Jak już paniom wspomniałam, bywał u nas sam pan Fryderyk Chopin. Ja jeszcze wtedy nie pracowałam, ale dziewczyny opowiadają, że był tu nawet w dzień swojego ostatecznego wyjazdu z Warszawy i z Polski. Przyszedł, by się z nami pożegnać, tak kochał to miejsce. Jego portret wisi o tam. – Wskazała ręką miejsce na ścianie za rozłożystą palmą.

– Ciekawi nas szczególnie jeden literat – wtrąciła Marianna, a Sara spłonila się rumieńcem. – Jego powieść jest ponoć przepiękna. Ciekawi nas, czy też bywa u was na kawie.

– Który, szanowna pani? Może go znam. – Dziewczyna znów dygnęła.

– Bruno... – Tylko tyle zdążyła powiedzieć Marianna, bo dziewczyna jej przerwała.

- Pan Bruno Dzikowski? – zawołała radośnie, a w jej oczach zapłonęły iskierki.
- Tak, w rzeczy samej. Znasz go? – Marianna przyjrzała się małej uważniej, Sara zaś pobladła.
- Oczywiście, że go znam. To znaczy nie osobiście, sama już nie wiem, czy to osobiście, czy nie. – Roześmiała się.
- To znasz go czy nie znasz? – prychnęła Podolska, mierząc dziewczynę wzrokiem.
- I znam, i nie znam. Pan Bruno przychodzi tutaj codziennie albo prawie codziennie. Ja go nie znam tak dobrze, żeby powiedzieć, że go znam. Ot, tak jak paniom przynoszę mu czasami kawę i poncz. Jednak znam go aż nadto, choć on o tym nie wie. – Westchnęła, a obie kobiety pomyślały, że to dziewczątko zwyczajnie się w nim podkochuje.
- Nic nie rozumiem, ale gratuluje – skwitowała Marianna. Sara skupiła się na mieszaniu łyżeczką w filiżance. Nie patrzyła na kelnerkę, bo nagle zrobiło jej się przykro i jakoś nieswojo.
- Nie, to nie tak, jak panie myślą! – Dziewczyna machnęła ręką i wsunęła tacę pod pachę. – Ja go znam z książki tej, co ją napisał. Mówię paniom, ta książka to cudo. Cudeńko. Napłakałam się przy niej okrutnie. Nie mogłam spać ani jeść, ani myśleć o niczym innym, ani nawet skupić się na pracy. Pani Katarzyna ma świętą cierpliwość do mnie, bo co ja wtedy ponczu narozlewałam, to strach – trąkotała przejęta.
- Podobają ci się *Tajemnica*? – Sara przestała mieszać w kawie i wbiła w dziewczynę spojrzenie przepelnione nadzieją.
- Szanowna pani, czy mi się podobała? To najpiękniejsza książka, jaką czytałam, odkąd w sierocińcu siostry zakonne nauczyły mnie czytać.
- Czy ta książka przypadkiem nie jest przeznaczona dla starszych? – Marianna ściągnęła brwi i świdrowała wzrokiem dziewczątko. – To zdaje się nie jest lektura dla ciebie.
- Ależ wiem o tym, dlatego czytałam ją po kryjomu, no ale jak się wydało, bo pani Katarzyna przyłapała mnie, na szczęście już na końcówce, to bardzo się na mnie rozgniewała. Ale warto było. – Zaśmiała się zuchwale. – To, co pan Bruno napisał, jest takie piękne i dobre, strasznie współczułam tej hrabinie, co ją pan Bruno w książce opisał. Ileż ja łez wylałam nad jej losem. – Westchnęła, zabawnie marszcząc nos.
- Przeczytam ją na pewno – zapewniła Sara i roześmiała się radośnie. Przemiana, jaka w niej zaszła, nie uszła uwadze i kelnerki, i Marianny. Oczy księżnej rozbłysły, a usta same rozchyliły się w uśmiechu.
- To musi być naprawdę dobra książka. – Marianna mrugnęła zabawnie. – Sara, koniecznie przeczytaj.
- Jeśli panie mają czas, to jutro pan Bruno ma u nas wieczór literacki, mogą panie przyjść. Tylko że wszystkie stoliki już są zarezerwowane, nie ma w ogóle miejsc. Jedyne, jeśli panie się zdecydują, to mogę dwa krzesła z tyłu dostawić. Muszą panie przyjść dużo wcześniej, bo na wieczorkach pana Dzikowskiego zawsze jest mnóstwo ludzi – oznajmiła z dumą, że to w ich lokalu sławny literat ma spotkanie i że tylu chętnych czytelników już zarezerwowało miejsca.
- Oczywiście, że chcemy, proszę nam zarezerwować krzesła. Będziemy na pewno. – Marianna skinęła głową na znak, że rozmowa skończona.

– To przeznaczenie – wyszeptła wzruszona Sara, gdy zostały same. – Czuję że, sam los mnie tu przysłał. Jutro spotkam Brunona. W dodatku ta dziewczyna czytała jego książkę. Jeśli ona ją czytała, to znaczy, że książka jest popularna. W dodatku wzbudza emocje, sama słyszałaś. Dużo ludzi przychodzi, och, co za szczęście! – Ekscytowała się. – Może Bruno już nie żywi do mnie urazy. Może i krytyka się nad nim ulitowała.

– Twoją książkę czytała, nie jego – sprostowała Marianna. – Nie zapominaj, że tak naprawdę jest to twoja książka. Bruno nie jest i nigdy nie był jej autorem.

– Ciszej, bo jeszcze ktoś usłyszy twoje słowa i narobi mu kłopotu. – Księżna rozejrzała się strwożonym wzrokiem po lokalu, ale każdy z gości był zajęty sobą.

Siedziały szczęśliwe, rozgadane, oczarowane przytulnym kawiarnianym miejscem i tętniącym za oknem miastem. Wieczorem zamiast do hotelu poszły na spacer, by chłonąć atmosferę miasta. Krakowskie Przedmieście oczarowało je pięknym nowym brukiem i zmyślnymi mostkami nad rynsztokiem, dzięki którym łatwiej było przedostać się do posesji, nie brudząc przy okazji butów czy sukien.

– Kiedyś myślałam, że nie mogłabym mieszkać w wielkim mieście, ale dziś, po tych wszystkich przeżyciach, wiele bym dała, by uwolnić się od Hipolita i tamtejszej zaściankowości. Wyjechać na zawsze z tego domu, którego szczerze nienawidzę, i wmieszać się w anonimowość miasta. Tu jest wszystko: wystawy, spotkania literackie, teatry, a ja ugrzęzłam w Karczewie, zamknięta w swojej sypialni, nie widząc świata ani ludzi.

– Saro, jesteś księżną. Ty nigdy już nie będziesz anonimowa. Wprawdzie teraz, wybierając się do Warszawy, nie zaanonsowałaś swojej obecności, tym samym wymigując się od towarzyskich spotkań, ale gdybyś tu zamieszkała, musiałabyś się udzielać towarzysko. To nieuniknione. Teraz też, gdyby twoja obecność wyszła na jaw, niektórzy mieliby żal, że ich nie zaszczyliłaś swoją osobą.

– Nie chcę się z nikim widzieć. Jestem w żałobie, wprawdzie nie na zewnątrz – strzepnęła niewidoczny pyłek z popielatego żakietu z diamentową broszą w klapie – ale noszę żalobę w sercu. Nie mam ochoty ani siły na te niekończące się kurtuazyjne wizyty.

– Wiem. Dobrze postąpiłaś. – Marianna wsunęła rękę pod ramię Sary. Wieczór już zapadł, gdy zmęczone długim spacerem wracały do hotelu. Rozmowy cichły, przechodniów ubywało, tylko stukot końskich kopyt odbijał się echem od pięknych fasad kamienic. Kobiety przyspieszyły kroku, bo na ulicach zrobiło się całkiem ciemno. Co prawda, tuż przed nimi szedł okryty szeroką, czarną peleryną i w cylindrze na głowie latarnik i zapalał długą naftową zapalniczką co którąś latarnię, ale mrok gęstniał.

Odczuły ulgę, gdy dotarły do Trębackiej i ubrany w liberię portier otworzył przed nimi drzwi, kłaniając się nisko. Wbiegły po szerokich schodach na pierwsze piętro, szczęśliwe, że bez błędzenia dotarły na miejsce i że ich szalona eskapada nabiera sensu. W końcu cel ich wyprawy, Bruno Dzikowski, okazał się na wyciągnięcie ręki.

Sara długo nie mogła zasnąć. Wyobrażała sobie orzechowe oczy ukochanego, jego czułe spojrzenie i ukradkowy dotyk. Przeszedł ją dreszcz i uśmiechnęła się do swoich myśli. Przepraszę go, opowiem o całej tej potwornej intrydze, nie chcę, by przeze mnie dotknęły go dyshonor czy ujma z powodu tych pierwszych fatalnych recenzji. Przy okazji opowiem o tej mło-

dziutkiej dziewczynie, która tak bardzo zachwycała się powieścią. Pewnie takich zachwyconych czytelników jest więcej – pomyślała i uśmiechnęła się czule. Potem wtuliła się w poduszkę i marząc o miłości, zasnęła.



Sara na ten wyjątkowy wieczór ubrała się w przepiękną chabrową kreację udrapowaną tiulem, połyskującą maleńkimi diamentkami przy dekolcie, a przy rękawach obszytą koronką. Na głowę nałożyła zgrabny, płaski jak naleśnik kapelusik w kolorze sukni, z wpiętymi pod spód białymi kwiatami i piórami. Chciała być piękna. Najpiękniejsza. Włożyła do torebki egzemplarz *Tajemnicy* nadesłany jej przez Brunona i pomyślała, że dziś poprosi go o autograf. Nagle poczuła się dziwnie zmieszana. Przecież na tej książce to ona powinna kreślić autografy. Odsunęła jednak od siebie te myśli i uśmiechnęła się szeroko.

Marianna również prezentowała się szykownie. Jej sukienka w kolorze kawy z mlekiem nie była aż tak wytworna jak Sary, ale za to pięknie dopasowana kolorystycznie do miedzianych włosów dziewczyny, roziskrzonych oczu i uroczego uśmiechu.

– Saro, prezentujesz się zachwycająco – pochwaliła księżną Podolska i nagle obie poczuły się młode, piękne i szczęśliwe, jakby nie było za nimi tych okrutnych lat.

Sarze z podekscytowania wszystko leciało z rąk. Nie widziała Brunona wiele długich miesięcy. Tak dużo miała mu do opowiedzenia. Jednocześnie targały nią obawy, czy w ciągu długiej zimy, gdy pozostawali bez wiadomości od siebie, nie zapomniał o niej. Czy nadal ją kocha, czy o niej myśli? Jej duszę przepelniała radość pomieszana z niepokojem. Już wkrótce ujrzy Brunona, nacieszy oczy jego widokiem, a może nawet jeszcze dziś dotknie ustami jego namiętych warg i poczuje jego dotyk. Serce zabiło jej szybciej na tę słodką obietnicę.

Przy ulicy Koziej przed kawiarnią U Brzezińskiej, mimo że przybyły na godzinę przed spotkaniem, stał już spory tłum ludzi. W większości były to bardzo młode, eleganckie kobiety. Sarze ścisnęło się serce z obawy, że zabraknie dla nich miejsca, a jednocześnie rozpierała ją duma, że wieczór literacki jej ukochanego ściągnął tylu czytelników. Do uszu Sary i Marianny dochodziły zachwyty nad znakomitym piórem literata, niekwestionowanym talentem, świeżością spojrzenia na miłość i cudownie opisaną historią. Księżna z niedowierzaniem przysłuchiwała się docierającym zewsząd słowom uwielbienia. Ta fascynacja zgromadzonych była dla księżnej niczym najpiękniejsza, najczulsza melodia, otuliła ją magia pięknych słów. Brakowało jej tego potwierdzenia, że to, co napisała, zachwycało czyjąś duszę. A teraz to usłyszała. Pragnęła przeprosić Brunona, zresztą wciąż i wciąż przepraszała go w listach, a teraz zrozumiała, że niepotrzebnie. On raczej cierpienie z powodu krytyki miał już za sobą. Teraz odbierał aplauzy zagorzałych i oddanych fanów. Miał żywy dowód w postaci tłumów zmierzających na spotkanie z nim, że książka, którą zgodził się firmować własnym nazwiskiem, ma swoją wartość, a tym samym jest ceniona, chciana i pożądana.

Sara rozglądała się dyskretnie, czy aby nie zobaczy go gdzieś w tłumie, ale na próżno wytężyła wzrok. Ludzi przybywało. Co chwilę przed wejściem zatrzymywała się dorożka i wysiadali z niej goście zmierzający na spotkanie, które powinno już lada moment się rozpocząć.

W końcu Sarze i Mariannie udało się wcisnąć do środka. Wolnych krzeseł było już tylko kilka, a ludzie wciąż napływali. Po kwadransie właścicielka oznajmiła, że miejsc siedzących już nie ma, jeśli ktoś chce zająć miejsca stojące pod ścianami, to zaprasza.

– Chyba zła prasa, jaką zafundował Brunonowi Hipolit, nie zaszkodziła, a wręcz pomogła – szepnęła Marianna, przechylając się w stronę kuzynki. – Jeszcze takiego tłumu jak żyję nie widziałam.

Sara co chwilkę zerknęła w stronę drzwi, nie chcąc przegapić wejścia ukochanego. Wyobraziła sobie, jak wejdzie, jak wśród tłumu wyłowi jej spojrzenie. Wyobraziła sobie jego uśmiech i tę szczególną, łączącą tylko ich dwoje nić porozumienia. Naraz zaczął miotać nią niepokój. Bruno nie odpisał na jej liścik ani nie przyszedł do hotelu... Natychmiast zaczęła go usprawiedliwiać. To byłoby dla niego kłopotliwe, przed publicznym wystąpieniem. Zapewne nie miał czasu, a kto wie, może jest tak bardzo rozpoznawalny, że czytelnicy nawet na ulicy go zaczepiają. Tak, na pewno ważna sprawa spowodowała, że nie znalazł dla nas czasu – pocieszała się.

Nagle rozległy się brawa. Zachwycone entuzjastki poderwały się z miejsc i jęły wydawać z siebie okrzyki pełne uwielbienia. Wyciągały dłonie, by mężczyzna, który szedł środkiem sali, choć musnął je palcami. Sara wpatrywała się w młodego dżentelmena. Miał na sobie czarny, według najnowszej mody skrojony frak, śnieżnobiałą koszulę i białą muszkę zamiast żabotu. Ciemne włosy zaczesane do tyłu świeciły się od brylantyny i uwydatniły jego piękne czoło, a orzechowe oczy błyszczały w blasku lamp naftowych. Szedł pewnie, dystygowanie. Był od niego pewność siebie i życiowe zadowolenie. Sara wpatrywała się w niego, zagryzając wargę. Zamiast poczuć dumę, skuliła się i przygasła. Bruno miał w sobie coś obcego, nieznanego jej wcześniej, coś, co bardzo ją zaniepokoiło i onieśmieliło.

Brawa i zachwyty ucichły dopiero, gdy właścicielka kawiarni Katarzyna Brzezińska wraz z małżonkiem w łaskawych słowach przedstawili gościa. Ten się skłonił, a potem zajął miejsce przy stoliku na wprost widowni i jął rozprawiać o *Tajemnicy*. Opowiadał, że pisanie zajęło mu jakieś dwa lata, że zbierał informacje, podglądając życie towarzyskie swoich przyjaciół, obrazowo tłumaczył, który z rozdziałów przysporzył mu więcej, a który mniej trudności, a potem opisał czuły romans, jaki przeżywali bohaterowie. Im dłużej opowiadał, tym Sara czuła się coraz bardziej zażenowana. Co prawda, próbowała znaleźć wytłumaczenie – bo przecież Bruno wzbraniał się, ona mu nakazała przysposobić tę książkę jak swoją własną, a teraz on po prostu realizuje powierzone mu zadanie – jednak zdawało jej się, jakby ktoś okradł jej duszę. Chciało jej się płakać i krzyczeć z rozpacz. Na nic zdały się próby wyjaśnienia sobie samej, że on tak właśnie musi opowiadać, by cała mistyfikacja wydała się bardziej prawdopodobna. Tyle że to, z jaką nonszalancją i butą przedstawiał siebie jako autora powieści, zmroziło ją.

Marianna siedziała ze spuszczoną głową. Jej również słowa rzucane z taką swadą przez Dzikowskiego wydały się świętokradztwem. Czuła zażenowanie, współczucie dla Sary, a także złość na samą siebie, że była sprawczynią całej tej hucpy, że dała się tak zakręcić Hipolitowi, by omamić Sarę. Zdawało jej się, że wszyscy wiedzą, jaka jest prawda, i zaraz zdemaskują uzurpatora. Nawet tego chciała. Należałoby mu się, za tę jego butę. Owszem, spodziewała się, że będzie udawał autora, ale wierzyła, że zachowa trochę pokory, jakiejś elementarnej przy-

zwoitości. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Przechwalał się, brylował i flirtował z damską częścią publiczności. Kobiety najwyraźniej były nim zachwycone. Co chwila zrywały się brawa i wykrzykiwane z uwielbieniem zachwyty. Widać było, że Dzikowski kocha czarować swoje czytelniczki. Ich umizgi, uśmieшки, niewinne flirty dodawały mu animuszu i łechtały jego męskie ego. Idiota, kompletny idiota – miotała się w myślach Marianna. – I za co Sara go tak pokochała? – zastanawiała się.

Opowieść literata powoli dobiegła końca. Właściciele lokalu rozstawili większy stół i wyłożyli egzemplarze *Tajemnicy*, którą można było kupić z dedykacją autora. Niektóre osoby podniosły się z miejsc, by się dopchać jako pierwsze, ale właściciel lokalu podniósł dłonie i poprosił:

– Zanim artysta usiądzie i każdemu z was, kto zechce zakupić *Tajemnicę* lub już ją posiada i chce piękną dedykację, złoży swój autograf, zechcą państwo zaspokoić swą ciekawość i zadać panu literatowi pytania, które was nurtują. Być może nie powiedział wszystkiego przez skromność lub przeoczenie, toteż z chęcią uczyni to teraz, a zatem rozpytujcie go, a prasa niech spisuje jego słowa. – Skłonił się uniżenie w kierunku kilku pismaków, którzy i tak od pierwszych słów Dzikowskiego niczego innego nie robili, tylko skrupulatnie notowali ołówkami, co ciekawsze wypowiedzi.

– Kiedy kolejna książka, panie Dzikowski? – zadał pytanie dziennikarz.

– Pracuję nad nią. Trochę to trwa, ale chcę, by była jeszcze lepsza niż pierwsza. Cierpliwości, moi państwo.

– Czy wzorował pan na kimś główną postać? – spytała korpulentna brunetka w bordowej sukni, siedząca w towarzystwie kilku kobiet przy stoliku nieopodal sceny.

– Mógłbym powiedzieć, że tak, ale wtedy zdradziłbym czyjś sekret. Zatem powiem, że owa hrabina opisana w *Tajemnicy* jest tylko w moich snach. – Uśmiechnął się i skłonił przed ciekawską czytelniczką, a po sali przeszedł szmer. Sara również wierciła się niespokojnie.

– A czy jest pan zakochany? – zawołała kobieta siedząca w pierwszym rzędzie krzeseł.

– Jestem, droga pani, zakochany w życiu. Ono okazuje się ciągle mnie zaskakiwać. Wiodę szczęśliwe życie, bo tyle szanownych pań pokochało moją powieść. A trochę czasu spędziłem na jej pisaniu. Pisałem i pisałem w samotności, nie bacząc na rozrywki, które czasem mnie wzywały i potwornie kusily. Wszak kobiecym wdziękom trudno się oprzeć, a ja w pocie czoła i trudzie mimo wszystko pisałem. Docęńcie to, panie – rzucił frywolnie, ukłonił się, a kobiety zachichotały, ukontentowane tą wypowiedzią.

– A czy jest pan zakochany w jakiejś damie? – Czytelniczka nie dawała za wygraną. Kilka pań syknęło, dając tym samym znać wścibskiej kobiecie, że jej ciekawość jest nie na miejscu. Sala jednak zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

Bruno zwlekał, a Sarze zlodowaciały koniuszki palców. Widać było, że literat nie chce udzielić konkretnej odpowiedzi, a ona przeraziła się, że wymieni jej imię i nazwisko.

– Proszę odpowiedzieć! – zawołała nachalna czytelniczka.

– Jest taka dama. Bardzo bliska mojemu sercu. Zrobiłbym dla niej wszystko – rzucił z namysłem, niepomny wcześniejszej ironii.

Księżna Reszko odczuła niewyobrażalną ulgę. Policzki jej płonęły i musiała przytrzymać się poręczy krzesła z obawy, by nie upaść. Szczęście rozsadzało jej duszę. Życzyła sobie, aby ta chwila trwała. Marianna odwróciła się do Sary i popatrzyły sobie w oczy z tym szczególnym wspierającym siostrzanym porozumieniem, a potem wyciągnęła dłoń i ścisnęła rękę kuzynki, na znak, że cieszy się jej szczęściem.

– Ach, to wkrótce zapewne się pan ożeni. – Zawiedziony głos fanki wywołał salwy śmiechu. – Ale ponieważ dziewczyna chlipnęła nosem i wytarła białą rękawiczką łzę, literat nie zostawił jej pytania bez odpowiedzi.

– Kocham wszystkie moje czytelniczki i dlatego poprzez karty *Tajemnicy* jestem poniekąd z każdą was, każdą z was miłuję i cenię. Serce wybrało jednak samo i pokochało tę jedną jedyną, tę, dla której gotów jestem na wszystko. Dla niej właśnie napisałem tę powieść.

– Czy jest z nami na sali wybranka pana serca? – Kobieta nachalna w swojej nieustępliwości dalej drażniła. Dzikowski krygował się, uśmiechał, kluczył, ale w końcu wyjął: – O ile mi wiadomo, zapewne jest. Nie mam pewności, bo jak panie wiedzą, nieco się spóźniłem.

Sara zamarła na te słowa. W gardle jej zaschło i w panice zastanawiała się, co zrobi, jeśli Bruno wywoła ją na środek sali. Przecież wyniknie z tego towarzyski skandal. A jednocześnie pragnęła w końcu podzielić się swoją prawdziwą miłością ze światem. Nagle zapragnęła stanąć z nim na tej scenie, gdy będzie ogłaszał całemu światu, że kocha ją jedną. Że tylko ona jest dla niego najważniejsza, ta jedna jedyna na świecie. A kto wie, może i wyzna, że wspólnie pisali tę powieść.

– Kiedy ślub? – spytał tubalnym głosem mężczyzna z ostatniego rzędu.

Bruno Dzikowski westchnął zabawnie, rozejrzał się po zebranych i przybrał niepewną minę.

– Najpierw muszę upewnić się, że dama mojego serca tutaj jest, i dowiedzieć, czy zechce resztę życia spędzić razem ze mną. Sam na to pytanie nie udzielę odpowiedzi, muszę spytać ukochaną. I niech ona zaspokoi państwa ciekawość.

Policzki księżnej płonęły, a serce drżało. Tak, chcę, Bruno, spędzę z tobą resztę życia. W miłości i szczęściu. Już postanowiła, odrzuci wszelkie konwenanse i wejdzie na scenę, jeśli tylko ją o to poprosi, a potem niech się dzieje, co chce. Wprawdzie ślubu wziąć nie mogą, ale trudno, cóż z tego, skoro i tak są szczęśliwi. Dość tajemnic, dość schadzek po kryjomu. Hipolit jawnie obnosi się z kochanką i nikt go za to nie potępia. Niech rodzice mnie potępiają, niech wszyscy mnie potępiają. Wybrali mi na męża potwora i nie obchodziło ich, co się ze mną stanie – zżymała się w myślach.

– I co? Jest z nami wybranka szanownego pana? – zapiszczała młoda dziewczyna, siedząca przy stoliku pod oknem, przy którym wczoraj siedziały Marianna i Sara.

Bruno Dzikowski zrobił dwa kroki i jeszcze raz zlustrował wzrokiem pomieszczenie. Marianna ścisnęła mocniej dłoń Sary i uśmiechnęła się do niej pokrzepiająco, a w Sarze wszystko zaczęło dygotać. Cały świat się trząsał, po plecach spłynęła jej strużka potu, dłonie zwilgotniały. Potem zobaczyła, jak Bruno podchodzi do stolika z drugiej strony sali i podaje komuś rękę. Po zebranych przeszedł szmer, ale zaraz rozległy się brawa. Ubrana w prześliczną kremową suknię i takiego samego koloru kapelusik zgrabna ciemnowłosa piękność przeciskała

się przez stoliki z pierwszego rzędu. A gdy stanęła na scenie, Bruno ucałował jej dłoń, a ona, zarumieniona z emocji, spojrzała na niego zakochanym wzrokiem i uśmiechnęła się uroczo. Miała najwyżej osiemnaście lat, bił od niej ten szczególny blask, który cechuje ludzi szczęśliwie zakochanych i pewnych swojej urody.

– Rózo, ty wiesz, że kocham cię od dawna. Przysięgam, że nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie. Nie wiedziałem, co to miłość, dopóki cię nie spotkałem. Jesteś moim słońcem, drogowskazem, powietrzem. To z myślą o tobie napisałem tę powieść – przemawiał patetycznie, jakby grał w przedstawieniu. – Z myślą o tobie wybudowałem dla nas piękny dom. Miałem oświadczyć się o twoją rękę dziś wieczorem, gdy będziemy sami. W moim domu, naszym – poprawił się – czeka na ciebie pierścionek z brylantem i kwiaty, ale skoro moi czytelnicy tak bardzo pragną ujawnienia naszego szczęścia, zapytam o to teraz. – Odrzucił poły fraka i klęknął przed dziewczyną na jedno kolano, po czym uroczystym głosem spytał: – Czy zechcesz zostać moją żoną i dzielić ze mną smutki, radości, dole i niedole, w szczęściu i w nieszczęściu, w zdrowiu, w chorobie, na zawsze? – Chwycił jej obie dłonie i patrzył pewnie w jej ciemne oczy.

– Tak, Bruno. Zostanę twoją żoną – odpowiedziała szczęśliwa i przytuliła jego głowę do swojego łona.

Ich dalsze słowa utonęły w huraganie braw. Wszyscy podnieśli się z miejsc i wiwatowali, gratulowali, niektóre damy jawnie ocierały łzy.

Sara również wstała, patrzyła na ten obraz, jakby działał się gdzieś poza nią. Lodowaty jęzor zbliżającej się pustki zmroził jej serce. Pierwsze, co pomyślała, to to, że Bruno nie dostał jej liściku, bo zbudował nowy dom i zapewne już w nim mieszka. W huraganie braw i gratulacji przyszło jej również na myśl, że jego narzeczona jest śliczna i bardzo w nim zakochana i że stworzą szczęśliwą rodzinę. Dobrze, gdy ludzie są szczęśliwi – pomyślała bezwiednie i westchnęła. Jej nie dane było zaznać szczęścia. Widać coś kiedyś komuś zawiniłam. Może w poprzednim życiu? – rozmyślała.

Ludzie zaczęli się przemieszczać, niektórzy wychodzili, inni ustawiali się w niekończącej się kolejce po książkę i podpis autora. Sara opadła na krzesło. Kolejka chętnych po autograf przesłoniła jej Brunona i jego piękną narzeczoną. Księżna chciała wstać, ale poczuła się tak staro, jakby przybyło jej ze sto lat. Znów westchnęła. Rzędy krzeseł pustoszały i trzeba było się ruszyć, ale ani Marianna, ani Sara, nie miały na to siły. Zbyt były oszołomione tym, co zobaczyły i usłyszały. W końcu Sara resztką sił podniosła się z krzesła i skierowała do wyjścia.

– A ty dokąd? – Marianna złapała ją za rękę i szarpnęła boleśnie.

– Nic tu po mnie – stwierdziła księżna tak cicho, że Podolska ledwo rozróżniała słowa.

– O nie, moja droga, koniec chowania głowy w piasek. Idziemy kupić od jaśnie wielmożnego pana literata książkę, którą tak długo pisał – zakpiła. Chwyciła kuzynkę mocno pod ramię. Sara nie miała siły się wyrwać, więc dała się prowadzić jak jagnię prowadzone na rzeź. Kolana się pod nią uginały, a suchość w gardle nie pozwalała swobodnie zaczerpnąć tchu.

Uśmiechnięty Bruno, zajęty podpisywaniem, podniósł głowę i zamarł. Oniemiały wpatrywał się zbaraniałym wzrokiem w kobietę, dzięki której stał się sławnym, zamożnym człowiekiem i którą bez słowa porzucił. Księżna Reszko drżącą dłonią wyciągnęła z torebki egzem-

plarz własnej powieści, który kiedyś Dzikowski przysłał jej pocztą kurierską bez jednego bodaj bileciku i bez autografu. Położyła ten swój ukochany egzemplarz na stoliku i czekała. Odpływały z niej wszelkie myśli. Dusza jej lkała, patrzyła wzrokiem pozbawionym nadziei na człowieka, którego tak miłowała. Ich dzieciątko spoczywało w alejce koło kapliczki, a ona jeszcze nie dalej jak wczoraj marzyła, by wspólnie usiedli na ławeczce i objęci odmówili modlitwę za ich aniołka. Przełknęła ślinę i prosiła opatrność, by się nie rozplakać przed tym wytwornym, eleganckim mężczyzną, tak różnym od Brunona z jej wspomnień i snów.

– Dla kogo chce pani dedykację? – spytał w końcu Dzikowski nieswoim głosem. Ich spojrzenia się spotkały. Targały nią ból i żal nie do opisania. Mężczyzna nie wytrzymał długo jej wzroku i ponownie spuścił głowę. Pot wystąpił mu na czoło. Bał się niechybnie czekającego go skandalu, a już na pewno nieuniknionej awantury. W lokalu zostało niewiele osób. Właściciel składał krzesła i przesunął stoliki. Żona dyrygowała dziewczętami, które zbierały ze stolików filiżanki po kawie, kieliszki po ponczu i talerzyki po deserach. Za Sarą syknęło kilkoro zniecierpliwionych czytelników, niezadowolonych z przedłużającej się ciszy.

– Proszę wpisać, co pan uważa – szepnęła, a po chwili dopowiedziała: – Ta książka kiedyś była dla mnie wszystkim. Kochałam ją jak własne dzieciątko.

Ręka mu drgnęła, ale nie odpowiedział ani nie podniósł głowy. Przysunął książkę i skreślił kilka słów na karcie tytułowej. Potem wstał i podał powieść Sarze. Ona w milczeniu skinęła głową, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Kiedy była przy pierwszym rzędzie krzesel, usłyszała głos jego narzeczonej:

– Bruno, kochanie, kto to był? – spytała przejęta, poprawiając kapelusik.

– Nikt. Dawna znajoma – odpowiedział drętwym głosem.

– Strasznie smutna dama – skomentowała, ale zaraz uśmiechnęła się do ukochanego, zominając o smętnej postaci, której zgaszone, puste spojrzenie przypominało widmo.

Dwie starsze kobiety zerknęły na Sarę, zapewne chcąc zobaczyć, co to za smętna matrona. Miała ochotę skulić się w sobie i zapłakać, ale zamiast tego uniosła dumnie głowę i wyprostowała ramiona. Marianna wzięła kuzynkę pod ramię, bo księżna zbladła jak papier i wydawało się, że za chwilę zemdleje. Podolską targała wściekłość na Dzikowskiego miała ochotę wrócić tam i wykrzyzczyć całemu światu, że ten zakichany literat jest podłym uzurpatorem, a do tego bez honoru i godności. Miała żywą żądzę splunąć mu pod nogi, naubliżyć, wyzwąć i życzyć wszystkiego, co najgorsze. Oddychała ciężko, bo gotowała się w niej coraz większa wściekłość. Naraz przypomniała sobie o Sarze, odwróciła się do niej, by powiedzieć, co myśli o Dzikowskim, ale księżna zacisnęła powieki, jakby nie chciała niczego słyszeć. Dopiero w pokoju hotelowym wyszeptała to samo zdanie, które powiedziała na odchodne Dzikowskiemu:

– Ta książka była kiedyś dla mnie wszystkim. Wszystkim, co jeszcze kochałam. – A potem poszła do swojego pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. – Była całym moim światem, który mi odebrano – powiedziała już do siebie i wybuchła głośnym szlochem.

Marianna nie potrafiła zapanować nad wściekłością. Wylewała się z niej złość na cały świat. Na ciotkę Klementynę i wuja Ambrożego, którzy z premedytacją oddali własną córkę na łaskę i niełaskę potwora, na niesprawiedliwość dziejową, że taki tyran jak Hipolit Teofil Reszko skinieniem palca mógł kogoś skazać na piekło syberyjskiej katorgi, na pozbawioną ho-

noru dwulicowość Dzikowskiego, który odtrącił Sarę jak niepotrzebną rzecz. Była też wściekła na samą siebie, że namówiła Sarę, by ta przekazała swą ukochaną powieść w obce ręce. I jak się okazało, w ręce idioty. Zacisnęła pięści i zakłęła pod nosem. A potem zeszła do hotelowego nocnego baru, przeznaczonego tylko dla mężczyzn, i zażądała whisky. Kelner popatrzył na nią zszokowany, jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakaś niewiasta przestąpiła te progi i w dodatku zażądała mocnego trunku. Jednak było coś tak szalonego w spojrzeniu chmurnych niebieskich oczu, że bez sprzeciwu, a nawet nie żądając zapłaty, spełnił rozkaz kobiety.

Marianna wypiła ognisty napój do dna, kazała sobie znowu połać, a gdy opróżniła kolejną szklankę, energicznym ruchem popchnęła szkło w stronę barmana. Szklanka jechała po długim wypolerowanym blacie jak po lodowisku, barman chwycił ją, wpatrując się w dziwną damę z niekłamanym zachwytem.

– Popamiętasz mnie, łajdaku – rzuciła mściwie pod nosem ku zgrozie mężczyzny i wyszła z lokalu. – Oj, popamiętasz mnie, marny literacie. Poeto od siedmiu boleści, bawidamku, flirciarzu jeden – mamrotała pod nosem, zataczając się po schodach jak upojony trunkami mężczyzna wracający z nocnej gry w pokera.



W ciepłe czerwcowe popołudnie w kamienicy przy ulicy Widok, gdzie miał swoją siedzibę „Tygodnik Stylu i Literatury”, Gustaw Gurg czytał korespondencję. Nadeszło sporo propozycji wydawniczych, ale też dużo wiadomości gospodarczych, skarg na niegodziwość organów administracji, a także sporo anonimów. Ludzie donosili na sąsiadów, a nawet na swoich bliskich, bezlitośnie obnażając rodzinne sekrety. Młody człowiek zdjął marynarkę i rozpiął guziki pod szyją. Okna jego gabinetu wychodziły na południowy zachód i w upalne dni, takie jak ten, pomieszczenie okropnie się nagrzewało. Pomyślał, że przeniesie gabinet, ale jak na razie nie miał na to czasu. Po śmierci dziadka Hieronima jemu przypadło w spadku wydawnictwo. Dopiero się uczył wydawania gazety, porządkował zaległe sprawy, ale czasopismo musiało się ukazywać, dwoił się więc i troił, by zdążyć ze wszystkim na czas. Miał na usługach kilku reporterów, ale listy lubił czytać osobiście.

Podszedł do dzbanka i nalał do kubka miętową herbatę, matka mu zawsze powtarzała, że mięta najlepsza jest na upały, człowiek się tak nie poci i ma niezmacony umysł. Znow usiadł do biurka, podwinął rękawy białej koszuli i wziął do ręki blad różową papeterię z przepięknym książęcym monogramem. Zaciekawiony, rozciął kopertę srebrnym nożykiem do papieru i zanurzył się w lekturze.

Szanowny Panie Hieronimie, pozwoliłam sobie napisać na firmowej papeterii książęcej Sary Leokadii Reszko, lecz ona nie wie o tej korespondencji i niech to, co napiszę, pozostanie między Panem a mną.

Nieźle się zaczyna – pomyślał Gustaw i sięgnął po szklankę. Rzadko, a właściwie prawie nigdy nie zdarzało się, by donosy przychodziły od arystokracji, toteż paliła go wyjątkowa ciekawość. Upił kilka łyków i czytał dalej.

Dawno temu towarzyszyłam księżnej Sarze Leokadii Reszko de domo Wolskiej, gdy przyjechała do Warszawy prosić Pana o wydanie swojej powieści. Wówczas zbył Pan ją, oświadczając, że nie wyda Pan niczego, co skreślone jest kobiecą ręką. Księżna spaliła pierwszą powieść. Lecz od tamtej pory wiele przeżyła, poznała dobre i złe emocje, a tym samym nabyła literackiej wrażliwości i napisała drugą powieść. Oddała jej kilka lat swojego życia. To bardzo piękna i wzruszająca, wspaniale napisana historia. Zresztą jest Pan jej wydawcą. Wydał ją Pan pod tytułem „Tajemnica”. Wcześniej nosiła tytuł „Dom pełen tajemnic”. Przyniósł ją do Pana niejaki Bruno Dzikowski, dziś brylujący w świecie i pławiący się fałszywą sławą. I Pan, i ja dobrze wiemy, że jegomość Dzikowski nie jest autorem tej książki. Gdyby jednak targały Panem wątpliwości, przesyłam kopię listów wymienionych pomiędzy księżną a uzurpatorem. Te listy są tylko dla Pana oczu. Jeśli jest Pan człowiekiem honoru, proszę sprawić, żeby na książce znalazło się nazwisko prawowitej autorki. Czekam na Pana odpowiedź, ale od razu zastrzegam, że informacje o Dzikowskim przekazę innym periodykom, jeśli nie dostanę odpowiedzi w ciągu miesiąca. Proszę się dobrze zastanowić, czy warto narażać się na zszarganie wizerunku uczciwego wydawcy. Łączę wyrazy szacunku – Marianna Podolska.

– A niech mnie! – Gustaw Gurg zmierzwił dłonią jasne włosy, po czym przeczytał list ponownie i jeszcze raz. – To ci historia! – Odsunął od siebie pozostałą korespondencję i zaczął czytać przesłane kopie listów. Na jego twarzy budziło się coraz większe zaintrygowanie. Na koniec złożył starannie blad różowe kartki i wsunął do koperty. – A niech mnie! – powtórzył. – Zaczynam karierę od skandalu – gwizdnął z podziwem i się roześmiał.



W kościele Świętego Krzyża w Warszawie przed ołtarzem głównym specjalnie na ten dzień ustrojonym białymi kameliami Bruno Dzikowski i Róża Wende ślubowali sobie miłość. Ubrana w strojną śnieżnobiałą suknię zdobioną perełkami i w trzymetrowym welonie młoda oblubienica literata czuła się wybranką losu. Oto ulubieniec Warszawy, w którym kochały się młode szlachcianki, sklepikarki, panny służące, a nawet zacne matrony, ją wybrał na swoją towarzyszkę życia. Promieniała szczęściem i uwielbieniem dla swojego mężczyzny. On, wypowiadając słowa przysięgi, zawahał się, bo przed oczyma stanęła mu piękna, oddana kobieta z warkoczem jasnym jak pszenica latem. Od ostatniego widzenia z nią w kawiarni U Brzozowskiej jakieś лихо w niego weszło. Targały nim wyrzuty sumienia. Miewał koszmary. Zły był nawet na siebie, że wciąż nie może sobie znaleźć miejsca, bo przecież jego winy w tym układzie nie było. Został zmuszony usilną prośbą księżnej do reprezentowania własnym nazwiskiem jej powieści, więc dlaczego teraz, do diaska, wciąż ma moralnego kaca? Fakt, obiecał, że pieniądze z honorarium przeznaczy na kupienie dla nich domku pod lasem i nawet miał taki zamiar, dopóki... Wzdrygnął się, bo siebie nie mógł przecież okłamywać. Zwyczajnie bał się życia z nią. Bał się kłopotów, jej mściwego męża, skandalu, potępienia i wielu innych rzeczy. Owszem, chciał kupić dla nich mały domek i zaszyć się gdzieś w lesie z nią i z ich dzieckiem. Jednak kiedy gotówka zaczęła spływać szerokim strumieniem, nagle jego potrzeby wzrosły. Zachłysnął się wytworną garderobą, na którą nigdy nie było go stać, potem kupił prywatny powóz, zatrudnił służbę, a w końcu kupił wielki dom, a resztę pieniędzy ulokował w banku. Jeszcze wtedy myślał o Sarze, jeszcze wtedy chciał ich szczęścia, ale gdy sroga zima zawałiła śniegiem drogi, jego miłość bez listów, bez łączącego kochanków żaru, wypaliła się. Aż pewnego

dnia na literackim spotkaniu zapatrzył się w ciemne oczy młodziutkiej, uwielbiającej go czytelniczki i zaczął rozmyślać. Po co mi kłopoty z mężatką, skoro mogę zacząć życie z carte blanche? Czy Kocham Różę? – zastanawiał się. – Nawet jeśli nie dziś, to miłość przyjdzie z czasem. Jest młodziutka i podatna na ulepienie z niej dobrej żony. Wystarczy, że ona mnie uwielbia – stwierdził i przystąpił do szturmu jej serca.

Ksiądz chrząknął raz i drugi, a potem jeszcze raz. Młodziutka, wpatrzona w literata brunetka zamruwała przelękniona. Skrępowana zachowaniem narzeczonego, nie wiedziała, jak ma się zachować. Poprawiła kosmyk ciemnych włosów, a potem dotknęła ramienia Brunona. Drgnął zaskoczony, wyglądał tak, jakby dopiero co przebudził się z zimowego snu. Uniósł kąciki warg w dziwnym uśmiechu i mruknął coś pod nosem.

– Ja, Bruno – rzekł z naciskiem ksiądz, patrząc na pana młodego z dezaprobatą i dając mu do zrozumienia, że czas powtarzać za duchownym słowa przysięgi małżeńskiej.

– Ja, Bruno... – powtórzył jak echo Dzikowski. Lecz nagle ku własnemu przerażeniu odkrył, że wcale nie ma ochoty na ten ślub. Znów przed oczyma stanęła mu Sara. Przypomniał sobie piątkowe wieczory i długie rozmowy o literaturze, emocjonujące dysputy o jej powieści i o jego poezji. Od tamtego czasu nie napisał nic. Nawet nie zasiadł do pisania.

– Biorę sobie ciebie, Rózo, za małżonkę... – Ksiądz podniósł głos, bo zauważył, że przyszły małżonek znowu odpycha dokądś myślami. Miał ochotę złapać go za poły tego czarnego wytwornego fraka i potrząsnąć. Jak można urządzać taki cyrk z przysięgi małżeńskiej? „Tfu, literaci” – mruknął pod nosem duchowny, ale tak cicho, by przypadkiem nikt go nie usłyszał.

– Biorę sobie ciebie... – szepnął pan młody i nagle całkiem się zaciął. Złapał się za gardło, bo jakaś silna obręcz zaciskała się mu na szyi i nie pozwalała mówić ani nawet przelknąć śliny. Głośno łapał powietrze i sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Zgiął się wpół, bo czuł, że za chwilę się udusi. O czym ja będę rozmawiał z tą smarkulą? Przecież ona mówi tylko o fatalaszkach – przeszło mu przez myśl między jednym łapczywym oddechem a drugim. Zateśknił za Sarą. Najchętniej uciekłby ze świątyni, smagnął konia i galopem ruszył do Karczewa błagać ją o przebaczenie. Nigdy nie był na grobie ich dziecka, nie pocieszył ukochanej, gdy cierpiała... Zostawił ją z tym bydlakiem samą sobie. Znów łapczywie złapał haust powietrza, jak ryba na brzegu, która wie, że się udusi i nic nie może już na to poradzić, bo życiodajna woda jest zbyt daleko. – Ja chyba nie chc...

– Bruno... – szepnęła cichutko dziewczyna, zanim zdołał dokończyć zdanie. – Proszę cię, nie rób mi tego – wyjąkała przerażona.

Zgromadzeni w świątyni poruszyli się niespokojnie. Rodzina panny młodej spojrzała po sobie, zniesmaczona sytuacją. W końcu Dzikowski zacisnął powieki i dławiąc się i pokaszując, wydusił z siebie słowa przysięgi małżeńskiej. Kiedy ksiądz obwieścił, że teraz są mężem i żoną, uścisk zelżał na jego szyi, ale był pewien, że jakaś nieczysta siła rzuciła na niego urok. Opanował drżenie ciała i wzięwszy pod ramię pannę młodą, wyprowadził ją z kościoła. Gdy na Trakcie Królewskim dopadli go dziennikarze, niepomyślniejszych przeżyć wyprostował ramiona, podniósł głowę i jak miał w zwyczaju, przykleił uśmiech na usta, z dumą prezentując młodziutką żonę. Spodziewał się gratulacji i wiwatów, a tymczasem został zaatakowany pytaniami.

- Czy to prawda, że autorką *Tajemnicy* jest księżna Reszko?
- Dlaczego ukradł pan księżnej jej powieść?
- Jak to się stało, że został pan autorem nie swojej powieści?
- Dlaczego okłamał pan świat, że to pańska powieść, skoro nią nie jest?

Dziennikarze przekrzykiwali się wzajemnie, przepychając przez tłum oszołomionych gości. Dzikowski stał z otwartymi ustami, skołowany ujawnieniem prawdy. Kompletnie nie wiedział, jak powinien zareagować. Zastanawiał się w popłochu, czy Sara zdradziła ich sekret, czy zrobił to ktoś inny.

– Bruno, co oni mówią? Dlaczego oskarżają cię o to, że ukradłeś powieść? Przecież to nieprawda. Sam mówiłeś, że pisałeś ją dla mnie, kiedy mijaliśmy się na ulicy, gdy się jeszcze nie znaliśmy. Powiedz im o tym – nalegała, szarpiąc go za rękaw przepięknego, modnego fraka przysłanego z Paryża.

Teść patrzył na niego spode łba i podkreślał nerwowo sumiastego wąsa. Przez nachalność pismaków nikt nie złożył młodej parze powinszowań. Spłoszeni żenującą sytuacją, goście pospiesznie wsiadali do powozów. Bruno popchnął żonę, by ta czym prędzej zajęła miejsce w powozie przystrojonym kiściami białych kwiatów, sam również wskoczył. Stangret zatrzasnęła za nim drzwi, ale nawet kiedy powóz ruszył, literat słyszał za sobą wrzeszczących dziennikarzy, którzy zwietrzyli aferę i wiedział o tym doskonale, że będą go ścigać dopóty, dopóki wszystkiego nie wytropią. Co za koszmarny dzień – pomyślał i ku przerażeniu młodziutkiej żony zaklął siarczyście i splunął w złości na puszysty dywan rozłożony na podłodze powozu.

– Bruno, kochany, przecież nie masz się czym martwić. Ty jesteś autorem, a pismaki chcą sensacji. – Chwyliła jego dłoń i podniosła do ust. Zmarszczył brwi i wyrwał rękę z dłoni młodziutkiej żony, a potem odwrócił się do okna i nie odezwał słowem. Usłyszał po chwili cichy szloch. Miał ochotę zatrzymać powóz, wyskoczyć i iść, dokąd oczy poniosą.

– Kochany, bądź dla mnie miły. Właśnie zostałam twoją żoną. I będę z tobą na zawsze. Do końca życia.

Zacisnął powieki, bo słodki głosik jego świeżo poślubionej żony paradoksalnie zabrzmiał w jego głowie niczym groźba wypowiedziana w złą godzinę.



Ubrana w szarą suknię, księżna Sara Leokadia Reszko zeszła do jadalni. Czuła się osamotniona, bo Mariannę dwa dni wcześniej wezwała do siebie matka. Ciotka Adelajda skarżyła się w liście na przewlekły kaszel, którego ponoć nabawiła się jeszcze zimą, a ponieważ, jak pisała, lekarze bezradnie rozkładali ręce, chciała mieć córkę przy sobie, na wypadek gdyby jej choroba okazała się poważniejsza.

Po wyjeździe kuzynki Sara czuła pustkę, której niczym nie była w stanie wypełnić, tym bardziej że piękne słoneczne dni czerwca sprzyjały spacerom i spotkaniom towarzyskim, a ona nie miała z kim dzielić tych spacerów. Nie miała jednak ochoty na widzenie kogokolwiek innego niż Marianna. Od ostatniego wyjazdu do Warszawy upłynęły już dwa miesiące, ale upokorzenie, jakiego doznała od mężczyzny, którego kochała całym sercem, wciąż paliło

i sprawiało ból. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym człowieku. Kiedy minęło pierwsze otępienie, odsunęła od siebie dojmującą rozpacz i nakazała sobie obojętność wobec Brunona. W końcu na coś przydało się twarde wychowanie Klementyny. Księżna dumnie nosiła głowę, częściej się zamyślała i więcej czytała. Roztoczyła wokół siebie pancierz, by nikt już nigdy nie mógł jej skrzywdzić.

– Raz pozwoliłam sobie narzucić związek z kimś, kogo nie kocham, i raz pokochałam kogoś niewartego kochania, już wystarczy – powiedziała sobie i trzymała się kurczowo tej myśli. Od powrotu z Warszawy nie uroniła ani jednej łzy. Godność osobista jej na to nie pozwalała.

Jednak mimo wszystko często zdarzały się chwile dojmującego smutku i ogromnej samotności. Jedno nakrycie przy długim stole podczas posiłków wydało jej się dołujące. Nie lubiła tego domu. Trudno było go zresztą nazwać domem. Był obszernym, wybudowanym z rozmachem pałacem, który z uwagi na urokliwe położenie, przepiękny park i bliskość Warszawy zakupił dziad Hipolita z przeznaczeniem na letnią rezydencję. Tak się złożyło, że ojciec Hipolita również nie przepadał za tym domem i przeniósł się z rodziną na drugi brzeg Wisły w okolice Konstancina, a pałac przypadł w udziale jego synowi Hipolitowi. Sara nigdy nie polubiła tego domu, zapewne dlatego, że nie zaznała w nim miłości. Wydawał jej się zbyt duży, pusty i przygnębiający.

Tego dnia poleciła Marcie, by poranną kawę podano jej na zewnątrz. Zapagnęła pooddychać świeżym, rześkim powietrzem, póki jeszcze upał nie da się we znaki. Księżna usiadła przy niewielkim okrągłym stoliku i zapatrzyła się na dwie olbrzymie donice, w których kwitły różowe i fioletowe naparstnice. Przy pałacowej ścianie w drewnianych, podłużnych skrzynkach rosły mięta i lawenda. Ich wonny, eteryczny zapach kojarzył się Sarze z domem i z wczesnym dzieciństwem. Naraz zatęskniła za ojcem. Widziała go ostatnio tak dawno. Odzyskała wtedy przytomność po porodzie, tyle że jeszcze nie miała sił na rozmowę. Ku swojemu zdziwieniu zatęskniła również za matką.

Marta przyniosła kawę i na życzenie księżnej położyła na stoliku czasopisma z ostatnich dwóch dni. Ruchy służącej wydały się Sarze dziwnie kanciaste. Chciała spytać Martę, czy dobrze się czuje, podniosła wzrok i napotkała jej spłoszone spojrzenie. Nim zdążyła spytać, o co chodzi, służąca, którą traktowała jak najserdeczniejszą przyjaciółkę, zrobiła krok w tył i czmychnęła do kuchni. Ciekawe, co tym razem służba narozrabiała? – pomyślała księżna i chwyciła za uszko filiżanki z miśnieńskiej porcelany. Kawa pachniała i smakowała wybornie. Upiła ostrożnie kilka łyków i sięgnęła po pierwszą z brzegu gazetę. Omal się nie poparzyła, drżącą z emocji dłonią odstawiła filiżankę tak niefortunnie, że ta przewróciła się i potoczyła po stole, zalewając obrus, na koniec upadła na płyty tarasu i stłukła się na drobne kawałki. Sara jednak nie zwróciła na to uwagi. Trzymała w ręku „Kurier Warszawski”. Na okładce wielką czcionką było napisane: „Czy księżna Sara Leokadia Reszko de domo Wolska jest autorką *Tajemnicy*?”. Prześliznęła wzrokiem po artykule i zamarła. Dowiedziała się, że kilka dni temu Bruno się ożenił. Pielęgnowane od kwietnia obojętność i duma teraz zostały wystawiane na wielką próbę. Do artykułu dołączony był rysunek. Szkic uciekającego przed dziennikarzami Dzikowskiego i dopiero co poślubiona płacząca żona wybornie udały się rysownikowi. Zostały okraszone prześmiewczym komentarzem „Pędząca gwiazda”. Sara chwyciła następną

gazetę. Również w niej pojawiła się wzmianka o *Tajemnicy*. Dziennikarz uderzał w dyskurs i zadawał pytanie: w jaki sposób marny literat wszedł w posiadanie historii spisanej przez księżną? W dalszej części artykułu wspominał piątkowe wieczory i snuł przypuszczenia, że to właśnie podczas takiego wieczoru Dzikowski mógł wykraść rękopis księżnej. Nawet w „Bibliotece Warszawskiej”, piśmie poświęconym naukom, sztukom i przemysłowi, prowadzono dysputę, czy to możliwe, by księżna Reszko napisała powieść. Wszak to dziedzina zarezerwowana wyłącznie dla mężczyzn – perorował w rozmowie z dziennikarzem wykładowca niedawno zlikwidowanego Uniwersytetu Królewsko-Aleksandrowskiego. Tylko jedna z gazet odważyła się sugerować romans między księżną a Dzikowskim, reszta optowała za tym, że literat znalazł się w posiadaniu dzieła podstępem.

Sara starała się zebrać myśli. Jak to się stało? Kto zdradził tę tajemnicę? O co tu chodzi? Dlaczego teraz? Wstała z wiklinowego fotela i zrobiła kilka kroków w stronę parku. Chciała w spokoju pomyśleć, co ma teraz czynić. Jak się chronić przed niechybnie zbliżającym się skandalem. Nie zdążyła dobrze przeanalizować sytuacji, gdy doleciał do niej stukot końskich kopyt. Zmrużyła oczy i przez gałęzie bujnej daglezi dostrzegła zbliżający się powóz, zaprzężony w sześć gniadych koni. Krew z niej odpłynęła, a każdym członkiem jej szczupłego ciała targała wściekłość. Rozpoznała powóz i stangreta. Po chwili powóz zatrzymał się przed podjazdem, ksiązę Hipolit Teofil Reszko wysiadł, przeciągnął się i spojrzał na żonę z obrzydzeniem. Na jego widok księżna wpadła w furję. To niemożliwe, żeby był aż taki zbieg okoliczności – pomyślała. Ten drań najpierw podstępem skłonił mnie do oddania powieści Brunonowi, a teraz ujawnił prasie, kto naprawdę jest autorem, przy okazji narażając na szwank moje dobre imię oraz ujawniając mój romans z Dzikowskim. Tak, zapewne chce mnie ośmieszyć przed wszystkimi.

Zacisnęła zęby. Poczzerwieniała z wściekłości. Miała ochotę rozszarpać tego podłego człowieka, który przemienił jej życie w piekło.

– Ty bydlaku, ty parszywa gnido! Ty chamie! Wiele rzeczy ci wybaczyłam, na wiele przymykałam oczy, udawałam, że nie słyszę, ale tej ci nie wybaczę. Pożałujesz tego, co zrobiłeś! – Podbiegła do powozu akurat w chwili, gdy wysiadała z niego panna służąca, którą ksiązę raczył zabrać ze sobą do Odessy. Na jej ślicznej twarzyczce pod prawym okiem wdzięczył się siniak. Józefka, widząc ironiczny wzrok księżnej, zawstydzona, próbowała zasłonić go woalką. – Nienawidzę ciebie i tych twoich ladacznic – wysyczała, a potem niespodziewanie zwróciła się do dziewczyny: – I po co ci to było? Tych kilka sukienek i świecidełek warte były razów, które otrzymałaś od tego bydlaka? – Pokręciła głową, ale przerażona służka, pewna, że ją księżna wyrzuci na zbity pysk, nie odpowiedziała. Stała ze spuszczoną głową, zalewając się łzami.

– O co ci chodzi? – Hipolit stanął w rozkroku i patrzył na żonę osłupiały. – Czyżbyś nagle poczuła zazdrość o mój niewinny flirt? Jakoś Helga ci nie przeszkadzała. A gdzie twój kochaś? Czyżby cię porzucił? Doszły mnie słuchy, że znalazł ładniejszą i młodszą. – Zaśmiał się szyderczo. – Widzę, że zrobiłaś się wredna i wulgarna, ot co – warknął, wymachując palcem wskazującym.

Spłoszona, zapłakana Józefka z opuszczaną głową minęła klócającą się książęcą parę i wbiegła do budynku.

– Proszę zdjąć bagaże księcia i przygotować powóz do drogi – rozkazała Sara stangretowi, nie komentując ani słowem obelg małżonka. – Marto, spakuj proszę moje kufry podróżne, swoje również spakuj, jedziemy do Bielawy. Pośpiesz się – rzuciła do służącej, która jak zawsze zjawiała się w odpowiednim czasie i miejscu.

– Tak jest, proszę pani! – Marta popatrzyła na swoją panią niepewnym wzrokiem. Chciała coś powiedzieć, o coś zapytać, coś wyjaśnić, ale nie miała odwagi. Jeszcze nigdy nie widziała księżnej tak rozgniewanej. Najgorsze, że знаła powód tego gniewu i czuła się potwornie winna. Tośmy narozrabiały z panią Marianną – pomyślała i westchnęła głośno. Panna Podolska wiedziała, co robi, ewakuując się. Zostawiła mnie na pastwę losu i naraziła na gniew ukochanej pani. I jeszcze pan Hipolit niesłusznie za nas oberwał, ale jego to akurat mi nie szkoda. Jemu się należało dużo gorsze łajanie za wszystkie krzywdy, które wyrządził pani Sarze – stwierdziła w duchu, pakując ze stangretem bagaże na tył powozu.



Słońce już chyliło się ku zachodowi, złocąc pola i łąki ciepłymi promieniami, gdy powóz zaprzężony w sześć koni wjechał w bramę z kutego żelaza i zmierzał aleją, przy której rosły rozłożyste platany. Sara chłonęła bliski jej sercu obraz i ze wzruszenia, że oto znów jest w ukochanych stronach, gdzie spędziła tak szczęśliwe dzieciństwo i beztrudną młodość, ciepło rozgrzało jej serce. Opuściła dom zaledwie trzy lata temu, a wydawało jej się, że minęła cała wieczność. Te przykre doświadczenia ukształtowały ją, dodały szlachetności, która cechuje ludzi znających ciemne strony życia, ale też bezpowrotnie odebrały spontaniczną radość. Przez całą drogę z Karczewa rozmyślała nad swoim przykrym położeniem. Miała dopiero dwadzieścia pięć lat, a przeżyła więcej niż niejeden przez całe życie.

Powóz zatrzymał się przed białym budynkiem z kolumnami obrośniętymi bluszczem. Z budynku wybiegły dwa wyżły i głośnym szczekaniem dały znak, że przyjechali goście. Wyścieńczone długą podróżą konie głośno rżały, domagając się wody i owsa. Przed dom wybiegł kamerdyner, a zaraz za nim wyszedł Ambroży Wolski.

– Wszelki duch Pana Boga chwali, toż to Sara! Tadeuszu, powiadom panią Klementynę, że jaśnie wielmożna księżna Reszko zaszczyciła nas swoją wizytą – zwrócił się Wolski do kamerdynera.

– Tatko, proszę, choć w domu zaoszczędź mi tytułów. – Sara zebrała poły sukienki i wsparła się na dłoni stangreta, który pomógł jej wysiąść z powozu.

– Córkó, jak dobrze cię widzieć. Dlaczego nas nie powiadomiłaś, że dziś przyjedziesz, czekalibyśmy na ciebie, cieszyli się, poczynili jakieś większe przygotowania. – Zszedł kilka stopni i chwycił Sarę w ramiona. Nie dał po sobie poznać, jak bardzo zmartwiła go jej niezdrowo szczupła, wątła sylwetka, smutny, jakby nieobecny wzrok i zrezygnowana postawa.

– A bez powiadomienia o moim przyjeździe nie cieszysz się moją obecnością?

– Ależ oczywiście, że się cieszę! Jak możesz w to wątpić? Jesteś u nas zawsze najmilszym gościem. Powiedz, kochanie, stało się coś, że tak niespodziewanie przyjechałaś? – Popatrzyl jej uważnie w oczy.

– Nie, tatusiu, nic się takiego nie stało. Po prostu boleśnie za wami zatęskniłam – powiedziała i uśmiechnęła się z melancholią, a potem zwróciła się do kamerdynera, który po powiadomieniu Klementyny na powrót wybiegł z budynku: – Tadeuszu, proszę, zanieś bagaże do mojej dawnej sypialni.

– Oczywiście, księżno. – Skinął głową, schodząc po schodach.

– Aha, jeszcze jedno, weź również torbę panny Marty i zanieś do wolnego gościnnego pokoju, najlepiej obok mojej sypialni. Nie chcę, by spała za kuchennym przepierzeniem.

– Czy to aby nie za wielkie wyróżnienie jak dla zwykłej służącej? – Klementyna wyszła na ganek i od razu zmarszczyła czoło na fanaberie córki.

– Dzień dobry, mamo. Marta nie jest zwykłą służącą. Jest w Karczewie ochmistrzynią. Ale nawet gdyby była tylko służącą, od dawna ma swój własny pokój i odwykła od spania za kuchennym piecem.

– Zrób tak, jak księżna sobie życzy, Tadeuszu – rzekła Wolska, nie kryjąc swojej dezaprobaty.

– Och, jak pięknie zrobiło się w Bielawie. Cudownie rozrosły się róże i malw chyba przybyło. Tu się oddycha. – Sara rozłożyła ramiona, uniosła twarz ku niebu i zakręciła się w kółko. – Boże, jak ja za tym wszystkim tęskniłam.

– U was w Karczewie roślinność piękniejsza, bujniejsza, a wokół pałacu masz do dyspozycji park z egzotycznymi nasadzeniami – wymieniała z dumą Wolska, która, owszem, cierpiała po śmierci wnuczki i w dodatku doskonale zdawała sobie sprawę z beznadziejnego małżeństwa córki, ale wciąż ponad wszystko bała się skandalu i marzyła, by utrzymać status quo. – Masz tam wszystko, moja droga.

– Tylko życia tam nie mam – podsumowała smętnie Sara.

– Wejdźmy do środka. Klementyno, Saro, no chodźcie, chodźcie. Nasza córka zapewne jest wykończona podróżą. Niech dziewczyna się odświeży, przebierze, nie trzymajmy księżnej na ganku – zakomenderował Ambroży.

– Tak, tak, masz rację. Nie ma co dyskutować przed domem. Cieszę się, Saro, że nas odwiedziłaś. Bardzo się cieszę – wyznała Wolska i zanim weszli do budynku, objęła dziewczynę ramieniem. Sara przytuliła się do matki serdecznie i może nieco zbyt wylewnie jak na zwyczajne panujące w Bielawie. Mimo że ten uścisk wypadł trochę niezręcznie, czuła potrzebę bliskości. Dawno nie przytulała się do nikogo. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakuje.

W jej panińskim pokoju nic się nie zmieniło. Ukochane biurko stało w tym samym miejscu, nawet kajet pozostał na wierzchu i aż się prosiło, by w nim coś zapisać. Przejechała dłonią po dębowym blacie. Myślała, że poczuje w duszy tamte marzenia z czasów, gdy była panienką, że wróćą do niej młodzieńcze nadzieje i wiara w to, że wszystko przed nią. Zamiast tego poczuła się starą, przegraną kobietą. Odwróciła się od biurka akurat w momencie, gdy rozległo

się pukanie do drzwi, a po chwili weszła Marta. Przyniosła wiadro gorącej wody i część wlała do miski, dołała zimnej, a potem pomogła swojej pani odświeżyć się i przebrać.

– Cieszysz się, Marto, że przyjechałyśmy do domu? – spytała Sara, właściwie tylko po to, by zabić ciszę. Naprawdę nie miała ochoty na rozmowę. Zmęczenie podróży i poranna kłótnia z Hipolitem, a także nagła myśl o braku życiowych perspektyw wykończyły ją zupełnie.

– To nie jest nasz dom, pani Saro. Tamten w Karczewie też nie jest domem. On jest tylko schronieniem przed niepogodą. Pięknym pałacem, w którym, sama pani wie, nie ma miłości ani szczęścia. Tego ostatniego nigdy w nim nie będzie. To złe mury, proszę pani.

Siedząca przy toalecie Sara spojrzała w lustro i poszukała wzroku służącej. Jak zawsze Marta miała rację. Bielawa nie jest już jej domem, ale Karczew też nim nie jest. Więc gdzie jest mój dom? – pytała się w myślach. – Gdzie jest miejsce na ziemi, w którym będę szczęśliwa i bezpieczna?

Kolacja z rodzicami przebiegła swobodnie i spokojnie. Rozmawiali o perspektywie tego-rocznych zbiorów, o sąsiadach i o mało istotnych sprawach, ale gdy przeszli do salonu wypoczynkowego, atmosfera się zmieniła. Klementyna zmarszczyła brwi i wbiła w córkę naganne spojrzenie.

– Dotarli do nas plotki, jakobyś miała coś wspólnego z książką pana Dzikowskiego. Nie dalej jak wczoraj donosił o tym „Kurier Warszawski” i przyznam, że bardzo mnie ta sprawa niepokoi. Moje obawy płyną stąd, że znam twój afekt do pisaniny. Nigdy nie podobały mi się twoje skłonności do egzaltacji i do ciągłego pisania. Mam nadzieję, że te pomówienia to tylko bezmyślne plotki. Czekam, Saro, na twoje zaprzeczenie. Przyznam, że miałam nawet zamiar pisać do ciebie w tej sprawie. – Wolska mówiła na pozór spokojnie, ale Sara doskonale odczytywała reprimendę i potępienie w słowach matki.

– Mogłabym dla świętego spokoju zaprzeczyć, ale nie uczynię tego. To byłoby z mojej strony płytkie i bezsensowne. Ponadto mam od rana ochotę na mówienie prawdy. Wyłącznie prawdy – podkreśliła. – A zatem: tak, mam, to moja książka. – Sara odstawiła filiżankę i założyła nogę na nogę. Wyraźnie nastawiła się na konfrontację. – Zostałam w pewien sposób podstępem zmuszona do przekazania Dzikowskiemu mojej twórczości i bardzo tego żałuję.

– Chociaż tyle dobrze, że żałujesz popełnienia tej... twórczości – rzuciła matka, intonując ostatnie słowo niczym najgorszą obelgę.

– Ależ nie żałuję jej napisania! – Roześmiała się gorzko. – Żałuję jedynie, że nie ma na niej mego nazwiska.

– No wiesz... – zachnęła się matka.

– To dobra książka. Powinam uzbroić się w cierpliwość i starać się, by moje nazwisko widniało na okładce. Włożyłam w tę pisaninę, jak określasz moją twórczość, zbyt dużo serca. No ale cóż, stało się. Już tego nie zmienię.

– Kto cię zmusił do tego... podstępu? – Wolska ściągnęła brwi ku sobie i lustrowała córkę spojrzeniem, jakby nie wierzyła w taką wersję wydarzeń. Owszem, zdawała sobie sprawę, że jej córka uległa afektowi miłosnemu, potępiła w duchu to uczucie, ale dopóki nie mówiło się o nim w kręgach towarzyskich, gotowała była przymknąć oczy na ten romans, tym bardziej że

i Hipolit święty nie był. Teraz jednak, w obliczu niechybnego skandalu, musiała zająć stanowisko i uratować w opinii publicznej godność córki.

– Kto mnie do tego zmusił? Mój osobisty małżonek – zadrwiła księżna.

– To Hipolit wie? – spytał cicho Ambroży.

– Nie tylko wie, tatku, ale poświęcił wiele czasu i zapewne pieniędzy, żeby zrealizować swój niecny plan. Zadbał o to, by wydać książkę Dzikowskiemu, sprowadzić ją do rysztyka, a teraz, jak widać, zadbał też o to, by prasa i mnie mieszała z błotem.

– Ależ... ależ... o tej książce pisano, że jest wulgarna i nieprzeznaczona dla młodych kobiet. Ta powieść ma skandalicznie złe opinie... – Matka wzięła chusteczkę i zaczęła się wachlować. – Ambroży, proszę nalej mi wina. Ja chyba tego wszystkiego nie wytrzymam. Od lat potępiałam tę twoją pisaninę, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że piszesz o rzeczach nieprzyzwoitych.

– Już, moja duszko. – Ambroży zerwał się z fotela, wyjął trzy kieliszki, nalał trunku i podał kobietom, po czym usiadł z powrotem w fotelu i sam się napił.

– Mamo, nie piszę o rzeczach nieprzyzwoitych, tylko o miłości. No tak, ale dla ciebie miłość w ogóle jest nieprzyzwoita i niepotrzebna w życiu. – Sara pozwoliła sobie na drwinę. – Powieść jest piękna i wartościowa, ale Hipolit zadbał o podłą prasę, dlatego i tekstu, i jej domniemanego autora nie oszczędzano. Teraz już o tej książce źle nie piszą, prawda? – Na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiech.

– No... nie wiem... aż tak bardzo się tej sprawie nie przyglądałam. Dopiero wczoraj, gdy przeczytałam twoje nazwisko połączone z tym skandalistą, przejęła mnie groza, ale skoro mówisz, że twój mąż o tym wie, to chyba niepotrzebnie się przejęłam – zakpiła Wolska.

– Przejęłaś się wczoraj opiniami w gazecie? Czy w ogóle informacją o książce? – spytała Sara lekceważąco, jakby to, o czym piszą w gazetach, w ogóle jej nie dotyczyło lub mało ją interesowało. – Tym akurat nie musisz się przejmować. – Wzruszyła ramionami.

– Podziwiam twój spokój. Uważam jednak, że z twoją pozycją powinnaś uważać na to, co o tobie piszą. A i nam w Bielawie zapewne przyjdzie zapłacić za twoje ekscesy. – Poprawiła brązowy szal na ramionach i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ja natomiast podziwiam twój spokój, mamu – odcięła się.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, a ponadto nie podoba mi się ton, jakim się do mnie zwracasz. Nigdy taka nie byłaś. – Ściągnęła usta w ciup, wyrażając tym samym najwyższe oburzenie. – Chyba sama wiesz, że lada chwila wybuchnie prawdziwy skandal. A ty tak spokojnie to przyjmujesz? Doprawdy nie wiem, co się z tobą stało.

– Jak to, co się ze mną stało? – Księżna parsknęła kpiąco. – Z największą chęcią wyjaśnię ci, mamu. Otóż, wyobraź sobie, że moi wspaniali rodzice wydali mnie za mąż. Nie patrzyli ani na moją wolę, ani na charakter przyszłego małżonka, ani nawet na jego wiek. Liczyły się jego pozycja i majątek, a najbardziej fakt, że posiadał tytuł książęcy. Prawda? – Uśmiechnęła się szeroko, jakby rozmawiali o niewartych uwagi błahostkach.

– Saro, nie męcz matki – wtrącił milczący dotąd ojciec.

– Och, jak miło, tatku, z twojej strony, że stajesz w obronie ukochanej żony. To doprawdy czarujące. W mojej obronie nie miał kto stanąć. Nikt mi nie pomógł, gdy Hipolit mnie bił,

gwałcił, poniżał, odbierał godność, oskarżał o bezpłodność, knuł intrygi i obnosił się z kochankami, które wybierał spośród służby.

– Saro, proszę cię, to są wasze... – wtrąciła Klementyna, ale Sara jej brutalnie przerwała.

– To są nasze sprawy? Doprawdy? Więc dlaczego martwisz się jakąś głupią książką? To też jest wyłącznie moja sprawa.

– Grzeczniej, proszę – upomniała ją Wolska.

– Nie, nie mam zamiaru być grzeczna. Już nigdy! Nie chcę być grzeczna, bo źle na tym wychodzę. Otóż powiem wam, kim jest mój mąż. Jeśli jeszcze to do was nie dotarło.

– Saro, na Boga, uspokój się – poprosił ojciec, ale córka nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Książę Reszko, wasz zięć, to intrygant, cham, nikczemnik, który nie zawaha się przed niczym. To za jego sprawką narzeczony Marianny został oskarżony o zaległości płatnicze i skazany na katorgę. Umiera zapewne gdzieś tam w śniegach Syberii. A na domiar złego Hipolit wmówił Mariannie, że jest w stanie uratować Nikodema, jeśli ona spełni jego rozkaz.

– Nie chcę tego słuchać – oświadczyła stanowczo Klementyna i uniosła się z fotela.

– Może i nie chcesz, ale tym razem posłuchasz. – Sara zerwała się i zatrzymała matkę w fotelu. – Boisz się słuchać, bo wiesz doskonale, że ją upokorzył i wykorzystał. Zgwałcił brutalnie, słyszałam jej krzyki i błagania o pomoc, a potem skłonił, by podstępem namówił mnie do oddania ukochanej książki pod nazwisko Dzikowskiego. Zgodziłam się, bo kochałam Brunona. Tymczasem Reszko przekupił dziennikarzy, by zniszczyli Dzikowskiego, a przy okazji i mnie. Dalej wciąż ignorujecie to, co się dzieje w Karczewie? – Patrzyła złym wzrokiem to na ojca, to na matkę. A ponieważ żadne z nich nie odpowiedziało, ciągnęła: – Co noc słyszę, jak przysposabia sobie kochankę lub bierze dziewczyny ze służby. Wychodzą spod jego ręki z siniakami, poturbowane i złamane. Ja też jestem poturbowana i złamana! – wyrzuciła z siebie, a potem ciężko oddychając, wróciła na fotel.

– Och, mój Boże! – Klementyna schowała twarz w dłoniach. – Proszę cię, oszczędź mi tego! Ja nie chcę o tym wiedzieć. Co my mamy poradzić na to nieszczęście? Prawo nie przewiduje rozwodów, Hipolit jest twoim mężem...

– Owszem, jest moim mężem – przyznała Sara zrezygnowanym głosem. – Cierpiałam, milczałam, ale mam dość. Nienawidzę świata, ludzi, a szczególnie tego podłego domu pełnego tajemnic, niedomówień i brutalności. Sprzedaliście mnie za sakiewkę pełną złota. Nie chcieliście mojego szczęścia. Przecież jesteście ludźmi zamożnymi, a ja jestem waszym jedynym dzieckiem. Czy nie mogliście, jak ciotka Adelajda, pozwolić swojemu dziecku na bycie szczęśliwą? Tato, czy nie miałaś choć chwili zawahania? Przecież znałaś się z nim, przyjaźniłaś? – Spojrzała na ojca oczyma pełnymi łez.

– Och, ja wychodzę, słabo mi. – Klementyna pociągnęła nosem. – Niech zostanie, jak jest. Przecież jakoś sobie radzisz. – Podniosła się z miejsca.

– Jeśli teraz stąd wyjdiesz, mam, w tej chwili każę spakować moje rzeczy i możecie o mnie zapomnieć, bo... – Zamilkła raptownie, a potem dodała spokojnym, wyważonym tonem: – Bo odbiorę sobie życie.

W głosie Sary była tak wielka determinacja, że Klementyna i Ambroży się strwożyli.

– Och, mój Boże – jęknęła Wolska. – Ja naprawdę chciałam tylko twojego szczęścia.

– Wiem. Ale się wam swaty nie udały. Tylko że za waszą pomyłkę zapłaciłam cierpieniem i tragicznie nieudanym życiem! – Odstawiła filiżankę, wstała i bez słowa wyszła z salonu.

Nie poszła jednak do swojej dawnej sypialni, wyszła przed dom, oparła się o obrosnięty bluszczem filar i popatrzyła w gwiazdy. Niezakłócone żadnym źródłem światła pięknie migotały na nieboskłonie. Ciepły wiatr pieścił jej twarz, a ona straciła poczucie czasu. Tuż obok niej przeleciały robaczki świętojańskie, a z szerokiego okrągłego klombu doleciało do niej cykanie świerszczy. Poszukała wzrokiem Gwiazdy Polarnej, bo kiedyś ciocia Adelajda powiedziała jej, że gdy się znajdzie na niebie tę najjaśniejszą z gwiazd, spełni się marzenie. Sara odsunęła się od filara i zrobiła kilka kroków naprzód. Rozejrzała się po niebie pełnym gwiazd. Wydawało jej się, że widzi tę najjaśniejszą. Uśmiechnęła się i otworzyła usta, by wymówić życzenia, ale zamarła. Z przerażeniem odkryła, że nie ma marzeń ani pragnień.

– Nie mam niczego, dla czego warto byłoby żyć – szepnęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Saro – w ciemności usłyszała łagodny głos ojca – jesteś tu, córeczko?

Wyłoniła się z ciemności, jaką roztoczył nad nią parasol platanowych gałęzi, i z powrotem weszła na schody.

– Jestem, tato – odpowiedziała zrezygnowanym szeptem.

– Kochanie, chcę ci coś powiedzieć. Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale proszę, zastanów się nad naszą propozycją. Postanowiliśmy z twoją mamą, że jeśli tylko zechcesz, kupimy dla ciebie posiadłość. Mały dworek lub godny apartament w Warszawie, żebyś w spokoju mogła robić to, co najbardziej kochasz. Pisać – dopowiedział po dłuższej chwili.

Stała i bez słowa wpatrywała się w ojca. W ciemności nie widziała dobrze jego twarzy. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ojciec właśnie podarował jej wolność. Zachciało jej się płakać i śmiać jednocześnie. Nie spodziewała się takiej hojności.

– Tatku, nie chcę, byście przeze mnie doznali jakiegokolwiek choćby najmniejszego uszczerbku na majątku.

– Kochanie, mamy ciebie jedną. I tak tylko ty po nas dziedziczysz. Kupimy to na nasze nazwisko, by łapska tego drania nie sięgnęły po twoją własność. A my... – machnął ręką – mamy dla siebie aż nadto. Pragniemy, byś była spokojna i bezpieczna. Powiedz tylko, czy wolisz wieś, jakiś mały domek pod lasem, czy miasto. – Uśmiechnął się do córki kojąco, choć ona tego uśmiechu nie zauważyła.

– Wolę Warszawę – odpowiedziała, sama zaskoczona swoim wyborem. – Tak, tatku, wybieram Warszawę. – Nagle poczuła się lekko, szczęśliwie, spokojnie, jakby dopłynęła do brzegu. Dwie ciepłe łzy wypłynęły z kącików jej oczu, ale usta się uśmiechały. – Dziękuję, tatusiu – szepnęła. – Uratowałeś mnie.

Ambroży Wolski przytulił córkę. Stali dłuższą chwilę w milczeniu. Nie zdradził ani słowem, jakie piorunujące wrażenie wywarła na nim groźba odebrania sobie życia przez jego ukochaną córkę. Gdzieś daleko we wsi zaszczekał pies, Sara odwróciła się i jeszcze raz popatrzyła w gwiazdy. Ta najjaśniejsza była tuż nad nią.

– Chcę ujrzyć swoje nazwisko na książce. I chcę napisać jeszcze wiele powieści – powiedziała na głos, nim weszła za ojcem do środka.



Pocztylion ruszający żółtym dyliżansem z Krakowskiego Przedmieścia na plac Warecki, skąd zabierał podróżnych, zadał w trąbkę, już z daleka dając znać, że się zbliża. Sara wyjrzała z okna swojego apartamentu i posłała uśmiech starszemu mężczyźnie, z którym mijała się niemal każdego dnia podczas porannego spaceru. Ojciec słowa dotrzymał i kupił dla niej piękny, obszerny i wygodny apartament na pierwszym piętrze u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej, tuż obok poczty królewskiej, którą warszawiacy nazywali pocztą saską z powodu stałych połączeń kurierskich z Saksonią. Właśnie w tym budynku pocztowym drugiego listopada tysiąc osiemset trzydziestego roku Fryderyk Chopin nadał swój bagaż i na zawsze wyjechał z Polski. Tuż za budynkiem poczty, przy ulicy Koziej, znajdowała się kawiarnia U Brzezińskiej. Początkowo księżna omijała ten lokal, ale pewnego dnia zapragnęła odczarować przeszłość i napić się ponczu w kawiarnianym ogródku. Od tego dnia zachodziła tam niemal codziennie, by wypić pyszną kawę i przejrzeć prasę. Szybko rozniosło się w kręgach, że księżna Sara Leokadia Reszko przeniosła się na stałe do Warszawy. Jej obecność była pożądana w towarzystwie z uwagi na prestiż i popularność, jaką zapewniała jej pozycja ale też i prasa. Gazety wciąż rozpisywały się o jej rzekomym autorstwie najpopularniejszej i najbardziej rozchwytywanej powieści pod tytułem *Tajemnica*. Sara nie komentowała tych doniesień, zbywała je uśmiechem i zmieniała temat, czym jeszcze bardziej podsycala ciekawość. Starzy znajomi oraz artyści odwiedzali ją i namawiali usilnie, by wznowiła piątkowe wieczory, ale księżna sama nie wiedziała, czy jest na to gotowa.

– Pani Saro, jest pani na ustach całej Warszawy. Niektórzy chcą mi nawet zapłacić za ujawnienie sekretu, czy to pani napisała *Tajemnicę* – komentowała ze śmiechem Marta, wypakowując z siatek świeże warzywa, które właśnie zakupiła na ryneczku.

– No i cóż im odpowiadasz? – zainteresowała się Sara.

– Najchętniej bym im wyznała, że to moja pani napisała tę śliczną książkę. Ot, co. Ja nie wiem, jak można tak pozwolić, by on się panoszył i udawał autora – pomstowała.

– A skąd wiesz, że to śliczna powieść? – Księżna się roześmiała. – Gazety pisały, że to rzecz całkiem nieudana.

– Gazety kłamią, proszę pani. Wiem, że jest piękna, bo przeczytałam ten egzemplarz, co ją pan Bruno dla pani podpisał – chlapanęła, i zaraz nakryła usta dłonią. – Przepraszam, pani Saro. Po prostu ta książka leżała i ja któregoś dnia zaczęłam czytać i się od niej zupełnie oderwać nie mogłam, a obowiązków w mieście nie tyle co na wsi, więc lubię czasami coś poczytać, jak mam wolne.

– Cieszę się, Marto, że ci się podobała. Możesz czytać, ile tylko chcesz – odpowiedziała w zamyśleniu, bo dopiero teraz przypomniała sobie, że tak bardzo wyparła z pamięci tamto spotkanie U Brzezińskiej, że nigdy nie otworzyła karty tytułowej i nie przeczytała dedykacji Brunona. Teraz też biła się z myślami, ale ciekawość zwyciężyła.

Wyszła z pomieszczenia i udała się do biblioteki. Wyciągnęła książkę tak bliską swojemu sercu, a jednocześnie tak obcą, otworzyła na tytułowej karcie i przeczytała: „Saro, jak widzisz,

zaopiekowałem się Twoim dzieckiem najlepiej, jak umiałem”. Przeczytała wpis jeszcze raz, a potem, zniesmaczona, odłożyła książkę. Po chwili znów ją wzięła do ręki, wyrwała kartkę z dedykacją i podarła ją na maleńkie kawałki.

– To nie było moje dziecko, tylko nasze. Obiecałeś mnie uwolnić, a nie porzucić jak niechcianego psa. Nie chciałeś tego dziecka, pragnąłeś tylko sławy i pieniędzy. Nie byłeś wart mojej miłości ani zaufania – powiedziała głośno, jakby przed nią stał Bruno. Zaciśnęła dłonie na dębowym blacie biurka, a potem oparła na nich głowę i zapłakała.

Nagle wstąpiła w nią złość. Znów sięgnęła po wolumin oprawiony w skórę. Wzięła z biurka srebrny nożyk do rozcinania listów i przejechała ostrzem po złotych literach składających się na nazwisko Brunona Dzikowskiego. Tak długo dźgała nożem, aż nie można było rozróżnić liter ani ich przeczytać. Wyrwała kartkę, potem kolejną i jeszcze jedną, aż z książki nie zostało nic.

Gdy się uspokoiła, wyjęła z szuflady kremowe kartki, ołówki, pióro i kałamarz. Ustawiła wszystko w skrupulatnym porządku i wygodniej rozsiadła się na krześle. Biurko ustawiła tak jak w domu w Bielawie, prawie pod samym oknem. Pamiętała, że podczas pisania, gdy się zamyslała, lubiła mieć przed sobą przestrzeń. Zdawało jej się wtedy, że jej myśli bujają w bezkresach wyobraźni. Pochyliła się nad kartką, napisała jedno zdanie, drugie, trzecie, a potem nawet nie spostrzegła, kiedy pisząc, zapomniała o całym świecie.



Księżna Sara Leokadia Reszko pokochała gwar wielkiego miasta. Co rano budziła ją trąbka poczytliwa i stukot końskich kopyt na bruku, pokrzykiwania przechodniów, odgłosy przejeżdżających dorożek i cały ten miejski zgiełk. O dziwo, ona, urodzona i wychowana wśród zieleni, bardzo dobrze odnajdywała się w mieście. Warszawa stała jej się bliska jeszcze bardziej, gdy pod koniec lipca przeniosła szczątki Anny Marii z Karczewa na cmentarz Powązkowski. Rodzice wprawdzie namawiali ją, żeby jej dzieciątko spoczęło w Bielawie w ich rodzinnym grobowcu, ale księżna chciała mieć córeczkę blisko siebie. Wystarczyło dwadzieścia minut jazdy dorożką, by mogła odwiedzić swojego aniołka i w ciszy zmówić modlitwę.

Pewnego lipcowego dnia, gdy ubrana w białą letnią suknię siedziała w kawiarnianym ogródku U Brzezińskiej i raczyła się kawą po wiedeńsku, zatrzymał się przed nią młody jasnowłosy mężczyzna. Mógł być w jej wieku lub niewiele starszy. Zapatrzył się na Sarę, a kiedy, zdziwiona, podniosła na niego pytający wzrok, zdjął kapelusz, skłonił się i przedstawił.

– Dzień dobry, księżno, nazywam się Gustaw Gurg i jestem wnukiem świętej pamięci Hieronima Gurga. Wiem, że znała pani mojego dziadka...

– Znałam to za duże słowo. Zaledwie raz z nim rozmawiałam. – Złożyła gazetę, którą właśnie czytała. – Sara Leokadia Reszko. – Również się przedstawiła, podając mężczyźnie dłoń do pocałunku. – Niechże pan spocznie. – Wskazała krzesło po swojej lewej stronie.

– Jestem zaszczycony. Szukałem z panią kontaktu. Byłem nawet w Karczewie, ale nie udzielono mi informacji. Potem życzliwi poinformowali, że przeniosła się pani do Warszawy.

Wprawdzie zdołałem poznać adres, ale z obawy, że nie zechce mnie pani przyjąć, polowałem na panią tutaj. – Uśmiechnął się.

– Ach tak? Widzę więc, że to nie jest przypadkowe spotkanie. – Odwzajemniła uśmiech. – Zatem porozmawiajmy.

– Czy ma pani na coś ochotę? – spytał, gdy młodziutka kelnerka podeszła do ich stolika.

– Dziękuję, poprzestanę na kawie.

– To w takim razie dla mnie również tylko kawa. Po wiedeńsku, ma się rozumieć. – A gdy dziewczyna się oddaliła, zwrócił się do Sary: – Księżno, pragnę, by była pani ze mną szczerą. Wiem o pani staraniach o wydanie *Tajemnicy*, wtedy jeszcze z tytułem *Dom pełen tajemnic*. Wiem też, jak droga jest dla pani ta powieść.

– Jeśli to kolejna intryga mojego małżonka, to proszę sobie i mnie oszczędzić czasu. Nie interesuje mnie to – powiedziała zniecierpliwiona i chciała sięgnąć po gazetę, lecz ta, przesunięta przez kelnerkę, leżała zbyt daleko. – Westchnęła więc głośno, dając tym samym znać, że obecność Gustawa jest niepożądana.

– Po śmierci dziadka ja kieruję wydawnictwem...

– Przykro mi z powodu śmierci pańskiego dziadka. Proszę przyjąć ode mnie najszczerze kondolencje.

– Dziękuję, księżno. Wiem, że mój dziadek zawiódł pani oczekiwania. Chcę to naprawić. Z księciem Hipolitem Reszką nie miałem przyjemności się zapoznać i proszę mi wierzyć, że odkąd ja zarządzam gazetą, ani razu nie próbował interweniować, zresztą nawet gdyby chciał, to nie mam w zwyczaju ulegać czyimś wpływom lub namowom – mówił grzecznie, ale stanowczo, bez służalczości. W związku z podejrzeniem, że autorem *Tajemnicy* nie jest pan Bruno Dzikowski, mam ogromny dylemat. – Spojrzał na nią, ale ona zachowała pokerową twarz. Milczała, patrząc gdzieś w sobie tylko wiadomy punkt, nie ułatwiając mu zadania. – Księżno, z doskonałego źródła wiem, że to pani jest autorką *Tajemnicy*, i bardzo chcę...

– Proszę najpierw wyjawić to źródło – rzuciła ostro. – Inaczej nie mamy o czym rozmawiać.

– Nie mogę, ale zapewniam panią, że to nie ksiązę Reszko. Naprawdę nie chciałbym złać tajemnicy dziennikarskiej.

– Żegnam pana w takim razie.

– Księżno... Jeśli wyjawię, ta osoba może mieć nieprzyjemności, choćby z pani strony...

– Z mojej strony nic jej nie grozi. Natomiast nie życzę sobie żadnych więcej sekretów, pokątnych tajemnic, intryg i Bóg wie czego jeszcze. Jeśli mi pan nie wyjawi, kto zdradził sekret mojego autorstwa, po prostu wstanę i wyjdę. Niech się pan dobrze zastanowi.

Gustawowi nie pozostało nic innego, jak ujawnić autorkę listu. Bardzo tego nie chciał, zarazem jednak intuicja podpowiadała mu, że drugiej szansy na rozmowę z księżną nie będzie.

– List przyszedł do mnie na początku czerwca, napisany na oryginalnej bladuróżowej papeterii, należącej do pani, księżno. – Spostrzegł błysk zainteresowania w jej oczach i kontynuował: – Przysłała go pani Marianna Podolska, prosząc jednocześnie o dyskrecję.

– Marianna? Ach, to dlatego nagle zniknęła. Zapewne ciotka Adelajda ma się świetnie. – Zmrużyła oczy, bo słońce stawało się coraz dokuczliwsze.

– Może księżna zechce się przesiąść na mój fotel – spytał usłużnie i natychmiast się podniósł.

– Dziękuję, rzeczywiście żar leje się z nieba w tych ostatnich dniach lipca. – Usiadła na miejscu Gustawa, tyłem do słońca, on przysunął krzesło nieopodal niej. Siedzieli obok siebie. Jakaś dziwna niewidzialna nić porozumienia rodziła się między nimi, czego ani ona, ani on nie potrafili wytłumaczyć.

– Księżno, jestem z panią całkowicie szczery, jednak bardzo proszę, by nie wyciągała pani pochopnych konsekwencji w stosunku do nadawczyni. Jej list był bardzo przejmujący – wyznał, pomijając ostatnie zdania, w których Podolska groziła ujawnieniem informacji w innych czasopismach. Nie wspomniał również o dołączonych kopiach prywatnej korespondencji pomiędzy Sarą a Dzikowskim.

– Ma pan moje słowo. Nie zdradzę się i proszę mi wierzyć, moje stosunki z panią Podolską nie ulegną zmianie. – Podniosła filiżankę i upiła łyk nieco już przestygniętej kawy.

– Dziękuję. A zatem, kiedy otrzymałem list, wstrzymałem honoraria dla pana Dzikowskiego. Oczywiście poinformowałem go o tym, że doszły mnie słuchy, że nie on jest autorem powieści i że do czasu rozstrzygnięcia sporu nie dostanie wypłat. No i zażądałem oświadczenia, czy jest autorem powieści.

– Cóż on na to? – spytała niby od niechcienia.

– Robi uniki, nie chce odpowiedzieć wprost, ale też nie zaprzecza. Myślę, że czeka na ruch z pani strony. – Gustaw Gurg również upił łyk kawy.

– I czegoż pan ode mnie oczekuje? Deklaracji? Oświadczenia dla gazety? Niczego takiego nie będzie. Nie mam w zwyczaju publicznego obnażania osobistych spraw. Niepotrzebnie się pan fatygował.

– Nie śmiałbym prosić księżnej o oświadczenie dla prasy. Wystarczy mi potwierdzenie, że *Tajemnica* wyszła spod pani pióra. Ja się zajmę resztą. – Popatrzył na przejeżdżającą dorożkę, której woźnica głośno pokrzykiwał na konia, a potem odwrócił głowę w stronę Sary w momencie, kiedy i ona spojrzała na niego. Ich oczy się spotkały i bezwiednie uśmiechnęli się do siebie.

– Panie Gustawie – powiedziała łagodnie. – Ta książka była dla mnie wszystkim. Moją miłością, w dosłownym tego słowa znaczeniu, moją nadzieją, moim drugim dzieckiem...

– Drugim? To jest gdzieś jeszcze pierwsze literackie dziecko? – spytał z błyskiem w oku.

– Moje pierwsze dzieciątko zmarło przy porodzie...

– Bardzo pani współczuję. Niepowetowane nieszczęście. – Miał żal do siebie, że zadał to pytanie, bał się, że księżna znów zamknie się w swojej skorupie.

– Tak, niepowetowane – ucięła krótko i natychmiast zmieniła temat. – Z tą powieścią wiązałam wiele nadziei. Nie wdając się w głębsze tłumaczenia, powiem tylko, że podstępem zdołałam przekonać, bym oddała ją w ręce pana Dzikowskiego dobrowolnie. Toteż myślę, że ja do niej nijakich praw już nie mam. Ale owszem, tak, jestem jej autorką.

– To cudownie. A co do praw, myli się pani, księżno. Ma pani do niej wszelkie prawa. Nikt pani ich nie odebrał. Nawet pani sama sobie ich nie odebrała, przekazując powieść panu Dzi-

kowskiemu. Jeśli pani wyrazi zgodę i zaufa mi, z ogromną satysfakcją będę reprezentował panią w sądzie.

– Sąd? Ach, mój Boże, to nie dla mnie. Szanowny panie Gustawie, z całą sympatią do pana, ale nie mogę się na to zgodzić. Ja i pieniactwo sądowe? Ależ naprawdę pan wybaczy, ale nie. – Odsunęła od siebie niedopitą kawę. Nie lubiła zimnej, na drugą też już nie miała ochoty.

– Stałaby się pani wzorem dla innych pisarek. Oprócz moralistycznych powiastek pani Hoffmanowej żadna inna kobieta nie wydaje niczego i długo jeszcze nie wyda. Czy zdaje pani sobie sprawę, ile kobiet tworzy przepiękne powieści, a potem je drze albo wrzuca do ognia, gdy straci nadzieję na wydanie?

Sara uśmiechnęła się mimowolnie. Przypomniało jej się, że ona też tak robiła. Bez wiary w przyszłość swojego pisania wrzucała zapiski do ognia.

– Muszę się zastanowić. To byłaby naprawdę duża zmiana w moim życiu. Choć przyznam, że właśnie piszę drugą powieść. Wcześniejsze skończyły w kominku, tak samo jak pamiętniki. – Roześmiała się gorzko.

– Ach, cóż za strata. Okropne. Pani Saro, to znaczy, księżno, wiem, że nie powinno rozmawiać się o pieniądzach, ale to są potężne kwoty. Ogromne. A nakład właśnie się skończył, czytelnicy domagają się wznowienia *Tajemnicy*. Chętnie ją wydaję z pani nazwiskiem. Wykaligrafuję je złotymi zgłoskami. Będzie się świecić z daleka. – Opowiadał z błyskiem w oku.

Teraz księżna Reszko roześmiała się szczerze. Przecież ten człowiek właśnie wypowiedział na głos jej wielkie marzenie. Dokładnie tak wyobrażała sobie swoją książkę. Ze złotymi literami na okładce.

– Och, doprawdy, strasznie pan to kusząco przedstawia. – Zarumieniła się.

– Nawet pozwolę pani zmienić tytuł, bo wiem, że pierwotnie brzmiał: *Dom pełen tajemnic*.

– Nie! Tytuł ma zostać ten, który jest. *Tajemnica*. Dajmy panu literatowi po nosie. *Tajemnica*. Sara Leokadia Reszko de domo Wolska. – Policzki jej płonęły, bo oczyma wyobraźni już dotykała okładki swojej powieści.

– Cudnie, a zatem od jutra zaczynam działać. – Klasnął w dłonie.

– Ach, nie powiedziałam jeszcze, że się zgadzam. Ale owszem, zgodzę się pod warunkiem, że i pan mi pomoże. Powiedział pan, że wstrzymał się z wypłatą honorarium panu Dzikowskiemu i jak zrozumiałam, jest to spora kwota.

– Tak, w rzeczy samej. Mogę ją pani po podpisaniu umowy natychmiast wpłacić na konto. Sprawami sądowymi zajmę się sam. To już moje zmartwienie.

– Mam inny plan co do tej sumy. Otóż przyjaciel mojej kuzynki został niesłusznie oskarżony i wysłany na Sybir. Pragnę, by pan postarał się o dojsca, kto jest władny uwolnić go. Przeznaczam na to tyle, ile będzie konieczne. Nawet wszystko – zastrzegła. – Jeśli pan sprosta temu zadaniu, mogę powierzyć panu wszystkie napisane przeze mnie powieści, bo mam zamiar napisać ich dużo. Bardzo dużo.

– A zatem, księżno, czy na dobry początek naszej współpracy da się pani zaprosić na obiad? – Skłonił się i podał jej rękę, by pomóc jej wstać.

– Nie widzę przeciwwskazań. – Uniosła głowę i spojrzała na niego spod runda białego kapelusika, a on pomyślał, że nigdy nie widział tak pięknych oczu i tak jasnych jak pszenica wło-

sów.



Martę zdziwiło pukanie do drzwi. Nie spodziewała się już dziś żadnego gościa ani posłańca. Dochodziła dwudziesta, wprawdzie dzień był jeszcze jasny, jak to w sierpniu, ale czuło się, że zbliża się wieczór. Wytarła dłonie w biały fartuszek, zerknęła w stronę gabinetu księżnej, ale wiedziała, że teraz przeszkadzać jej nie można, bo pochłonięta jest pisaniem. Pukanie się powtórzyło. Było jakby nieśmiałe, niczym pukanie żebraka, który przychodzi po jałmużnę bez wiary, że ją otrzyma. Odsunęła zasuwę i przekręciła klucz, na widok gościa zrobiła znak krzyża, wypowiadając imię Trójcy Świętej, i odsunęła się dwa kroki.

– Toż to pan Bruno Dzikowski – powiedziała na głos. – Prędszej samego diabła bym się spodziewała niż pana – stwierdziła bez pardonowo.

– Dzień dobry, czy zastałem księżną? Muszę się z nią widzieć. Bardzo proszę mnie zaanonsować – powiedział dziwnym chrapliwym głosem.

– Nie wiem, czy księżna zechce pana przyjąć. – Marta najchętniej nie wpuściłaby intruza, ale nauczona dobrych manier, kazała mu poczekać w holu. – Proszę tu zostać. – Wskazała miękkie wygodne szerokie pufy obite bordowym aksamitem.

Westchnęła, a po chwili poszła w głąb szerokiego korytarza i zapukała do drzwi gabinetu swojej pani. Lekko uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka.

– Pani Saro, przepraszam, że przeszkadzam, ale ma pani gościa, nie wiem, czy zechce pani go przyjąć – spytała szeptem.

– No cóż, przyjmę oczywiście. – Sara niechętnie wstała od biurka. – Któż to taki?

– Pan Dzikowski.

– Kto? – Sara miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Pan Bruno Dzikowski. – Marta pokręciła głową z dezaprobatą, nieświadoma nawet tego gestu. W głowie jej się nie mieściło, że ten podły człowiek przyszedł tutaj, by burzyć spokój jej pani. Widziała przecież na własne oczy, jak niebożatko cierpiała, smutna chodziła wtedy jak cień, schudła, zmarniała, a teraz kiedy doszła już trochę do siebie i nawet poweselała, znowu przyszedł ten nicpoń głowę jej zawracać.

– Niech czeka w holu – oświadczyła księżna. Jej twarz przybrała surowy wyraz. – Powiedz mu, że mam pilne sprawy i jeśli chce, to niech czeka lub przyjdzie kiedy indziej.

– Oczywiście, księżno. – Marta wycofała się i poszła do holu poinformować gościa o decyzji swojej pani.

– Poczekał – rzucił szybko Dzikowski i klapnął z powrotem na miękki puf.

Sara kazała czekać na siebie ponad dwie godziny. Nie dlatego, że specjalnie jakoś przygotowywała się na tę wizytę, ale chciała pokazać Dzikowskiemu, ile dla niej teraz znaczy. Nie miała już dla niego serca. To przez niego jakaś część jej duszy umarła na zawsze. Niemniej jednak po kobiecemu pragnęła, by zobaczył ją piękną. Chciała mu pokazać, co stracił. Rozpłótła jasny warkocz i zaczesła rozpuszczone włosy do tyłu. Przywdziała na siebie błękitną suknię, którą przyozdobiła granatowym, wysadzonym rubinami paskiem. Skropiła się perfu-

mami, a potem usiadła przy biurku i spojrzała w otwarte okno. Muślinowe białe firany falowały muskane wiatrem, na zewnątrz zapadał zmrok, z ulicy dolatywał śmiech zakochanych dziewcząt spacerujących z kawalerami. Miłość jest taka ulotna – pomyślała Sara, przyglądając się spacerującym Krakowskim Przedmieściem parom. – A może nie? Może istnieje gdzieś ta prawdziwa, jedyna, ta na wieki, w którą przez złe doświadczenia trudno mi jest teraz uwierzyć – rozmyślała. W końcu wstała i z dumnie podniesioną głową wyszła z gabinetu.

– Marto, poproś pana Dzikowskiego do salonu – zadysponowała i niespiesznie zajęła miejsce w wytwornym fotelu z jasnymi obiciami w pastelowe kwiaty. Poprawiła fałdy sukni, żeby lepiej się układały, i dumnie podniosła głowę, bo z korytarza dobiegły ją szybkie kroki.

– Saro, dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć... – zaczął od progu, ale urwał, gdy napotkał chłodne spojrzenie jej błękitnych oczu. Stał na środku salonu, nie wiedząc, co ma czynić.

– Dobry wieczór, panie Dzikowski, zechce pan usiąść. – Wskazała mu fotel naprzeciwko pięknego marmurowego stolika. A gdy zajął miejsce, nie zaproponowała poczęstunku, tylko spytała głosem wyzutym z jakichkolwiek emocji: – Z czym pan do mnie przychodzi?

– Saro, proszę cię, ulituj się nade mną, w imię naszej dawnej... przyjaźni – dokończył, bojąc się wymówić słowo „miłość”.

– W czymże mam się nad panem ulitować, panie Dzikowski? – Zmierzyła go wzrokiem. Nie był to już ten sam człowiek, który z butą i ze swadą cechującą pewne swojej wartości osoby kłamliwie opisywał, z jakim mozołem pisał *Tajemnicę*. Teraz miał posturę przygarbioną, wzrok służalczy i nieprzyjemny. Resztki uczuć, które żywiła w stosunku do niego jeszcze przed chwilą, gdy przywdziewała suknię na to spotkanie, zamieniły się w litość, a wraz z litością przyszła pogarda. Nagle skojarzyło jej się, że zna ten jego paniczny strach w oczach. Tak na nią patrzył, gdy wyjawiała mu, że spodziewa się jego dziecka. Tak, był tchórzem – odkryła nagle. Teraz też się bał. Bał się skandalu, który lada moment wybuchnie, gdy tylko jej nazwisko ukaże się na książce, bał się zapewne utraty dobrobytu, w którym się teraz pławził. Czy czegoś jeszcze? – zastanawiała się, patrząc na niego.

– Nie chcę stracić domu. Nie miałbym gdzie się podziać, a moja żona spodziewa się dziecka – jęknął i niemal się rozplakał.

Sara zadrżała. A jednak ją ugodził. Opanowała drżenie rąk i nie mrugnęła nawet okiem na te wiadomości, choć jej dusza załkała. Ani razu, ani jednego razu nie zapytał o ich małżeństwo, ani o to, jak ona poradziła sobie z najgorszą stratą, jaka może osiągnąć kobietę.

– Proszę, niechże się pan uspokoi – upomniała go, westchnawszy. To ona powinna płakać, nie on. Gdy niemal umierała i jedynym pocieszeniem były jego listy, te przychodziły coraz rzadziej. I na próżno doszukiwała się w nich miłości, choć bardzo się starała i oszukiwała samą siebie. Wzięła do ręki srebrny dzwoneczek i potrząsnęła. – Marto, podaj panu Dzikowskiemu wodę.

– Tak, proszę pani. – Marta dygnęła i natychmiast spełniła polecenie księżnej.

– Saro, ja nie chcę procesu. Proszę, nie dopuść do tego. Dziś dostałem pismo od mecenasa reprezentującego Gustawa Gurga. Ja nie wiem, co mam robić. Jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, jesteś ty. Błagam cię, na naszą miłość...

– Nie, dosyć. Niechże się pan uspokoi i oszczędzi mi przedstawienia – rozkazała twardo. – Nie było w panu miłości do mnie. Była tylko chęć... eh, nieważne, niepotrzebne jest teraz roztrząsanie przeszłości.

– Saro, błagam cię. – Osunął się z fotela i klęknął przed nią. – Ja nie mogę stracić mojego domu. Moja żona, jej rodzina. Ja i tak jestem w ich oczach skończony. W piśmie mecenasa Gurga napisane jest, że mam zwrócić nienależne mi honoraria, ale ja nie mam z czego zwrócić. Koszty życia, podróży, utrzymania rodziny na odpowiedniej stopie... Przecież to było nasze dziecko... sama tak mówiłaś...

– Nie chcę tego słuchać. Proszę natychmiast przestać, bo wyproszę pana – powiedziała, nie podnosząc głosu, ale tak stanowczo, że literat opadł z powrotem na fotel i wbił w księżną wzrok zbitego psa.

– Co będzie ze mną, Saro? – spytał lękliwie.

– Napisze pan Gurgowi oświadczenie, że książka nie jest pana autorstwa. Uniknie pan w ten sposób rozprawy sądowej. Nie zabiorę panu domu ani wypłaconych panu poprzednio sum.

– Dziękuję, dziękuję. To ogromna łaska, wielka, niespodziewana, tylko że... Ja na dzień dzisiejszy nie mam z czego opłacać rachunków... Czy nie zechciałabyś pożyczyć mi...

– Nie – przerwała mu, nie dając dokończyć prośby. – Kupił pan wielki i kosztowny dom, ponoć to pałac, otrzymał pan wysokie honoraria, zatem zdaje mi się, że jesteśmy kwita. A teraz żegnam pana. Wszelkie formalne sprawy proszę załatwić przez mojego plenipotentę, pana Gustawa Gurga. – Wstała, dając jasno do zrozumienia, że wizyta skończona.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, dopiero poczuła, jak trzęsą jej się ręce. Emocje opadły i uczuła słabość. Odpięła pasek z rubinami, położyła go na poręcz fotela, a sama usiadła na szezlongu. Zastanawiała się, jak mogła kochać tego człowieka i co właściwie w nim widziała. Im dłużej rozmyślała, tym coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że musiała bardzo pragnąć uczucia i po prostu ulokowała je gdzieś bądź.

– Wtedy nie szanowałam siebie – powiedziała na głos.

– Pani Saro, mówiła coś pani? – Marta przyniosła na srebrnej tacy kieliszek z koniakiem.

– O tak, koniak jest mi potrzebny. Sobie też nalej – poleciła. A gdy Marta usiadła na pufie z kieliszkiem w ręku, Sara westchnęła głośno. – Ach, mówię ci, Marto, miłość jest nic niewarta. Same przez nią kłopoty.

– E, proszę pani, zdarza się też miłość piękna. Wierzę, że i panią spotka ta prawdziwa. – Służąca się uśmiechnęła.

– Nie zapominaj, że jestem mężatką. Miłość już nie dla mnie. – Wzruszyła ramionami, ale nie wiedzieć czemu, stanął jej przed oczyma obraz uśmiechniętego Gustawa.

– Proszę pani, a czy serce pyta o świstek? Zakochuje się bez tego, nie patrząc, co dozwolone, a co zakazane. Bo taka właśnie jest miłość. Niech się pani nie zraża, że coś kiedyś się nie udało. Tylko ten, kto nie podejmuje prób miłości i zamyka się przed światem, traci najwięcej. Pani jest bogatsza o doświadczenie, a przecież żeby dobrze pisać, to chyba i złe rzeczy należy przeżyć – mędrkowała.

– Jak zawsze masz rację, Marto. Chyba następną powieść tobie poświęcę i... och, już wiem...zatytułuję ją *Zakochana służąca*.

– Jakby to było dobrze, gdybym teraz ja się zakochała. – Zaśmiała się. – We dworze w Bielawie nie miałam szans, w Karczewie również nie. Nie było w kim, a nawet gdyby było, to gdzie byśmy zamieszkali. Ale tutaj, w wielkim mieście, otworzyły się większe możliwości... – Rozmarzyła się.

Kobiety rozmawiały jeszcze długo, noc już zapadła, Marta zapaliła lampę naftową, a Sara nagle poczuła się wolna. Zrzuciła z siebie ciężar rodzicielskiego przymusu, zrzuciła jarzmo okrutnego małżonka, wprawdzie prawo nie przewidywało rozwodów, ale ani ona, ani Hipolit nie chcieli mieć ze sobą nic wspólnego i nie wchodzili sobie w drogę, każde zajęte własnym życiem. Teraz mogła poświęcić się swojej pasji i czuła, że życie dopiero się zaczyna.



W słoneczne styczniowe popołudnie, ubrana w wytworne białe futro, Sara Leokadia Reszko siedziała w pierwszej ławce kościoła Świętego Krzyża w Warszawie i przyglądała się, jak ciotka Adelajda ociera łzy. Uśmiechnęła się i popatrzyła na siostrę swojej matki z czułością. Potem poczuła na ramieniu dłoń Klementyny, matka syknęła jej do ucha:

– Nie uśmiechaj się. W kościele jesteś, zachowaj powagę.

– Klementyno – upomniał żonę Ambroży.

Sara bardzo chciała zachować powagę, ale słowa matki sprawiły, że kąciki ust jej zadrgały i byłaby się roześmiała, bo choć sama nie wiedziała dlaczego, czuła się szczęśliwa, od pewnego czasu w jej duszy fruwały motyle. Powstrzymała się jednak od radosnego śmiechu, bo po kościele przeszedł szmer i wierni zaczęli wstawać. Oto środkiem nawy zmierzała do ołtarza zakochana w sobie młoda para. Sara spojrzała do tyłu, by nic nie umknęło jej uwadze i by mogła opisać kiedyś ten ulotny moment szczęścia w którejś ze swoich powieści. Znów się uśmiechnęła. Tym razem do Marianny, gdy ta przechodziła obok i spojrzała na Sarę z błyskiem wdzięczności w oczach. W białej sukni i w białej pelerynie z gronostajów szła dumnie, trzymając pod rękę Nikodema. Nie był to ten sam mężczyzna co kiedyś. Można powiedzieć, że był brzydki: potwornie chudy, z wymizerowaną twarzą pokrytą licznymi bliznami. Ale miłość między nimi pozostała piękna.

Za nimi szli świadkowie, Julian Podolski oraz Gustaw Gurg. Młody wydawca dotrzymał słowa, poruszył niebo i ziemię, by przekupić kogo się da i uwolnić Nikodema z niewoli. Stał teraz obok pana młodego, który poprosił go o bycie świadkiem, i przyglądał się, jak w wyrwanym z katongi młodym mężczyźnie na nowo rozbudza się życie. Ukradkiem zerkał na Sarę i jego usta mimowolnie rozciągały się w uśmiechu. Lubił i podziwiał księżną, szanował jej zdanie, cenił także jej twórczość. Od momentu ukazania się w prasie oświadczenia Dzikowskiego, że nie jest autorem *Tajemnicy*, Warszawę opanowało szaleństwo, ale Sara zdawała się nie przejmować entuzjastycznym zainteresowaniem. Dała się również namówić na wznowienie piątkowych wieczorów, z tą tylko różnicą, że odbywały się w jej warszawskim apartamencie i zaczynały się od zaprezentowania twórczości kobiet.

Wychodzących z kościoła szczęśliwych nowożeńców owionął mroźny wiatr, ale oni, szczęśliwi i wpatrzeni w siebie, nawet tego nie odczuli. Wsiedli do bryczki ustrojonej wstążkami i dzwoneczkami i pomknęli do Wiejskiej Kawy, ulubionej restauracji Marianny, gdzie miało się odbyć wesele. Goście zajmowali kolejne powozy. Gustaw tak się zapomniał, że otworzył Sarze drzwi do własnego powozu, a ona bez wahania podała mu rękę. Stangret popędził konie, a te ruszyły z kopyta, aż dwoje ludzi siedzących w powozie wpadło na siebie. Zaśmiewali się z tego, a gdy wesołość wybrzmiała, Gustaw wyciągnął zza pleców małą paczuszkę owiniętą szarym papierem i przewiązaną czerwoną wstążką, którą wręczył Sarze, patrząc prosto w jej jasne niebieskie oczy.

Domyślała się, co tam jest. Była na to przygotowana, ale i tak serce waliło jej jak młot. Zachwycony Gustaw przyglądał się z uśmiechem. Chciał ten moment zachować w sercu i w pamięci na całe życie.

Sara odwiązała czerwoną kokardę i rozerwała szary papier, odrzuciła go na siedzenie za sobą i zamarła. Jej oczom ukazała się przepięknie wydana książka. W bordowej, skórzanej oprawie ze złotymi tłoczonymi literami i złożonymi brzegami. Spomiędzy kartek wystawała zakładka z bordowozłotego adamaszku.

– Sara Leokadia Reszko de domo Wolska. *Tajemnica* – przeczytała na głos.

Stangret szarpnął lejce tak niefortunnie, że księżna byłaby upadła, gdyby nie mocne ramiona wydawcy. Chciała się roześmiać, ale nagle jego mądre, dobre szare oczy znalazły się blisko niej, poczuła jego oddech i zapach wody po goleniu, jego usta musnęły jej policzek, a potem dotknęły warg. Najpierw delikatnie, jakby upewniając się, czy mogą, ale zaraz potem zatopiły się w niej z niespiesznie budzącą się namiętnością. Pragnęła, by ten pocałunek trwał jak najdłużej, a najlepiej całą wieczność.

Przyszło jej na myśl, że poniekąd opisała już miłość brutalną, jaką przeżyła z Hipolitem, niespełnioną, jaką przeżyła z Brunonem, czas opisać miłość szczęśliwą – uznała, poddając się tulącym ją ramionom Gustawa.

Leśniczówka-Baranówka, 9 maja 2023 roku



SŁOWO OD AUTORKI

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku,
opowieść o Sarze Leokadii Reszko jest moją dziesiątą książką dla dorosłych czytelników, ale pierwszą z historią w tle. Jestem ciekawa Twojego odbioru niniejszej historii, tym bardziej że przez ostatni czas pisałam wyłącznie współczesne powieści obyczajowe.

Sara jest bohaterką fikcyjną, ale wspomniana w opowieści Klementyna z Tańskich Hoffmanowa to już postać historyczna, w dodatku dość bliska mojemu sercu, z racji tego, że dawno temu, jeszcze na studiach polonistycznych, pani profesor Gertruda Skotnicka opowiadała, że była to pierwsza kobieta w Polsce utrzymująca się z pisania. Już wówczas marzyłam, że związę swoje życie z literaturą, i przyznam, że po trosze zazdrościłam Klementynie odwagi i samozaparciu. Dziś nikt nie podważa pisarstwa kobiet, ale w tamtych czasach nie traktowano go poważnie. Klementyna, współcześnie nieco zapomniana, jest zatem naszą prekursorką i moją inspiracją.

Wypuszczam w świat kolejne literackie dziecko. Będę się przyglądała, jak sobie radzi, i mocno trzymała kciuki za sukces. Za tym, by książka ujrzała światło dzienne i zachwycała czytelników, stoi cały zespół ludzi. Pozwólcie więc, że z całego serca im podziękuję...

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi Krzysztofowi Szklarkowi – za czułość, miłość i dobro, za ułatwianie mi życia na każdym kroku i za bezgraniczne wsparcie.

Dziękuję mojej kochanej mamie Krystynie, najlepszej przyjaciółce i powiernicze trosk i radości – za słuchanie każdego rozdziału, za dobre, krzepiące słowa, ale przede wszystkim za modlitwę.

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Skarpa Warszawska. Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi za życzliwość, otwartość, zaangażowanie i wiarę we mnie. Agnieszce Czapczyk za mądrą redakcję, merytoryczne rady i przepiękne słowa o powieści, które dodały mi skrzydeł. Pani Agnieszko, współpraca z Panią to czysta przyjemność. Piekielnie zdolnej graficzce Annie Slotorsz za wspaniałe projekt okładki. Pani Anno, okładka w Pani wykonaniu to gwarancja jakości i piękna. Dziękuję również Bożenie Sigismund za wnikliwą korektę.

Dziękuję utalentowanej pisarce Katarzynie Kieleckiej za merytoryczne uwagi oraz za wsparcie.

Dziękuję niezwykle utalentowanej aktorce i lektorce pani Klaudii Bełcik za przepiękną interpretację powieści. Pani Klaudio, każda moja przeczytana przez Panią powieść podbija wszystkie rankingi popularności. Nawet ja, słuchając, ronię niejedną łzę i odkrywam własny tekst na nowo.

Dziękuję wspaniałej społeczności z grupy facebookowej „Książki na obcasach – grupa dla fanów twórczości Wioletty Piaseckiej”, prowadzonej przez dwie fantastyczne blogerki, Kasię Sęk (Książkopasja) i Ewelinę Górecką (Ewelkowe Czytanie) – za to, że mnie wspieracie, promujecie i jesteście ze mną w dobrych i złych chwilach. Dziękuję za Waszą obecność na śródowych pogaduszkach na żywo. A wszystkich Czytelników serdecznie zapraszam do dołączenia do naszej społeczności.

Dziękuję wszystkim blogerom, recenzentom, księgarzom, bibliotekarzom, mediom i ludziom związanym zawodowo i hobbystycznie z książką. Wasz czas, wasza życzliwość i zaangażowanie dla książek są bezcenne.

Dziękuję Tobie, droga Czytelniczko, drogi Czytelniku – za czas spędzony z powieścią. Poleć ją, proszę, znajomym. Każde dobre słowo o książce jest bezcenne. Odwiedź mnie również w mediach społecznościowych. A jeśli powieść Ci się spodobała tak bardzo, że pragniesz drugiej części, daj znać w mediach społecznościowych wydawnictwa Skarpa Warszawska. Będę przeszczęśliwa, jeśli otrzymam szansę na napisanie powieści pod tytułem *Zakochana służąca* i pokazania dalszych losów Sary Leokadii Reszko z perspektywy Marty Skowronek.

*Do zobaczenia na kartach kolejnej powieści.
Wioletta Piasecka*

